

**Glyn Elinor**

**Ślepa miłość**

## Rozdział I

W połowie maja 1926 roku, pewnego pięknego poranka, Hubert Culverdale, ósmy hrabia St. Austel, spoglądając z okna swojej biblioteki na zielony park, dumał nad tym, co pocznie, jeżeli Benjamin Levy nie przyjdzie mu z pomocą. Nie tylko bowiem sam zostanie zrujnowany, ale mnóstwo jego przyjaciół znajdzie się w tym samym położeniu, o ile pan Levy nie wystara się w ciągu przyszłego tygodnia o pół miliona.

Stało się to wszystko bardzo prosto. Hubert nie znosił bezczynności, życie w pierwszych latach po wojnie wydało mu się nudne i bez znaczenia, a Jimmy Mc Allister, jego dobry kolega, zrobił wspaniały wynalazek w dziedzinie awiatyki i St. Austel szczerze się tym zainteresował. Jednak do zrealizowania wynalazku potrzebne były pieniądze. Hubert, który nie należał do łatwowiernych, wierzył w dzieło Jimmiego, które posiadało solidne podstawy. Wnet powstało całe towarzystwo, które postanowiło eksploatować wynalazek, a paru wybranych przyjaciół St. Austela zakupiło udziały i ulokowało swe kapitały.

Jednak potomkowie dyplomatów, polityków i rycerzy nie posiadają sprytu do interesów. Po kilku ryzykownych miesiącach złej gospodarki, sekretarz towarzystwa uciekł z pieniędzmi i lord St. Austel znalazł się w okropnej sytuacji. Choć był bardzo bogaty i miał wspaniały majątek w Hampshire oraz różne posiadłości górnicze w Wales, wydobyć jednak pół miliona w przeciągu tygodnia nie należało do łatwych rzeczy.

St. Austel, znajdując się we Francji i Flandrii setki razy w obliczu śmierci zachowywał spokój, lecz teraz nerwy jego były wstrząśnięte. Nie może przecież zrujnować tych, którzy mu zaufali i razem z nim uwierzyli w wynalazek kolegi. Jego wuj, biedny stary markiz, zakłopotany sprawami majątkowymi i inni zubożali arystokraci, zniszczeni podatkami przez nowy rząd... Jaki będzie ich los? Trzeba jakoś przeciwdziałać! Tym, że sam zostanie żebrakiem, nie bardzo się troszczył.

Od chwili kiedy pierwszy raz otworzył oczy, trzydzieści jeden lat temu, życie dało mu wiele przyjemności i niejedna już radość przypadła mu w udziale. Zagłębił się teraz w fotelu, pogrążony w zadumie. W oddali rozbrzmiewał gwar i hałas Piccadilly.

Biblioteka, w której siedział, była obszerna i zaciszna. Z portretu pędzla van Dycka, wiszącego nad biurkiem, dumnymi oczyma spoglądał na swego potomka drugi hrabia St. Austel. Hubert, tak jak i jego antenat miał ciemne włosy a oczy niebieskie, jakie tylko można sobie wymarzyć. Zaciśnięcie ust nadawało mu wyraz na wpół kapryśny, na wpół smutny. Culverdalowie, pomimo innych wad, nie byli nigdy zdrajcami, nawet parszywe owce tej rodziny swój honor ceniły wysoko. Ostatni z rodu popatrzył na swego pradziada, a potem na fotografię dwóch młodszych braci, którzy zginęli na wojnie. Ze wszystkich portretów uśmiechały się do niego te same niebieskie oczy. Najbliżsi kuzyni, Charlie i Humfrey, zostali także na polu chwały i trzech inni chłopcy, dalsi krewni, nie wrócili z frontu. Rodzina St. Austel hojnie przelała krew za ojczyznę teraz został tylko on, Hubert, ósmy hrabia z kolei i ostatni z rodu.

Nie — rzekł do siebie — jakoś musi się temu zaradzić.

Zadzwoił i kazał zajeżdżać szoferowi, a w pięć minut później wchodził do biura Beniamina Levy przy ulicy Clifford. Panowała tu surowa atmosfera, a przed samym przybyciem Huberta odbyła się dziwna scena.

Oskar Isaacson, zaufany urzędnik Beniamina Levy, ośmielił się wyznać swemu przełożonemu, że przez piętnaście lat wiernej służby przypatrywał się dorastaniu Vanessy, jedynej córki Levy'ego — teraz zaś, dzięki rozsądnej spekulacji, uzbierał dostateczny majątek i może prosić o jej rękę z tym, że stałby się użytecznym wspólnikiem swego przyszłego teścia.

Pan Levy popełnił jeden z niewielu błędów w życiu — nie tylko że odmówił, ale wyśmiał swego urzędnika. Jakże inne bowiem plany miał dla córki! Oskara upomniął jedynie, aby szybko wrócił do przytomności i przyniósł mu natychmiast papiery z ostatnimi informacjami, co do zobowiązań St. Austela w związku z wynalazkiem aeroplanów — on bowiem, Levy, ma zamiar odkupić całe przedsiębiorstwo.

Oskar Isaacson, słuchając rozkazów, zawsze się trochę odwracał, tak by nie widziano, jakie wrażenie wywierają na nim dane słowa. Siła więc przyzwyczajenia i dziś kazała mu się trzymać tego nawyku. Benjamin Levy nie zauważył też wściekłego wyrazu, który się odbił w oczach urzędnika, który opanowany, przyniósł milcząco zwój dokumentów i położył je na biurku szefa.

Gdy lord St. Austel ukazał się na progu, Oskar podał mu krzesło i patrząc w dół wyszedł z pokoju. Finansista i klient przywitali się. Benjamin Levy był uczciwym i wysoko poważanym w Londynie bankierem. Dotąd lord St. Austel nigdy nie odwiedził go we własnym interesie, ale nieraz już siadywał na tym krześle, stawiając na nogi niejednego ze swoich przyjaciół.

Mądre, szare oczy Żyda Beniamina patrzyły nań przenikliwie. Wiedział dobrze, dlaczego hrabia zaszczyca go swymi odwiedzinami. Znał wiele szczegółów, o których Hubert nie miał pojęcia. Wiedział, że wynalazek był dobry i wkrótce przyniesie miliony zysku i wiedział także dokładnie, dlaczego bankierzy odmówili pożyczki lordowi St. Austel. Postarał się o to sam. Nigdy niczego nie czynił bez powodu. A powód, który miał teraz, kształtował każdy jego czyn przez ostatnich lat dziesięć. Dwaj mężczyźni rozmawiali przez pół godziny — i wreszcie Levy rzekł: — To zupełnie bezcelowe, mój drogi lordzie — interes jest interesem, a filantropia, co innego — Pan nie przyjąłby ode mnie filantropii.

Lord St. Austel siedział dotąd zupełnie spokojnie i mówił sympatycznym, głębokim głosem, w którym tylko poczucie humoru mogło stłumić arogancką nutę, odziedziczoną po przodkach. Zbladł teraz trochę i wstał z miejsca. — Wobec tego muszę pana pożegnać — rzekł krótko. Gdy sięgał jednak klamki przy drzwiach, pan Levy zwrócił się łagodnie do klienta. — Mam jednak dla pana, lordzie, pewną propozycję, która o ile zostanie przyjęta, może wszystko zmienić.

Hubert odwrócił się i wyniośle spojrział na mądrą twarz Żyda.

— Rzeczywiście?

— Tak, może pan zechce jeszcze usiąść na chwilę?

Coś szeptało St. Austelowi, że propozycja będzie mu nienawistna, ale sytuacja była rozpacзлиwa i hrabia zajął ponownie miejsce obok biurka kapitalisty.

\* \*

\*

Tego samego wieczoru wystawiano w operze „Madame Butterfly” i chociaż było jeszcze wcześniej, ludzie zaczęli się już schodzić i zajmować miejsca. Wśród nich można było zauważyć starszą panią, typową francuzkę, wyjętą żywcem z powieści Balzaka. Przemawiała przez nią Francja, ze swoimi zwyczajami i manierami z roku 1840. Rysy miała piękne, chociaż wyraz surowy i ruchy zamaszyste. Za nią kroczyło młode dziewczę, widocznie zupełnie zawojowane przez swą starszą towarzyszkę.

Dziewczyna miała wielkie, łagodne, czarne oczy i krucze włosy, głęboko uczesane i upięte z tyłu głowy w mały, zgrabny węzeł. Odcinała się na tle nowoczesnych, modnych kobiecych sylwetek. Żółte, wieczorowe okrycie, nieco staromodnego kroju, osłaniało jej szczupłą postać, a niezwykle białą szyję okalał wspaniały sznur pereł. Obydwie panie zajęły swoje miejsca niemal tuż pod lożą klubową, tak że mężczyźni, którzy w niej siedzieli, byli na ciągłym widoku. Panienska jednak z chwilą podniesienia kurtyny wzrok miała skierowany na scenę. Pierwszy raz była w Londynie w operze i „Madame Butterfly” obudziła w jej duszy jakieś nowe wzruszenia. Błede jej policzki zaróżowiły się delikatnie, oczy błyszcząły jak gwiazdy, a zmysłowe usta robiły wrażenie soczystej wiśni. W czasie przerwy rozmawiała po włosku ze swą towarzyszką. Przez dłuższy czas nikt jednak nie zwracał uwagi na piękną dziewczynę, bo tak fatalnie na urodę kobiecą wpływa staromodny strój i fryzura. Dopiero jakiś wytworny znawca, kierując lornetkę w stronę uroczej brunetki, rzekł do swego towarzysza.

— Popatrz na te oczy — i co za radość wśród tych strzyżonych głów zobaczyć długie włosy.

Młoda dziewczyna spojrzała w ich kierunku, ale wzrok jej zamiast na starszych bywalcach, spoczął na lordzie St. Austel, który właśnie wszedł do łoży. Jakiś dziwny, nieznany dreszcz wstrząsnął młodą dziewczyną. St. Austel nie był wybitnie przystojny — na twarzy niezupełnie już młodej malowało się pewne znużenie, ale z postaci jego była niesłychana dystynkcja. Był rasowy w całym tego słowa znaczeniu.

Młoda dziewczyna, zupełnie niedzisiejsza, została olśniona jego wyglądem i przyszły jej na myśl słowa Tennysona o Lancelocie: „*Z blizną na policzku od starego miecza, poraniony i opalony, dwa razy niemal starszy od niej — a mimo to, gdy podniosła swój wzrok na niego, pokochała go tą miłością, która była jej przeznaczeniem.*”

— Czy ten człowiek będzie jej przeznaczeniem? Nie, jakaż jest niemądra — z pewnością nie ma także dwa razy tyle lat ile ona

— wygląda na trzydziestkę, a ona skończyła dziewiętnaście. Pociągał ją ku sobie jakąś magnetyczną siłą, ale jego oczy nie widziały jej, chociaż patrzył prosto w jej stronę.

Hubert St. Austel pochłonięty był własnymi myślami. Były one ponure i nieprzyjemne, bo Benjamin Levy zawarł z nim umowę, że o ile poślubi jego córkę, on, Benjamin Levy, zajmie się całą sprawą wynalazku, sam wszystko poprowadzi i wszyscy udziałowcy zrobią majątek.

Hubert przyjął propozycję w milczeniu; była wprost oszałamiająca i buntowała się przeciwko niej cała jego istota. Zanadto był nowoczesny, aby brać pod uwagę fałszywą dumę rodową. Na myśl jednak, że ma poślubić — on, Hubert, ósmy hrabia St. Austel, córkę Żyda, lichwiarza — wszystko burzyło się na dnie jego duszy.

W pierwszej chwili chciał stanowczo odmówić, ale gdy przypomniał sobie wuja, starego markiza i innych przyjaciół, którym groziła ruina

— zapadł w milczenie. Tymczasem Benjamin Levy obserwował lorda z bijącym sercem; chwila, której oczekiwał, nadeszła.

Ludzie wielkich umysłów mają zwykle jakąś słabą stronę, która pozwala na to, że nadają doniosłą wartość faktom, które w rzeczywistości nie posiadają znaczenia. Taką słabością Beniamina Levy była jego szalona ambicja na punkcie córki, Vanessy, którą postanowił wydać za angielskiego para. Nikt w całej Anglii nie znał lepiej od Beniamina arystokracji. On znał jej słabostki i błędy, jej dochody, odziedziczone wady i zalety. Levy nie tylko pragnął za zięcia para, ale chciał

najwybitniejszego para. Hrabia St. Austel był ideałem jego ambicji. Lord pochodził ze starej rodziny, posiadał wielki majątek, a do tego był pożądanym przez wszystkie kobiety. Ogólnie szanowany w kraju, najbardziej popularny członek klubu Turf.

St. Austel posiada klasę — brzmiało ulubione określenie pana Levy. Jeszcze więc przed wojną, kiedy Vanessa miała dziewięć lat, postanowił zdobyć go dla niej na męża.

Przeczuwał, że młode mężatki, które składały hołdy w świątyni lorda St. Austela, zajmą go i zaabsorbują, dopóki nie nadejdzie jego — Beniamina — czas działania. Los sprzyjał finansistom, chroniąc Huberta przed kulami i szrapnelami wtedy, kiedy jeden po drugim członkowie rodziny St. Austel przenosili się do wieczności.

Pan Levy, gdy tylko usłyszał o projekcie zrealizowania wynalazku i dowiedział się, jaki obrót wzięła sprawa, chrząkał i gratulował sobie. Wiedział od razu, że główna karta znajdzie się w jego ręku i będzie musiał wygrać.

Obecnie, czekając na odpowiedź lorda, czuł, że serce bije mu gwałtownie.

— Pan wie, że jestem przyciśnięty do muru i prawdopodobnie będę zmuszony przyjąć pańską ofertę, panie Levy — wycedził wreszcie Hubert, wstając ponownie z krzesła — ale muszę jeszcze przez dzisiejszy wieczór zastanowić się nad wszystkim.

— Propozycja moja jest bardzo korzystna, drogi lordzie i pozostanie naszą tajemnicą. Pańscy przyjaciele otrzymają dobre procenty od ulokowanych kapitałów, pan zaś za rok lub dwa będzie dwa razy tak bogaty jak dzisiaj. Nikt nie dowie się o naszej umowie. Uniknie pan, hrabio, skandalu, nazwisko St. Austel zostanie nietknięte — a cena za to wszystko niska—weźmie pan za żonę dobrze wychowaną, ładną, młodą dziewczynę.

Lord St. Austel spojrzął na pana Levy'ego badawczo, wzruszył ramionami i zapalił drugiego papierosa.

— Przetелефonuję panu swoją odpowiedź rano — oznajmił Hubert i wyszedł z pokoju, zamykając cicho za sobą drzwi.

Kiedyś będę dziadkiem małego, angielskiego lorda — szepnął do siebie pan Levy, zacierając kształtne dłonie.

A St. Austel, ubierając się do obiadu, w lustrze widział na swej szyi pętlę.

## Rozdział II

W sąsiedniej łoży, obok klubowej, siedziały dwie kobiety i trzech mężczyzn. Jedna z pań robiła wrażenie niezadowolonej i unikając rozmowy, spoglądała uparcie na scenę. Nareszcie przekonała się, że straciła Huberta St. Austel. Nigdy nie odwzajemniał się jej silnym uczuciem i w najbardziej lekki sposób pojmował ich przyjaźń. Prawie zawsze był kapryśny i dziwaczny, co często doprowadzało ją do rozpacz. Wystarczyło jednak, aby spojrzała na jego elegancką sylwetkę, a serce jej biło żywiej. Gdyby tak mogła przykuć go do siebie i poślubić, dałaby za to wiele.

Moda młodych mężatek minęła, mężczyźni zwracali się znowu do pustych głów dwudziestolatek. Wiedziała o tym i zdawała sobie sprawę, że chociaż dobiegała dopiero trzydziestki, jej szanse na odzyskanie ukochanego Austela były słabe. Wszyscy niemal w odpowiednim dla niej wieku zginęli na froncie

— a ona nie lubiła młodzieniaszków. Sytuacja więc była dostatecznie przykra, aby pozbawić ją dobrego humoru. — Alicja zaś, księżna Lincolnwood, nie miała słodkiego usposobienia.

— Alicja to kochane stworzenie — tak świetnie się trzyma — nie wygląda nawet na dwadzieścia pięć lat! I taka bogata! — Oto, co mówiły jej przyjaciółki. — Gdyby była biedną z pewnością nazywałyby ją — jaszczurką.

W rzeczywistości Alicja była bardzo kulturalną, miłą, światową damą z ptasim mózgiem.



Lord St. Austel chętnie na nią patrzył. Była śliczną blondynką z falistymi, jedwabnymi włosami — brunetek nie lubił. Przy tym miała zawsze wiele do powiedzenia, nie wymagając odpowiedzi. Lubiła pozować na wybitnie inteligentną osobę i to bawiło Huberta. Damą jednak była w każdym calu i nigdy go niczym nie raziła.

Parę razy odniósł się do niej zupełnie serdecznie. Ale kiedy od czasu śmierci swego męża zanadto otwarcie zaczęła mu okazywać swoje uczucie, Hubert ochłodził w swym zapale. Tylko to uważał za nęcące, czego nie mógł osiągnąć — chyba, że spotkałby kobietę, która potrafiłaby naprawdę kochać — ale to niemożliwe.

Wybredność St. Austela doprowadzała kobiety do rozpacz.

— Czy Hubert jest w loży klubowej? — zapytała księżna jednego z młodych ludzi — niech pan pójdzie zobaczyć.

Lord St. Austel był w loży, ale w takim nastroju, że lepiej było się do niego nie zwracać.

Gdy młodzieniec wyszedł, księżna spojrzała w dół na audytorium i zauważyła młodą dziewczynę w białej, wieczorowej, staromodnej sukni i żółtym okryciu.

Światowa dama dostrzegła w młodym stworzeniu wybitną piękność. Ich wzrok się spotkał.

A tymczasem urocza dziewczyna przeżywała chwile pełne wzruszeń. Nieraz była w operze we Włoszech i we Francji. Domagało się tego ogólne jej wykształcenie, siedziała jednak zawsze w dalszych rzędach — a dziś, po raz pierwszy weszła w tłum eleganckiego świata. Nigdy nie widziała Anglików w szykownych frakach i nie czuła takiej atmosfery jak tutaj. Było to dla niej atrakcyjną nowością.

Spojrzała z zachwytem na długi rząd foteli i raz nawet odwróciła głowę, aby popatrzeć na łoże. Ale jej towarzyszka w tej samej chwili zwróciła uwagę, że to nieodpowiednie zachowanie. Vanessa zaczerwieniła się więc i siedziała znowu wyprostowana w fotelu. Jedynie ukradkiem spoglądała na klubową łożę, w której siedział człowiek tak dziwnie ją przyciągający. Dla niej był on Lancelotem, Lancelotem, bohaterem jej marzeń. — Biedny, romantyczny głuptas!

— Patrzy się na Huberta, jestem pewna — rzekła księżna do siebie.

— Któż inny mógłby wywołać u niej taki wyraz pełen zachwyty. Złe przecucie zaczęło się budzić w jej sercu.

— A perły na szyi są prawdziwe i jakie olbrzymie — większe aniżeli mój pojedynczy sznur.

Freddy Marston patrzył w tym samym kierunku co księżna i zainteresował się także smukłą brunetką.

Był jednak na tyle rozsądny, aby nie zwracać na nią uwagi księżnej, pochylił się w tył i szepnął tylko swemu towarzyszowi:

— Dobry kąsek w ósmym rzędzie. — Popatrz na perły.

Lord St. Austel wszedł niespodzianie do łoży i Freddy Marston odstąpił mu od razu swoje miejsce. Nikt nigdy nie stawał na drodze Hubertowi. Księżna umiała się opanować, więc uprzejmym uśmiechem powitała lorda, po czym kurtyna znowu się podniosła.

Hubert patrzył na jej plecy, gdy odwróciła się do sceny. Niegdyś, tak bardzo je podziwiał. Dziś zauważył, że skóra jej nie była już tak młoda. Drażnił go delikatny zapach perfum, których zawsze używała. I nagle zdał sobie sprawę, że nie zależało mu nigdy na niej ani na jotę. Uśmiechnął się dziwnym, cynicznym uśmiechem. — Jacy my wszyscy jesteśmy wstrętni, jak zwierzęta — pociąga nas jedynie zapach, a gdy ten się ulatnia — my ulatniamy się także! Księżna nagle odwróciła się. Chciała się przekonać, czy spostrzegł młodą dziewczynę, ale Hubert miał oczy na wpół przymknięte i patrzył w dal obojętnym wzrokiem.

— Co ci jest dzisiaj, Hubercie? Czy nie mogę ci być w czym pomocna? Głos jej był naprawdę czuły. Czoło jego delikatnie zaczerwieniło się, lecz on sam został niewzruszony.

— Nie, dzięki najpiękniejsza. Nic mi nie dolega. Zrobimy miliony i niebawem będzie mój ślub.

Mężczyźni są zawsze brutalami. Lord St. Austel nie zauważył więc wcale, że wymierzył księżnej jeden z najcięższych ciosów, jakie w życiu otrzymała. Na usprawiedliwienie jego należy tylko dodać, że Hubert nie był próżny i pomimo ogromnego powodzenia u kobiet nie wierzył, że któraś z nich naprawdę go kocha. W jego mniemaniu Alicja i podobne jej typy nie posiadały serca, tylko dobrze funkcjonujące maszyny. Ona powinna była wiedzieć, że skoro od śmierci księcia przeszło już rok nie poprosił o jej rękę, nie ma zamiaru tego uczynić i nie powinna na to liczyć. Dobrowolnie nie skrzywdziłby muchy, a cóż dopiero kobiety. Jeżeli jednak trzymał się form i reguł towarzyskich, nie ma nic na

sumieniu. Alicja przecież należała do jego sfery i powinna znać się na przemijających wzruszeniach i flirtach. Hubert spostrzegł jednak, że księżna pobladła i tylko dzięki dobremu wychowaniu nie straciła panowania nad sobą. Oddychała szybko.

— Z kim się żenisz, Hubercie?

— Przyjdę do ciebie w piątek i opowiem wszystko — teraz mówmy

o czym innym.

Alicja poczuła w głowie dziwny szum. Zaciśnęła rękę na kolanach tak, że paznokcie wbiła w dłoń i to dopiero przywołało ją do rzeczywistości. Kto odebrał jej Huberta? Dla wszystkich był równie obojętny. W grę musi wchodzić jakaś cudzoziemka — pomyślała. I ta dziwna intuicja lub szósty zmysł, który posiadają nawet głupie kobiety, skierowała jej wzrok w stronę, gdzie siedziała piękna, czarnowłosa dziewczyna. — Naturalnie nie może to być ona, skoro Hubert jej nie zna — rzekła do siebie księżna — ale ktoś podobny do niej. Alicja była przesadna i uważała, że dziwna niechęć, jaką odczuła do tej młodej osoby, nie może być bez znaczenia.

Zdawała sobie z tego jasno sprawę, że nie ma prawa czynić wymówek Hubertowi. Trzy miesiące temu zrobiła mu małą scenę

i dlatego prawdopodobnie na zawsze go straciła. Okropny ból szarpał jej serce. Milczała, aż znowu opadła kurtyna. Dla nieznajomej dziewczyny muzyka straciła cały urok z chwilą, gdy lord St. Austel wszedł do łoża pięknej blondynki. Zaczęło ją przenikać dziwne, nieznane dotąd uczucie.

— Kim może być ta śliczna pani z jasnymi, falującymi włosami, przytrzymanymi wspaniałą brylantową przepaską? On — mężczyzna, którego porównała z Lancelotem, pochylił się nad nią z zachwytem. Ciemno było dostatecznie, aby będąc niewidzianą, mogła ich obserwować. Wielkie więc i łagodne oczy dziewczęcia spoczęły na księżnej i obojętnym lordzie.

Vanessa poczuła się dziwnie samotną. Cała opera zdawała się być pełna ludzi, którzy się wzajemnie znali. Tylko ona i madame de Jainon były obce — nikt z nimi nie potrzebował się liczyć. Ale jeżeli kiedyś, jak to obiecał jej ojciec, wejdzie w świat i zostanie wielką damą, może pozna sir Lancelota?

W tej chwili kurtyna spadła, światła zabłyśły, spuściła więc oczy w dół, a gdy spojrzała znowu, Huberta nie było już w łoży.

Lord St. Austel spacerował po bibliotece do drugiej rano zdecydowany przyjąć warunki Benjamina. Pragnął w myśli wszystko sobie ułożyć. Przypomniawszy sobie nagłą błądź Alicji, gdy jej powiedział o swoim ślubie. Teraz dopiero spostrzegł, że zachował się brutalnie. Gdy życzył jej dobrej nocy, odwróciła się od niego zasmucona. Jakże przykre było to wspomnienie.

Nie zastanawiał się dotąd, jaka będzie jego narzeczona. Nie lubił czarnych Żydówek i nie chciał o niej myśleć. Zagłębił się wreszcie w jednym ze swoich wygodnych klubowych foteli i parsknął głośnym śmiechem.

\* \*

O tej samej godzinie czarnowłosa panienska, która była w operze, czuwała także. Powtarzała sobie bezustannie jego imię. Słyszała bowiem, jak w tylnym rzędzie ktoś do kogoś powiedział:

— Patrz, lord St. Austel opuścił łożę księżnej, pan Hambleton wyszedł już także. Wedle mnie, to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego znam.

— Kto, pan Hambleton?

— Nie, Hubert St. Austel.

— Hubert St. Austel, angielski arystokrata. Jak ślicznie się nazywa — szepnęło do siebie dziewczę po francusku, a długie rzęsy opadły na zapłonione policzki. Sen i młodość to cudowne rzeczy!

### Rozdział III

Gdy Benjamin Levy otrzymał przez telefon wiadomość od lorda Huberta, ósmego z kolei hrabiego St. Austel, wicehrabiego Haltona i Barona du Maine — (pan Levy stwierdził z dumą, że tytuł baronowski rodzina St. Austel posiada od roku 1299) — nie tylko, że z radości zatarł dłonie, jak to zwykle czynił, gdy był zadowolony, ale gwałtownie wstał z miejsca, po czym usiadł znowu.

— Jest to więc fakt dokonany, a nie marzenie. Vanessa będzie hrabiną i to najładniejszą hrabiną w Anglii. Hubert zatelefonował ze swego mieszkania około godziny jedenastej. Spał długo — tłumaczył szorstko a krótko — nie lubił bowiem używać niepotrzebnych słów. Nie wahał się nigdy przed jakimś stanowczym krokiem. Po wymianie więc kilku zdań zdecydowano, że St. Austel przybędzie na obiad do pana Levy w celu poznania swej narzeczonej.

Przypomniał sobie, aby się zapytać jak się nazywa, a kiedy usłyszał imię Vanessa, uśmiechnął się cynicznie.

— Trudno sobie wyobrazić coś takiego, żeby małą Żydóweczkę nazwać Vanessą. Swift obraca się pewnie w grobie! Po chwili drzwi biblioteki otworzyły się i do pokoju wszedł o kuli Ralf Dangerfield, Hubert zaś pośpieszył mu z pomocą. Ralfa kochał bardziej aniżeli kogo innego w świecie. Był to syn siostry jego matki o dziesięć lat od niego starszy. Ralf Dangerfield posiadał Krzyż Wiktorii i cały szereg innych odznaczeń.

— Żenię się, Ralfie.

— Dobry Boże!

Hubert wyznał kuzynowi prawdę.

— Poczciwy chłopcze — rzekł pułkownik, podchodząc do okna, aby ukryć swoje współczucie — czasem niewygodnie jest być gentlemanem. Cóż innego jednak pozostało ci do zrobienia?

— Czy widziałeś ją, Hubercie?

— Jeszcze nie.

— Czy mogę ci w czym pomóc? Chcesz, abym to rozgłosił?

— Tyle tylko powiedz, że się żenię. Cóż innego można powiedzieć?

— Gdy zobaczą cię jednak z jakąś Żydówką, domyślą się, że zostałeś przyciśnięty do muru.

Hubert lekko drgnął.

— Nikt nie powinien tego podejrzewać. Potrafię, sądzę, odegrać swą rolę. Wywiozę ją za granicę, aż będziemy mogli urządzić sobie przyzwoicie życie osobno lub — rozejść się.

Obaj mężczyźni rozmawiali potem o polo i innych obojętnych rzeczach, ale w każdym z nich krył się bunt i smutek.

Tego dnia pan Levy wyjątkowo przyszedł na lunch do domu. Miał tak uradowany wyraz twarzy, że córka jego, Vanessa, ośmieliła się go pocałować. Znała go tak mało — tego dobrego, mądrego ojca, który przy każdej okazji obdarzał ją tak ładnymi podarunkami i przyjeżdżał do Rzymu lub Paryża, gdy tylko mógł się wyrwać od swych zajęć. Lata wojny spędziła we Florencji z madame de Jainon. Ledwie pamiętała Anglię, gdzie urodziła się i mieszkała do lat pięciu. Nie pamiętała także swojej matki — ślicznej Włoszki, która uciekła z domu i nigdy już o niej nie mówiono w dumnej rodzinie, aż do dnia jej śmierci w trzy lata po ślubie. Ojciec Vanessy był wówczas bardzo przystojnym, wysokim blondynem. Przystojny był jeszcze teraz i taki dobry. Ale było coś w wyrazie jego ust, co ostrzegało ją, że nie wolno się sprzeciwić jego woli. Sprzeciwić się woli rodzica nie przyszło jej też nigdy do głowy. Benjamin Levy robił plany zawsze parę lat naprzód i przyzwyczaiał córkę do bezwzględного posłuszeństwa, uważając, że będzie to bardzo pożyteczne, z chwilą, kiedy trzeba będzie wydać ją za męża. Wybrał madame de Jainon jako nauczycielkę i anioła opiekuńczego dla Vanessy, kiedy, w piątym roku życia dziewczynki odeszła jej pielęgniarka.

Beniamin pilnował, by dziewczyna miała wszystko, co za pieniądze można kupić, byle nie towarzyszki i okazje usłyszenia i dowiedzenia się o nowoczesnym duchu niesubordynacji, który rządzi obecnie światem. Szczególnie przekonanie, że wybór męża powinien spoczywać w rękach rodziców, miało być wpajane w dziecko. Beniamin Levy wiedział, że jeżeli zawczasu przyzwyczai córkę do swego autorytetu, gdy odpowiednia przyjdzie chwila, nie będzie miał trudności. Anglia jest niebezpiecznym krajem dla młodego, kształtującego się umysłu. Za dużo w niej wolności — nawet w powietrzu.

I tak Vanessa dorastała za granicą, studiując pod kierunkiem najlepszych mistrzów Włoch i Francji i ani chwili nie zostając bez nadzoru ostrej, ale uzdolnionej opiekunki.

Nawet służbę zmieniano natychmiast, jeżeli madame de Jainon powzięła najlżejsze podejrzenie, że przez nią dziewczynka mogłaby się zarazić nowoczesnymi poglądami. I rezultatem tego było to, że Vanessa mając lat dziewiętnaście i będąc bardzo wykształconą panną, zupełnie była nieświadoma życia i jego niespodzianek.

— W swoim czasie twój ojciec zapozna cię ze światem — mówiła jej zawsze madame de Jainon i wszystko szło zwykłym trybem, tak że Vanessa rzadko kiedy nastrojona była buntowniczo. Największe jej wybuchy były z powodu sukien. Dziewczyna miała wrodzone poczucie smaku — pewien naturalny szyk — a nigdy nie wolno jej się było nim kierować. Ojciec zabronił chodzenia po sklepach i najbardziej poważane, staromodne magazyny przysyłały towar do domu.

— Gdy wyjdzie za mąż, będzie się ubierała elegancko — twierdził pan Levy, badając rachunek Chanela, który przedstawiła mu Nanette — jego mała przyjaciółka.

Kiedy dziś wszedł do swego domu w Hampstead, starego budynku, otoczonego wysokim murem, miał minę pełną zadowolenia. Nie widział przeszkód w swoich planach i wszystko oglądał w różowym kolorze.

Uważał, że będzie przezorniej powiadomić madame de Jainon o swej decyzji. Ta zaś tęskniła do chwili, kiedy jej pupilka wyjdzie za mąż, a ona otrzyma sporą rentę i swobodę.

Kiedy usłyszała nazwisko St. Austel spojrzała w dal, jak gdyby chciała sobie coś przypomnieć.

— Co? — zapytał Beniamin Levy.

— Ach! Wiem już! Wczoraj w operze słyszałam to nazwisko. Widziałam, jak wskazywano na jakiegoś mężczyznę w łoży klubowej. Vanessa pewnie go także zauważyła.

— Kapitalnie, kapitalnie. Beniamin Levy zacierał z radością dłoń. Lunch podano w stołowym pokoju, urządzonym w stylu z wczesnej

epoki wiktoriańskiej. Pan Levy podziwiał wykwintny styl całego domu, który nabył od bogatego dziewięćdziesięcioletniego starca

Vanessa nie знаła przedtem prawdziwie pięknego, angielskiego domu. Widziała jednak wiele pałaców we Florencji i Wenecji — znała światowej sławy muzea, gust więc miała wyrobiony na arcydziełach sztuki.

— Jest pięknnością, wspaniałą pięknnością — rzekł do siebie Levy, patrząc z dumą na córkę. Każda linia u niej jest doskonała. Głowa osadzona na łabędziej szyi, pełna jest kobiecości, nie ma w sobie nic z nowoczesnej chłopczycy. Jaka smukła i wiotka jest jej postać!

Beniamin Levy był człowiekiem kulturalnym i światowym, żona zaś jego a matka Vanessy, była piękną Rzymianką, dobrze urodzoną, choć biedną dziewczyną.

Po skończonym lunchu, pan Levy zaprosił Vanesę do swego gabinetu i powiedział jej bez żadnych ogródek, że wybrał jej męża, którego pozna dziś wieczorem. Śliczne czarne oczy dziewczęcia otworzyły się szeroko, zbladła, ale nic nie odpowiedziała.

Beniamin Levy umiał przeniknąć myśli drugich i odgadł od razu, że jakiś nowy czynnik wkraść się do wyobraźni jego córki.

— On podobno widział cię w operze, moje dziecko — dzisiaj zaś prosił o twą rękę.

Krew uderzyła jej do głowy.

— Papo — jak się nazywa?

— Hrabia St. Austel.

Śliczny rumieniec zakwitł na twarzy Vanessy.

— I prosił o moją rękę? — Oczy jej były jak gwiazdy.

— I naprawdę pragniesz, papo, abym go przyjęła? — Musiał mnie widywać chyba przedtem, chociaż o tym nie wiedziałam. Czytałam, że Anglicy żenią się tylko z miłości.

Policzki jej były teraz jak kwitnące róże, ośmieliła się mówić z ojcem o tak zakazanej rzeczy, jaką jest miłość! Delikatnie zmarszczyła czoło.



— To nonsens, dziecko. Wśród arystokracji wszystkie małżeństwa są kontraktem jak w innych krajach. Twoje jest też ułożone, ale prawdopodobnie opera przyczyniła się do przyśpieszenia terminu.

Mówiąc to nie patrzył na córkę, bo czuł, że nie może spojrzeć jej w oczy. Czy były ciemne, czarne czy też niebieskie — nikt tego nie mógł określić były jednak niezgłębione i piękne.

— Lord St. Austel będzie dziś u nas na obiedzie a wasz ślub odbędzie się piątego czerwca.

— A dzisiaj mamy piętnastego maja, papo — tak więc niebawem?

— Długie zaręczyny są niemądre, moja droga.

— Dobrze więc papo.

Levy ucałował córkę i powiedział jej, że może odejść. A kiedy zamknęła drzwi i słyszał jeszcze jej lekkie kroki na korytarzu—dwie łzy zabłyszczały w szarych oczach Beniamina.

— Miłość! — rzekł do siebie. — Każdy mężczyzna musi ją pokochać, gdy ją pozna—a St. Austel jest gentlemanem i inną drogą nie moglibyśmy go zdobyć.

Vanessa tymczasem dotarła do swego pokoju i stanęła przy oknie, spoglądając nad wierzchołki drzew na wzgórze Londynu niebieskie w oddali. Patrząc nań nie widziała go jednak. Widziała tylko twarz mężczyzny, trochę kapryśną a jednocześnie smutną — dziwiła się losowi. — Znowu przypomniały jej się słowa TeTtinson'a.

*„I pokochała go — tą miłością, która stała się jej przeznaczeniem.”*

— Nie! Ona będzie jej chwałą — a nie skazaniem! Usłyszała w tej chwili radosną piosenkę, którą zanucił drozd.

## Rozdział IV

Lokaj Huberta, który uwielbiał swego pana — rzadki wypadek spowodowany wspólnym przebywaniem na froncie — gdy St. Austel odjechał do Hampstead, zwierzył się kamerdynerowi ze swego spostrzeżenia. Zauważył mianowicie, że jego lordowska mość miał dziś wyraz twarzy taki, jak niegdyś w okopach, kiedy przebywali w specjalnie błotnistym miejscu. (Użył niestety innego słowa, którego nie można powtórzyć). Sędziwy kamerdyner nie był na wojnie, z pewnym więc zniecierpliwieniem zapytał, jaki był ten wyraz twarzy ich pana? Otrzymał na to odpowiedź, że buldoga, który wystawia zęby na coś, czego nie lubi, a postanowił to zgryźć.

Obydwaj lokaje nie wiedzieli, że pan ich spożywa pierwszy obiad z narzeczoną!

Vanessa ubrała się bardzo starannie. Nie ośmieliła się zmienić uczesania bez pozwolenia ojca, ale trochę wolniej upięła włosy nad czołem. Jej bladoniebieska sukienka zanadto była suta i zakrywała jej smukłe kształty, a bardzo białe z natury ręce były zaczerwienione skutkiem zdenerwowania. Ale oczy jej błyszczały i policzki płonęły. Stała obok ojca, gdy lokaj oznajmił przybycie lorda St. Austel. Wzajemne poznanie odbyło się natychmiast.

Hubert ledwie spojrzał na nią. Kierowany uprzedzeniem odniósł wrażenie, że widzi przed sobą niezgrabną uczennicę. Mała ręka, którą ujął, wydała mu się wilgotna i zimna. Wszystko to tak go poirytowało, że

unikął wzroku narzeczonej i zadowolił się rozmową o polityce ze swoim przyszłym teściem od czasu do czasu tylko rzucając jakieś słowo w stronę obydwóch pań. Pod koniec obiadu serce Vanessy niemal zamarło, a twarzyczka jej stała się śnieżnobłądą.

Pan Levy polecił madame de Jainon, aby zanim zejdą na obiad, poinformowała jego córkę, że Anglicy są bardzo sztywni i że narzeczony Vanessy nie będzie się do niej często zwracał, uważając to za niestosowne. Na to młoda dziewczyna była przygotowana, ale żeby się wcale na nią nie patrzył uważała za przesadę i okrutnie cierpiała. Poza tym coś krępowało ją w jego obecności i czyniło niezgrabną.

Lord St. Austel z bliska był bardziej przystojny aniżeli sobie wyobrażała. Nigdy dotąd nie słyszała wysoce poprawnej angielskiej mowy — bo ojciec jej, tak jak i ona sama, posiadali delikatny akcent cudzoziemski. W jej ustach dialekt był specjalnie wdzięczny — ale nie wiedziała o tym ani też o tym, że szyk jej zdań był prawidłowy. Nawet Hubert zauważył, że parę słów, które wypowiedziała, miały wyjątkowo miły dźwięk dla ucha. Jego głęboki głos i sposób wyrażania się podobały się Vanessie nadzwyczajnie. Wszystko wprowadzało ją w zachwyt. Zauważyła jego silne, kształtne ręce i świetnie leżący frac, i śnieżną białość kamizelki, i sposób wiązania krawatu. Ledwie odważyła się podnieść oczy — ale raz czy dwa spojrzała mu prosto w twarz i serce zabiło jej tak mocno, że miała wrażenie, iż wszyscy to słyszą.

Po obiedzie Beniamin Levy i madame de Jainon uznali, że należy zostawić narzeczonych samych i usunęli się na drugi koniec salonu.

Hubert przemówił pierwszy, nie zdając sobie sprawy z tego, że cień arogancji a nawet sarkazmu odbijał się w jego głosie. Przekonany był jednak, że córka musi być wyrachowaną materialistką tak jak ojciec, skoro zgodziła się przyjąć go, nie znając wcale.

— Mam nadzieję, że nie sprawia pani przykrości poślubienie mnie — rzekł sucho.

— Ojciec wyraził mi pańskie życzenie.

Śliczne jej oczy skierowały się na dywan, inaczej zauważyłaby blask pogardy i zdziwienia we wzroku Huberta.

— Więc naturalnie stosuję się do woli ojca, co zgadza się zresztą i z moim pragnieniem.

Hubert wyjął piękny brylantowy pierścionek, który kupił dziś u Cartier'a.

— Proszę, niech pani zechce to nosić. — Ujął rękę dziewczęcia, ale nie zauważył jej doskonałego kształtu. Wsunął szybko na jej palec pierścionek i puścił dłoń.

— Dziękuję pani — szepnął, po czym cofnął się, a Benjamin Levy, przeczuwając komplikacje, które mogłyby wyniknąć, podszedł do młodych.

— Będę musiał pojechać w poniedziałek do swego majątku w Wales na dwa tygodnie — oznajmił lord swemu przyszłemu teściowi — ale mam nadzieję, że pan, panna Levy i madame de Jainon przyjmą w niedzielę moje zaproszenie na obiad, na którym będzie moja ciotka lady Merton i wujostwo lord i lady Hurlshire.

Pan Levy podziękował za zaproszenie. Rad był niezmiernie, że lord St. Austel przyjął wszystko tak dobrze. Znał dobrze poglądy i wychowanie gentlemana i wiedział, że skoro raz umowa zostanie zawarta, jego lordowska mość bez względu na Własne uczucia będzie bardzo uprzejmy.

Gawędzili jeszcze trochę. Poglądy Beniamina Levy na sprawy państwa były bardzo zdrowe i mądre, warto więc było ich słuchać. Powściągliwość i znudzenie Huberta powoli zaczęło ustępować. Vanessa patrzyła na niego z głębokim uwielbieniem przez sekundę, a potem stłumiła zachwyty, tak że kiedy obojętny narzeczony w kwadrans później życzył jej dobrej nocy, stała z głową podniesioną po królewsku, zupełnie zimna.

Hubert jednak wcale tego nie zauważył. Wieczór był dla niego zmorą. Wracając do domu, wstąpił do Whita na brandy z wodą sodową. Znajomi, którzy go tam widzieli, zapamiętali jego dziwny wygląd.

Bomba spadła na Londyn, kiedy następnego rana gazety ogłosiły małżeństwo między lordem St. Austel, a Vanessą, jedyną córką Beniamina Levy bankiera z Hawthorne House, Hampstead i 112 rue de Bassano, w Paryżu.

Hubert odjechał autem do St. Austel w Hampshire razem z pułkownikiem Dangerfieldem wczesnym rankiem, zanim jego najlepsi przyjaciele, po przeczytaniu wiadomości, mogliby mu złożyć telefonicznie gratulacje.

Vanessa leżała jeszcze drżąca z podniecenia, gdy pokojowa przyniosła jej do łóżka „Morning Post” — jedyny dziennik, który wolno jej było czytać. Służąca była starszą Francuzką, znała zapatrywania swego pana i stosowała się do jego rozkazów. Pogratulowała więc tylko panience i zapewniła, że czeka ją wielkie szczęście w roli angielskiej hrabiny.

A kiedy romantyczna dziewczyna została sama, ucałowała pierścionek od Huberta. Z pewnością pokochają kiedyś, gdy będą poślubieni — pomyślała. Nie znała wcale mężczyzn i madame de Jainon wytłumaczyła jej, że lord St. Austel jest ideałem dobrze wychowanego arystokraty bez żadnych wulgarnych wzruszeń.

— Moja droga — zakończyła — o wszystkim sama się później przekonasz — i Vanessa musiała zadowolić się nadzieją.

Następnego dnia w piątek, Hubert powrócił z St. Austel. Czekala go rozmowa z jeszcze jedną kobietą.

Księżna Lincolnwood chwyciła codziennie gazety, szukając potwierdzenia nienawistnych jej wiadomości, wyczytała je w piątek i ogarnął ją wielki ból i smutek. Cały Londyn wiedział, kim był Benjamin Levy i mnóstwo osób utrzymywało z nim nawet towarzyskie stosunki, ale o córce nigdy nie było mowy. Co więc mogło skłonić Huberta do takiego małżeństwa? Huberta, który był bogaty i niezależny i nie posiadał instynktu do handlu? Huberta, takiego arystokratę, który nie interesował się parweniuszami.

Żeby ósmy hrabia St. Austel zenił się z córką zwykłego kapitalisty, Żyda, to niebywałe! Po wojnie naturalnie, wszystko się zmieniło i znikły wszelkie bariery, ale przecież coś takiego nie powinno było zajść! Nie było końca rozmów i dysput na ten temat. Stary markiz i markiza Hurlshire i całe grono innych ciotek i wujów Huberta uważali, że obowiązkiem ich jest czynić te i tym podobne uwagi.

Tymczasem lord St. Austel po powrocie w piątek rano, przeglądał wszystkie listy i nie obrażając nikogo, z wrodzonym sobie taktem, dał wszystkim do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych komentarzy i postąpi tak, jak uzna za stosowne.

Sędziwa markiza Hurlshire potrząsnęła głową i nagle przestała oponować.

— W tym jest coś więcej aniżeli oko może dostrzec — rzekła — i kto wie czy nie lepiej dla Hurlshirów robić dobrą minę do złej gry,

bo biedny Hubert gotów zrobić coś nieoczekiwanego i zrujnować nas wszystkich.

Gdy markiza obierała jakieś stanowisko, reszta rodziny szła za nią. W tym wypadku więc wszystko poszło gładko. Lord St. Austel, wchodząc do prywatnego saloniku Alicji na Upper Street, zastał światła przyćmione a w kominku płonący ogień. Księżna wyglądała uroczo i kusząco, ale Hubert usiadł z dala na fotelu, a nie obok niej na sofie, jak tego oczekiwała. Milczał.

— No — rzekła z cieniem zniecierpliwienia. — No? Pragnę wiedzieć wszystko. Dlaczego wybrałeś córkę Żyda?

— Bo jest miłą dziewczyną, która rosła i wychowywała się z dala od naszego rozkosznego, przewrotnego świata.

— Czy to jest powodem — czy też ją kochasz? Dziwny uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Oryginalne, że kobiety interesują się zawsze uczuciem mężczyzny — brzmiała odpowiedź. — Mogę zapalić?

— Czyli kochasz ją i boisz się wyznać mi prawdę — proszę, zapal.

— Dlaczego miałbym się bać, Alicjo?

Popatrzył prosto w jej oczy, tak że spuściła znużony wzrok. Wiedziała dobrze, że w najbardziej płomiennym okresie ich przyjaźni nie wypowiedział nigdy upragnionego przez każdą kobietę słowa „kocham cię”. Zawsze był ostrożny. Czasami gwałtowny, częściej obojętny — rzadko kiedy czuły. Starła się w siebie wmówić, że Hubert ją kocha, skoro codziennie do niej przychodzi, ale nie miała żadnych dowodów jego przywiązania.

Gdyby Alicja posiadała więcej sprytu i inteligencji, odegrałaby obecnie rolę serdecznej, wiernej przyjaciółki, która cieszy się jego losem i gratuluje mu szczęścia, ale delikatnie daje do poznania, że wiele traci. Ona tymczasem, nie mogąc opanować swego niezadowolenia, zarzucała Huberta pytaniami.

— Jakże wygląda ta twoja nowa miłość? Hubert wyciągnął się leniwie w fotelu.

— Jest czarna i bardzo młoda.

— Czy gładko uczesana i włosy ma upięte na szyi w węzeł? — Oczy księżnej błyszczały złośliwie.

Huberta ogarnęło zdumienie, którego nie okazywał.

- Tak, zdaje się, że tak.

Alicja ugrzesła wśród miękkich poduszek. - Byłam tego pewna

- zaszłochala niemal - i ty śmiales we wtorek siedzieć w mojej łozie,

wtedy, kiedy ona była na dole i nawet mi jej nie pokazałaś. Nic

dziwnego, że z takim zachwytem patrzyła na ciebie. W oczach księżnej

ukazały się łzy.

- Dowiaduje się czegoś nowego - pomyślał lord St. Austel,

a głośnie rzekł:

- Najpiękniejsza, - nie rob dramatu, - daj rączkę, Alicjo

i pozostanmy przyjaciółmi.

Pochylił się, ujmując dłoń księżnej. Chociaż paznokcie miała

starannie wypolerowane, kształt ich był brzydki.

Rece kobiet jednak są przeznaczone do całowania - nawet wtedy,

kiedy trzeba to czynić z zamkniętymi oczami. St. Austel sklonił więc

głową i złożył pocałunek na białej, nieco twardej dłoni Alicji.

- No, teraz wiesz już wszystko. Żenie się piątego czerwca. Należ mi

na razie herbaty!

## Rozdział V

Piątego czerwca przed kościołem St. Margaret w Westminster zebrały się niezliczone dумы. Cała arystokracja zgromadziła się w świątyni, a w jednej z ostatnich ławek zajął miejsce Oskar Isaacson. Twarz miał śmiertelnie bladą, a czarne jego oczy złowrogo błyszcząły. Wśród ścisku nikt nie zauważył młodego urzędnika.

Hubert, czekając przed ołtarzem na pannę młodą, robił wrażenie kamiennego posagu. Vanessa przeziębila się silnie i obiad, na który narzeczony prosił ją z ojcem, został odłożony.

Gdy Hubert jednak wyjechał w interesach na północ, rodzina jego złożyła wizytę pannie Levy i bliżej się z nią zapoznała.

— Jak oni wszyscy świetnie odgrywają komedię — myślał Hubert, gdy pisano do niego, że Vanessa jest czarującą, śliczną dziewczyną.

Z podróży swej wrócił dopiero w wilię ślubu, tak że prócz jednego razu w dniu, kiedy się zaręczyli, wcale nie widział narzeczonej. Lord St. Austel na samym początku zaznaczył wyraźnie.

— Niech pan mnie nie zmusza, panie Levy, do grania roli narzeczonego bo zerwę całą umowę. Proszę załatwić wszelkie formalności i jak najprędzej zakończymy tę farsę. Nie wiem, jakiej religii jest pańska córka — dodał następnie — chcę w każdym razie, aby ślub odbył się w kościele St. Margaret w Westminster, gdzie moja rodzina przyzwyczajona jest uczestniczyć w uroczystościach.



Beniamin Levy posiadał poczucie humoru, uśmiechnął się jedynie pobłaźliwie.

— Moja córka była wychowana w ten sposób, aby mogła przyjąć religię męża, którego jej wybiorę.

— Nadzwyczajny system — rzekł lord St. Austel i zapalił papierosa. Ci dwaj mężczyźni rozumieli się zupełnie dobrze.

Hubert wydał rozporządzenie, aby w czasie jego nieobecności posyłano narzeczonej odpowiednie prezenty. Do pierwszego podarunku dołączył bilet.

*Droga Panno Levy — Mam nadzieję, że przyjmie pani ten mały dowód mego szacunku i że katar pani już minął. Szczerze oddany St. Austel.*

Bilecik nie bardzo był czuły i pomimo, że młoda dziewczyna wyszła ze szkoły madame de Jainon, wychowywanej przez swoją babkę z czasów Ludwika Filipa — odczuła jakiś brak w słowach narzeczonego.

Madame de Jainon zmarszczyła czoło.

— Twoje małżeństwo nie jest takie, jak innych obecnych panien — zresztą w arystokracji są inne zwyczaje.

— Ale gdy będę jego żoną, czy on także nie będzie się nigdy do mnie odzywał — nie będzie mnie kochał?

Madame de Jainon zapewniła ją ponownie, że małżeństwa arystokratyczne nie mają nic wspólnego z wulgarnymi sprawami serca.

— Czyż miłość można nazwać wulgarną? — zapytała biedna Vanessa.

Martwiła się, że skutkiem przeziębienia ominął ją obiad, na który zaproszona była z ojcem przez St. Austela.

Rodzinę narzeczonego zmuszona była poznać także sama w czasie jego nieobecności. Markiza Hurlshire złożyła wizytę swojej przyszłej siostrzenicy i niezwykle wdzięk Vanessy i jej skromność zdobyły od razu sympatię wytwornej damy.

Jedna z arystokratek, mająca zobowiązania wobec Beniamina Levy, zajęła się całą wyprawą i strojem jego córki, tak, że Vanessa zupełnie zmieniona kroczyła u boku swego ojca. Wspaniały sznur pereł ozdabiał śnieżno białą postać panny młodej a tiulowy welon zasłaniał jej bladą twarz, na którą Hubert St. Austel nie zwrócił żadnej uwagi. W sercu

pana młodego odzywał się bunt. Ten cały ceremoniał, to cena nałożona za zaufanie, jakim go obdarzyli jego przyjaciele. Trudno, musi ją zapłacić tak samo, jak trzeba znieść nieszczęście, które na człowieka spada i nie okazać swego bólu światu.

Dla Vanessy zaręczyny były jednym pasmem radości i smutku. Pan Levy usuwał delikatnie każdą jej wątpliwość. Znał dobrze ludzkie wzruszenia i odgadywał to, co się działo w duszy jego dziecka.

— Wszystko skończy się dobrze, niech tylko zostaną sami — mówił do siebie. — Zmęczona wyobraźnia jego lordowskiej mości będzie miała rozkoszną niespodziankę.

St. Austel smucił się, że Ralf Dangerfield nie mógł być na jego ślubie. Wyjechał na dalszą kurację do Paryża i nie poznał nawet panny Levy.

Państwo młodzi mieli spędzić pierwsze dni po ślubie w majątku St. Austel i wrócić na otwarcie sezonu do Londynu, aby młoda hrabina została przedstawiona w czerwcu na dworze królewskim.

Alicja, księżna Lincolnwood, początkowo nosiła się z zamiarem wyjechania za granicę, aby nie być na ślubie Huberta. Duma jednak przewyciężyła niechęć i kazała jej wziąć udział w ceremonii. Kiedy więc Vanessa szła powoli, oparta na ramieniu ojca, uderzył ją widok jasnej, pięknej pani, stojącej w jednej z ostatnich ławek. Bolesne uczucie zazdrości wkradło się do duszy Vanessy. Ceremonia trwała godzinę, po czym państwo młodzi wsiedli do auta i nareszcie po raz pierwszy zostali sami.

Twarz Huberta przedstawiała maskę. Vanessę porównać można było do białej lilii w bukietach. Czowała się głęboko wzruszona. — Co on jej powie? — Ten wymarzony sir Lancelot! — Pewnie coś cudownego, czego dotąd nie słyszała. — Czy uściśnie jej rękę, okaże pewien szacunek, który musi dla niej żywić. Madame de Jainon zapewniała ją przecież, że małżeństwo powinno być oparte na wielkim wzajemnym poważaniu.

A tymczasem sir Lancelot rzekł: — Będzie padał deszcz — po czym spojrzął przez szybę. Parę białych chmur zasłaniało słońce. Vanessa nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Poza dalszą rozmową na temat pogody, nie zamienili ze sobą ani słowa i gdy przybyli wreszcie do Ritza, gdzie miało odbyć się przyjęcie, dochodziła godzina czwarta. Stojąc teraz obok siebie, przyjmowali

gratulacje od zebranych gości, którzy jednogłośnie orzekli, że panna młoda jest ślicznym, egzotycznym kwiatem.

— Wcale nie wygląda na Żydówkę — ktoś powiedział.

— Matka była Włoszką, katoliczką — brzmiała odpowiedź.

— Ale St. Austel nie robi wrażenia uszczęśliwionego.

— Stary Hubert zawsze jest powściągliwy.

— Rzeczywiście, prześliczna — nie cierpię jej — szeptała do siebie Alicja.

Po piątej godzinie Vanessa, znużona i wyczerpana wrażeniami, poszła się przebrać.

— I co powiesz na to — mówił później w St. Austel strzelec Harding do swego przyjaciela kamerdynera. — W czasie ubierania do ślubu jego lordowska mość opowiadał o nowej strzelbie i młodych głuszcach, jak byśmy mieli wyruszyć na polowanie.

— Wszystko się zmieniło i to już nie to, co było za moich młodych lat — odparł kamerdyner — wówczas ludzie po ślubie bywali trochę podnieceni.

Kiedy lord i lady St. Austel wsiedli nareszcie do Rolls Royce'a ani jedna osoba nie życzyła im powodzenia. Jasne było, że tylko miłość połączyła tych dwoje — szeptano między sobą. — A to już przesada u Huberta, aby nie okazać żadnej radości i być tak zimnym jak lód.

Beniamin Levy ucałował serdecznie córkę na pożegnanie. Uczucie przepełniało jego serce i nie mógł zdobyć się na słowa. Madame de Jainon zaś rzekła:

— Pamiętaj, drogie dziecko, w małżeństwie jest wiele rzeczy osłoniętych tajemnicą dla młodych dziewcząt ale uległość i szacunek pozwalają im wszystko przetrwać.

— Okropny jest ten gwar i ruch — usłyszała zajmującą uwagę Vanessa, kiedy mijali most Hammersmith.

Milczenie, jakie znowu między nimi zapadło, przerażało ją i krępowało.

— Tak, rzeczywiście — szepnęła.

— Czy lubisz wieś? — Zapytał Hubert, uważając, że nareszcie znalazł odpowiedni temat do rozmowy. Vanessa odpowiedziała mu jednak, że nigdy nie widziała angielskiej wsi.

— Czy będziemy mieszkać w St. Austel? — zapytała nieśmiało.

— Stale nigdzie nie będziemy przebywać. Stosownie do pór roku będą odpowiednie zajęcia — rzekł Hubert. Vanessa marzyła o własnym domu, miejscu, gdzie stale będzie przebywała, które pokocha i do którego się przywiąże. Od ojca słyszała, że powinna zaznajomić się z położeniem dzierżawców i pod każdym względem spełniać sumiennie obowiązki, które będą do niej należały.

Beniamin Levy nie wspomniał tylko córce, że prawdopodobnie czeka ją ciernista ścieżka, po której wbrew skierowanym ku niej uprzedzeniom, trzeba jej będzie kroczyć. Vanessa była dumna jak królowa Elżbieta i nie zrozumiałaby słów ojca.

— Jak długo będzie trwała nasza jazda? — zapytała młoda hrabina po upływie dziesięciu minut, w czasie których Hubert, wtulony w kąt auta, milczał zawzięcie.

— Od Piccadilly jedzie się równo dwie godziny — sędzę, że będziemy około ósmej na miejscu.

— Gdyby St. Austel się nieco odwrócił, musiałby zauważyć śliczny profil Vanessy, zarysowujący się na tle zachodzącego słońca. On jednak obawiał się popatrzeć na żonę, aby nie wyczytała niechęci w jego oczach. Nigdy w życiu nie czuł się takim głupcem, jak w tej chwili.

Minęły dwie godziny i półmrok zaczął zapadać, gdy dojechali do bramy zamkowej od strony wschodniej.

Tutaj mała córeczka odźwiernej ofiarowała lady St. Austel bukiet i służba folwarczna powitała państwa młodych. Hrabia St. Austel nie pozwolił na żadne inne owacje.

Serce Vanessy biło gwałtownie, kiedy uśmiechała się i dziękowała za kwiaty, Hubert zaś kłaniał się uprzejmie na wszystkie strony, po czym wjechali w aleję i panna młoda ukryła twarz w bukietku.

— Ach jaki śliczny! — zawołała, gdy auto wjechało na wyższy teren i oczom jej przedstawił się wspaniały zamek otoczony drzewami. W oddali spostrzegła parę biegnących jeleni.

— Są więc i sarny — pomyślała Vanessa — z książek znała opisy angielskich parków z sarnami. Tutaj więc będzie czasami, jeżeli nie zawsze przebywała. A tymczasem Hubert doznał silnego wzruszenia i zacisnął usta.

— Jakąż okropną cenę musiał zapłacić za swój honor! Jest więc związany z tą czarną Żydóweczką, przywozi ją do rodzinnego gniazda,

gdzie każde drzewo jest dla niego święte, gdzie każdy pień, każdy kamień, budzi w nim drogie wspomnienia.

Pomimo pozornej obojętności i cynizmu, Hubert kochał swój rodzinny majątek i jego tradycje.

Stanęli wreszcie przed frontem domu, gdzie w otwartych drzwiach oczekiwała państwa uroczysta służba.

— Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zmęczona — zbudził Vanesę z zamyślenia głos męża. Potem do jej pokoju zaprowadziła ją równie uroczysta klucznica. Vanessa rzuciła tylko przelotne spojrzenie na salon, którądy szły, wielką klatkę schodową i na długą galerię, z której ścian spoglądały na nią portrety Culverdalów.

— Spodziewam się, że pani hrabina zostanie tu wszystko wedle swego upodobania i gustu — rzekła pani Hopkins — życzymy jej wszyscy dużo szczęścia.

Przyszła i panna służąca, która dożyła swej pani życzenia, a Vanessa stała uśmiechnięta, z miną cesarzowej i nie chciała, żeby ktokolwiek odgadł, że czuje się tak samotna i opuszczona.

## Rozdział VI

Tymczasem lord St. Austel spacerował wzdłuż tarasu, ciągnącego się pod oknami salonu i patrzył przed siebie. W świetle zachodzącego słońca złociły się rdzawo młode buki. Na aksamitnym, zielonym kobiercu, po obydwóch stronach domu, pełniły straż przyboczną zamku.

Z dala widać było balustradę, otaczającą włoski ogród i falujący park. Spokój i cisza panowały w powietrzu, tylko serce Huberta było wojennie nastrojone. Wszystko, na co spoglądał, było tak głęboko przepojone tradycją, którą on — burzył. Wszedł do salonu.

Więc córka Żyda-bankiera będzie rozdawała herbatę tam, w tej greckiej rotundzie, obok starych buków, gdzie siadywała jego matka! Ukochana matka, która umarła w czasie wojny.

Rozmyślenia te jednak nic nie pomogą! Trzeba mu się ubrać do obiadu i zacząć miodowy miesiąc! O ironio!

Vanessa wyglądała przepięknie, kiedy nieśmiało otworzyła drzwi wspaniałej ubieralni i weszła do buduaru.

Pierwszy raz miała na sobie długą, powłóczystą suknię z miękkiej, błyszczącej blado różowej materii. Do paska przypięła bukiet polnych róż.

— Co mam teraz uczynić — dumiała. Zmierzch zapadał — pewnie już pół do dziewiątej. Hubert mówił, że o tej godzinie podadzą obiad.

Po przeciwnej stronie sypialni drzwi prowadziły do drugiej ubieralni — tak powiedziała klucznica. — Czy tam więc ubiera się jej mąż? Jej mąż! — powtórzyła cicho.

Wtem usłyszała pukanie do drzwi i wszedł lokaj, aby powiadomić ją, że pan hrabia czeka w salonie. Serce Vanessy zaczęło tłuc się gwałtownie, lecz uzbroidła się w stoicki spokój i podążyła za służącym wzdłuż galerii i szerokich schodów. Na środku wielkiego salonu stał Hubert, który ledwie spojrzął na żonę.

Wśród rześistego oświetlenia lamp, Vanessa podeszła do otwartych na taras drzwi. Ogarnęło ją uczucie onieśmielenia. Wspaniałość i dostojność otoczenia działały na nią przytłaczająco. Po chwili, u boku męża, kroczyła wolno za lokajem. Minęli zielony salonik i drugi pokój pełen serwantek i cudownej porcelany, aż wreszcie przez drzwi, które otworzyło dwóch wypudrowanych kamerdynerów, weszli do stołowego pokoju. Stolik ich niknął na tle obszernej jadalni. Z całą uroczystością pan Podder, główny kamerdyner, przytrzymał krzesło pani hrabiny, która rada była z tego, bo czuła, że kolana uginają się pod nią wskutek zdenerwowania. Lord St. Austel bowiem—j ej mąż—ani słowem się jeszcze do niej nie odezwał. Jego powściągliwość była okrutna. Czy ona w czymś zawiniła? Czy powiedziała lub zrobiła coś nieodpowiedniego?

Wreszcie Hubert, nie patrząc na nią, przełamał lody i zwrócił się do żony z pytaniem, czy lubi muzykę.

— Ach! tak — odparła Vanessa. — Lubię szczególnie „Madam Butterfly”, pamiętasz, wystawiano ją wtedy, kiedy mnie zobaczyłeś w operze.

Hubert podniósł głowę, przypomniał sobie coś, jakby przez mgłę.

— Zdaje mi się Alicja o tym wspomniała.

Vanessa odniosła wrażenie, że powiedzenie jej zdziwiło męża. Przelekła się i zaczerwieniła, lecz nieśmiało ciągnęła dalej.

— Owego wieczoru, kiedy byłeś w łoży księżnej Lincolnwood

— widziałam cię po raz pierwszy.

Patrzył teraz na nią przez chwilę, gdy zbierano głębokie talerze, ale ona odwróciła głowę.

— Ach tak! — mruknął. Trudno mu było przyznać się, że wcale nawet nie wiedział, iż była na sali. Roztrząsał więc na razie zasługi Pucciniego i zaznaczał różnicę między nim a nowoczesnymi kompozytorami.

— Może i on jest nieśmiały? — zastanawiała się Vanessa — tak pragnęłabym wiedzieć, kiedy i gdzie widywał mnie przedtem.

Lokaj napełnił lampki szampanem. Dotąd ojciec rzadko kiedy pozwolił jej kosztować tego napoju — gdy wypije, nie będzie się może czuła tak zdenerwowana. Tym samym pocieszał się Hubert. Pierwszą lampkę wypił duszkiem, ale sytuacji to nie polepszyło. Trzymał się jeszcze pewien czas takich tematów jak muzyka i malarstwo po czym obiad się skończył. Vanessa nie odzyskała swobody. Myślała o tym, gdzie znikają ci uroczyści lokaje? Czy wszystko słyszą, o czym się mówi? Czy przy każdym posiłku będą tak asystowali? Znikli wreszcie na dobre. Lord St. Austel wstał i zapalając papierosa powiedział, że kawę wypiją w niebieskim saloniku.

— Więc jest więcej saloników? Jaki kolosalny musi być dom! Niebieski salonik nie był tak obszerny, jak zielony po drugiej stronie

wielkiego salonu, ale robił wrażenie bardziej zamieszkałego. Na jednym ze stolików Vanessa zauważyła w pięknej, srebrnej ramce fotografię księżnej Lincolnwood. Obok leżały ślicznie oprawne książki i stały flakony pełne kwiatów. Vanessa spostrzegła, że w każdym pokoju było biurko zaopatrzone we wszystkie przybory do pisania. Na skórzanych teczkach i papierach listowych widniała korona. Czyim obowiązkiem będzie dopilnować tego wszystkiego? Jeżeli to ma być jej dom, powinna dbać o wszystko.

Lokaje wnieśli na tacy kawę i przerwali milczenie, które znowu zapadło między małżonkami. Noc była cudowna i okna pootwierane. Lord St. Austel postawił filizankę na stole i patrzył na gwiazdziste niebo. Musi się przecież nagiąć do swej roli pana młodego. Wysączył trzecią benedyktynekę, żona jego nie chciała ani kawy ani likierów.

O czym ma z nią rozmawiać — zastanawiał się. Temat muzyki i malarstwa wyczerpali w czasie obiadu. W rogu pokoju stał otwarty duży fortepian. Może ona grywa, może śpiewa?

— Czy nie zagrałabyś czego? — zapytał niepewnie. Żeby on — Hubert St. Austel, czuł się zmieszany w obecności córki Beniamina Levy — lichwiarza — to niebywałe!

Vanessa, rada z każdej zmiany, wstała i podeszła do instrumentu. Zanadto jednak była zdenerwowana, aby w grę włożyć uczucie. Uderzała machinalnie w klawisze i wprawiała tylko w zdumienie swą techniką. Hubert wyszedł na taras i upajał się pięknem letniej nocy.



— Co mam począć? — myślał. Nie mogę się wytłumaczyć pisaniem listów. Jak dam jej do poznania, że czas, aby się udała na spoczynek?

Wrócił do salonu i oparł się o fortepian, co zmieszało Vanesę tak, że przestała grać.

— Chodźmy na taras — rzekła nieśmiało — tutaj tak duszno. Hubert zastosował się do życzenia żony.

A tymczasem służący lorda, ku zachwytowi jednej z pokojówek, Agnes Johnson, w ubieralni, po prawej stronie sypialni, z uszanowaniem rozkładał piżamę koloru rezedy.

— Co za miękki jedwab! — rzekła Agnes. — Jaka szczęśliwa jest młoda pani!

A równocześnie po lewej stronie, naczelną pokojową, Sara Brown, doznawała wzruszeń. Magdalena bowiem także przygotowywała na noc poślubną uroczy strój dla hrabiny St. Austel. Obok nocnej koszuli barwy różowego obłoka, leżał szlafrok, a małe wytworne pantofelki stały pod krzesłem.

Sara Brown wzięła jeden z nich do ręki. — Takiego rozmiaru jeszcze nie widziałam — zawołała — to pewnie 35 numer!

— Nóżki pani hrabiny nie są takie jak Angielek — odparła Magdalena.

— Ładna z naszych państwa para — rzekła Sara uroczyście — i mam nadzieję, będzie szczęśliwą!

Magdalena wzruszyła ramionami.

— Być może — pani hrabina jest niewinna jak małe jagnię, a pan hrabia zna wszystkie ładne kobiety w całej Europie! Czy to rozumiesz? Szczęście? Tego nie znajduje się w małżeństwie.

Sara zgorszyła się tą odpowiedzią i zamilkła.

Tymczasem młodo poślubiona para spacerowała tam i z powrotem po tarasie. Ani szampan, ani benedyktyнка nie rozgrzały Huberta. Wszystko w nim buntowało się, drgał każdy nerw. Jakaż to wstrętna farsa! Czy ona wie o całym handlu? Robi wrażenie bardzo prawej istoty. A jeżeli o niczym nie wie, co w takim razie myśli? Dlaczego się z nią ożeniłem? Z miłości! Mój Boże! Nie — rada pewnie, że została hrabiną. Trzeba jednak odegrać komedię do końca! Czy ująć jej dłoń? Pocałować ją? Może...

I wracając do salonu, ten wytrawny kochanek jak niezręczny student pochylił przy drzwiach swą postać i na policzku żony złożył zimny pocałunek. — Biję jedenasta godzina, Vanesso — rzekł szorstko

— musisz być zmęczona, idź się już położyć.

Gdy usta jego dotknęły jej twarzy, dziewczynę ogarnęło szalone wzruszenie. Wiedziała, że go kocha — kocha szalenie od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła w operze. Czy zdradziła się z tym i dlatego popatrzył na nią z takim zdumieniem przy obiedzie? Ten pocałunek

— ten cudowny pocałunek wyznawał wszystko. Hubert kocha ją więc

— ona należy do niego — jest jego żoną! Jakąkolwiek tajemnicę miłości zawiera — ona odkryje jej wszystko.

Piękna, grecka głowa Vanessy oparła się o ramię męża; dziewczyna przymknęła oczy.

Madame de Jainon powiedziała jej, że w małżeństwie musi być poddanie. Gdy się tak kocha, jak łatwo ono przychodzi...

Hubert jednak wnet odwrócił wzrok i biorąc sztywną żonę pod rękę, odprowadził ją do klatki schodowej. Ukłonił się jej jeszcze raz i gdy ona powoli kroczyła na górę, on skierował się do swego gabinetu w zachodnim skrzydle domu.

Tu zagłębił się w fotelu i ukrył twarz w dłoniach, a ulubiony jego pies Bob przybiegł i wtulił łeb między kolana swego pana. Hubert pogłaskał wiernego przyjaciela, po czym zapalił papierosa.

— Nie, tego nie mogę zrobić — zostać tutaj — wykluczone

— roześmiał się ponuro. — Lepiej już pójść na górę i odbyć wszystko.

— Siłą przyzwyczajenia skierował się do swej zacisznej kawalerskiej sypialni w sąsiedztwie gabinetu. Nie zastał jednak przygotowanej nocnej garderoby. Roześmiał się ironicznie.

— Naturalnie, jaki ze mnie głupiec. Harding zna lepiej ode mnie moje obowiązki.

Oczy mu zabłyszczały na widok złotej flaszki, stojącej na stole. Nalał sobie brandy i jednym tchem wysączył wódkę — po czym przez długą galerię udał się do ubieralni po prawej stronie zamkowej sypialni.

Vanessa była zdziwiona, że nie zastała u siebie Magdaleny; znalazła natomiast na stoliku pisemne usprawiedliwienie służącej. Tłumaczyła swą nieobecność silnym bólem głowy. Magdalena miała takt!

Vanessa z bijącym sercem rozebrała się sama.

Hubert stał przed lustrem, odziany w wykwinną piżamę. Pierwszy raz w życiu czuł się idiotą.

Brandy podziałała na jego umysł tak, że był w wesołym usposobieniu i namiętny ogień tlił się w jego źrenicach. Z pewnością żona już czeka na niego. Rozstali się pół godziny temu. Zresztą, jeżeli z bliska się jej przypatrzeć, jest ładna. Całując jej policzki, zauważył jej aksamitną skórę. Może pomimo wszystko to nie będzie tak straszne. Może... Zwrócił się ku drzwiom i stanowczym krokiem wszedł do sypialni.

## Rozdział VII

Gdy Vanessa obudziła się, światło wciskało się przez szerokie okna, w których jedwabne story nie były zupełnie popuszczane. Na podwórzu zegar wybił dziewiątą i Vanessa usiadła zalekniona na łóżku. Gdzie jest? Co się z nią stało? Przez chwilę nie odważyła się spojrzeć na drugą stronę łóżka, wreszcie zdała sobie sprawę, że jest sama.

— Czy wszystko było snem? — pytała siebie. — Chyba nie. Jest mężatką, naprawdę mężatką. Na palcu spostrzegła swój brylantowy pierścionek i zadrżała wzruszona. Płonącą twarz ukryła w poduszki. Jakże ośmieli się teraz w dzień spojrzeć na Huberta? Co mu powie? Co on powie jej? Jakże bardzo go kocha!

Teraz z pewnością nie będzie już taki sztywny i powściągliwy, jak przy obiedzie. Nie chciała w myślach przeżywać żadnych wspomnień — doznawała jedynie jakiegoś nieokreślonego uczucia zdumienia. Całe jej pojęcie życia uległo zmianie. Obudziła się w niej jakaś nowa istota. Wyciągając alabastrowe ramiona, spojrzała nieśmiało na drugą stronę szerokiego łoża. Jego głowa o gęstych, ciemnych włosach, spoczywała tutaj. Ucałowała poduszkę, po czym roześmiała się beztrąsko. Czy on wróci? A może należy wstawać?

Za oknami rozlegały się szmery letniego ranka. W dzień sypialnia wydawała się tak kolosalna, a ona tak nikłą, małą osóbką.

Klucznica poinformowała ją, który dzwonek jest na pokojówkę, a który wzywa jej pannę służącą. Zadzwoiła na Magdalene. Gdy

Francuzka weszła, Venessa uzbrojona już była w zupełny spokój, zażądała herbaty, po czym postanowiła wstać. Gdy była już ubrana, zastanawiała się, jakie tu panują zwyczaje. U siebie w domu musiała być zawsze punktualna. O dziewiątej godzinie jadła śniadanie z ojcem, któremu sama nalewała kawę. Teraz minęła dziesiąta. Czy lord St. Austel czeka na nią także ze śniadaniem? Jako O Hubercie nie śmiała jeszcze o nim myśleć.

St. Austel tymczasem zbudził się wcześniej i przejęty uczuciem wstydu i poniżenia, udał się o świcie do swego pokoju. Mijając wspaniałą ubieralnię, spojrzął na jednego ze swoich przodków, który był ambasadorem Francji w czasach Ludwika XV. Portret jego wisiał nad komodą. Spokojne, cyniczne jego oczy zdawały się drwić i szeptać: „Ładny gentleman z mego potomka! Żeby na żonę wybrać córkę zwykłego bankiera — a potem ...” Hubert przyśpieszył kroku, nie mógł znieść tego martwego wzroku pradziada. Swoją pokój zastał zalany słońcem i wzrok zatrzymał na złotej, myśliwskiej butelce. Ogarnął go wstręt. Chwycił flaszkę i cisnął ją w kąt. Nie była dobrze zakorkowana i mały strumyk alkoholu popłynął po dywanie. Ostro zapach owionął Huberta, który zagłębił się w fotelu. W duszy gardził sobą. Musi coś postanowić. Tak dalej być nie może. Nie będzie się więcej poniżał. Farsa małżeńska musi się zakończyć. Pod wpływem brandy odegrał rolę małżonka. Wzdrygnął się pełen pogardy i wstrętu do siebie, po czym z głową zwieszoną i ukrytą w dłoniach, siedział długo pogrążony w zadumie.

\* \* \*

Vanessa, ubrawszy się, z bijącym sercem zeszła do salonu. Przez otwarte okno zobaczyła Huberta, siedzącego na kamiennej ławce; Głaskał psa. Kiedy spojrzął w stronę salonu, ogarnęła go nowa fala niechęci. Ona — ta młoda dziewczyna — jego żona — była powodem jego poniżenia! Vanessa zanadto była wrażliwa, aby nie odczuć gniewu we wzroku męża. Ból więc i obawa podziały na nią odrętwiająco. — W czym zblądziła?

St. Austel wstał i poszedł ku niej.

— Dzień dobry! — głos jego był martwy. — Czy jadłaś śniadanie? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Sądziłem, że każesz je sobie przynieść do swego pokoju — ciągnął dalej Hubert, nie patrząc na żonę. — Ja jestem już po śniadaniu. Chodźmy wobec tego do jadalni.

U drzwi, jak dwa posągi, stali lokaje. Vanessa przeistoczyła się w baryłkę lodu.

— Wypiję tylko kawę i zjem owoce — rzekła bardzo cicho. Kiedy służba znikła i zostali sami, Hubert poczuł się dziwnie głupio.

Zły był na siebie, gniewało go własne skrepowanie.

U Vanessy pewna odziedziczona duma zwalczyła nerwowość. Czekala, aby mąż pierwszy się odezwał.

— Czy lubisz jazdę autem? — zapytał wreszcie St. Austel. — Moglibyśmy pojechać do Hampwick i zwiedzić stary zamek. Zwykle podoba się cudzoziemcom. — Vanessę zabolalo słowo „cudzoziemcom” i owładnęło ją zdumienie.

Jest więc jeszcze cudzoziemką?

— Możemy wyruszyć o dwunastej i lunch zjemy w gospodzie. Vanessa nie oponowała.

— Cóż jeszcze ma jej powiedzieć? — zastanawiał się Hubert. Wytworzyła się gorsza sytuacja, aniżeli przypuszczał. Co ona o nim myśli? Jak spędzą ten dzień? I tyle następnych dni?

A młoda hrabina St. Austel jadła tymczasem poziomki i popijała kawę. Madame de Jainon wychowała ją tak dobrze, że umiała ukryć swoje zdenerwowanie. Atmosfera była ciężka. Propozycję męża przyjęła chętnie. Zachowanie Huberta było pełne dystynkcji i wdzięku. Pomimo obojętności z jego strony, jakiś magnes pociągał ją do niego i zmuszał do miłości. Biedne stworzenie, nie przyzwyczajone do wzruszeń, drżało w jego obecności. On był jej mężem — trzymał ją w swych ramionach.

Małżonkowie zamienili jeszcze parę słów o pogodzie i o historycznym zamku w Hampwick, po czym wyruszyli w trasę. Tu Hubert zostawił ją samą tłumacząc się, że ma wydać jakieś rozkazy szoferowi. Oślepiiony uprzedzeniem nie dostrzegł urody żony. Delikatnej, przejrzystej białej cery, wielkich, marzących oczu z długimi rzęsami, które rzucały łagodne, niebieskie cienie na policzki Vanessy.

Dziewczyna czuła się znużona. Dlaczego, dlaczego? Co to wszystko mogło znaczyć? Skierowała swe kroki ku rotundzie. Pochylając się nad

balustradą, patrzyła na stary park. Jakie będzie to nowe jej życie? Czy wszyscy mężczyźni są tacy? Bała się po prostu spojrzeć na swego męża, tak ją onieśmielał i krępował.

Po chwili wróciła do zamku. Idąc przez niebieski salonik, spojrzała mimo woli na fotografię w srebrnych ramkach. Na widok księżnej Lincolnwood oczy jej zabłyszczały. Z wyraźną niechęcią, odbijającą się na jej twarzy, wzięła fotografię do ręki. Pamiętała, jak Hubert pochylał się nad tą panią w operze. Nie zauważyła wtedy u niego tych sztywnych manier, jakie miał wobec niej — swej żony. Dlaczego się z nią ożenił? Kryje się w tym jakaś tajemnica. Z niechęcią postawiła ramki na miejscu i w tej samej chwili do pokoju wszedł Hubert. Wyczytał w oczach żony niechęć, a Vanessę ogarnęło zmieszanie.

Hubert miał minę wyniosłą; doznał uczucia że osoba z innej sfery znieważzyła kogoś z jego klasy. — Co on pomyśli o mnie? Że jestem zazdrosna? — dumiała Vanessa. Uczucie kompletnego osamotnienia i opuszczenia zawładnęło nią niepodzielnie.

Na stoliku stały jeszcze inne fotografie. Jedna z nich przedstawiała starszą damę, niewątpliwie matkę Huberta. Na drugiej poznała lady Hurlshire, z innych ramek spoglądała jeszcze jakaś młoda kobieta. Prawdopodobnie podobizna księżnej nie ma większego znaczenia. Ale skoro to ma być jej dom, czemu zmuszona będzie oglądać twarze osób, których nie zna?

Hubert przerwał rozmyślenia żony.

— Wybierzesz do swego wyłącznego użytku tę część zamku, którą zechcesz i ten salonik, w którym masz zamiar najczęściej przebywać, urządzisz, jak pragniesz. Ja zabiorę stąd swoje drobiazgi.

St. Austel nie był w stanie stłumić aroganckiego tonu, który brzmiał w jego głosie. Żeby córka zwykłego bankiera, która mu została narzucona, zaczęła od razu pokazywać swoje antypatie do jego dawnych znajomych — to impertynencja!

Vanessa odczuła niezadowolenie męża. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, ale dobre wychowanie przyszło jej z pomocą.

— Nie ma żadnej potrzeby robić dla mnie jakiegokolwiek zmiany — odezwała się poważnie, podnosząc wyniośle głowę. — Jeżeli wolno mi jednak wybrać sobie górne pokoje, to chciałabym te od południa. Przygnębia mnie mój obecny paradny apartament.

Hubert natychmiast nacisnął dzwonek i kiedy zjawił się lokaj, kazał wezwać klucznice.

— Proszę pokazać pani hrabinie cały dom, aby wybrała sobie pokoje — rzekł St. Austel, po czym odwróciwszy się, wyszedł na taras.

Zmieszanie Vanessy wzrosło. Czy to możliwe, aby ten zimny, powściągliwy człowiek, obcy dla niej, dzisiejszej nocy był jej mężem? Nie знаła innych mężczyzn, aby mogła czynić porównania. Wydał jej się ideałem kochanka, chociaż ani jednym czułym słowem nie zwrócił się do niej. Czemu jednak znowu taki jest lodowaty. Życie, miłość i małżeństwo — to jednak wielka tajemnica.

Vanessa podążyła za klucznicą, która wskazywała drogę. Wzdłuż wspaniałego zamku kroczyła pełna zachwyty i podziwu, niemniej jednak dumna, jak królowa. Długi korowód jej włoskich przodków, szlacheckiego pochodzenia przyzwyczajony był do tego rodzaju rezydencji. Czemuż więc ona nie miałaby ozdobić swoją osobą najwspanialszego pałacu?

Hrabina St. Austel wybrała dla siebie południowe pokoje, przylegające do apartamentu s.p. matki Huberta, po przeciwnej stronie korytarza. Czuła, że drugiej nocy nie mogłaby spędzić w kolosalnym, złożonym łożu — przejmowało ją ono lękiem.

A hrabia St. Austel także rozmyślał. Musi być uprzejmiejszy dla żony, chociaż pożycia małżeńskiego między nimi nie będzie. Gdy Vanessa zeszła więc do salonu, znalazła zmianę w twarzy męża. W drodze Hubert objaśniał jej wszystko, a ona słuchała ze skupieniem i od czasu do czasu zadawała pytania, świadczące o jej kulturze i inteligencji. Zachwycała się ochronkami na wsi, którymi opiekowała się matka męża. Podziwiała szpital i salę zabaw dla ludności wiejskiej.

St. Austel wyrażał się o tych instytucjach z wielkim uszanowaniem i pietyzmem, ale chłodno. Wobec obcej osoby nie chciał zdradzić rodzinnych uczuć. A w to, że Vanessa pozostanie zawsze obcą dla niego — cudzoziemką — wierzył święcie. Wprawdzie Benjaminowi Levy udało się łatwo ożenić go ze swoją córką, ale nie potrafi nigdy wykrzesać w nim uczucia dla żony. Po decyzji, którą o świecie powziął, Hubert postanowił wzniesć mur między sobą i Vanessą.

Ale mimo wszystko, ósmy hrabia St. Austel był światowym, kulturalnym człowiekiem, jazda więc autem, tak jak lunch i zwiedzanie



zamku, przeszło gładko, a kiedy pod wieczór wrócili do domu, czuli się swobodniejsi.

— Odpocznij teraz — rzekł Hubert do Vanessy — o dziewiątej dopiero zjemy obiad.

Biedna dziewczyna z każdą chwilą coraz bardziej była zakochana w swoim mężu. Chłód jego przestraszał ją, ale i pociągał.

Może to należy do dobrego tonu u angielskiej arystokracji takie zimne postępowanie. Pocałować jej rękę przy dziennym świetle byłoby może niewłaściwe. Cudownemu pocałunkowi na tarasie — przyświecały gwiazdy — a potem! — Tak, naturalnie, ludzie dystyngowani nie objawiają swoich wzruszeń w nieodpowiedniej porze.

Starła się zrozumieć, jakie znaczenia ma dla niego ten rodzinny majątek — pragnęła odczuć przywiązanie męża do ziemi. Spoglądając obecnie przez okno na stary park, składała cichą przysięgę. Postara się jak najlepiej wypełnić swe obowiązki, kroczyć śladem matki męża i godnie piastować stanowisko hrabiny St. Austel. Kiedyś Hubert będzie z niej dumny, pomimo że jest cudzoziemką. To, że płynie w niej krew żydowska i jest córką bankiera nie przyszło jej na myśl.

Jej śliczna, młoda twarz promieniała miłością i przywiązaniem, a w czystym jej wzroku odbijały się szlachetne myśli.

Niebawem Venessa schodziła znowu szerokimi schodami na dół, aby zjeść obiad w towarzystwie męża.

## Rozdział VIII

Na trzeci dzień młoda para wróciła do Londynu. Obojętność Huberta nie uległa zmianie. Był uprzejmy, grzeczny, ale zimny jak lód. Zdumienie Vanessy przeistoczyło się w trwogę.

Widocznie to, co nazywano małżeństwem, było krótkotrwałym okresem w obowiązkach życiowych; spotykała męża przy stole i z wielką powściągliwością rozmawiała wobec służby. Między posiłkami jeździli autem w sąsiedztwo lub Hubert znikał w zachodnim skrzydle domu, którego Vanessa jeszcze nie zbadła. Wiedziała tylko, że tam znajduje się gabinet męża, bo raz przez otwarte okno zobaczyła, jak pisał przy biurku, zarzuconym papierami. Spojrzał wówczas w górę i na jego czole ukazała się zmarszczka.

Vanessa nigdy nie chodziła już w tę stronę tarasu. Z każdą godziną była bardziej zakochana w mężu. Lancelot także nie był bardzo miły wobec Elainy — przypomniała sobie. Ale w tym wypadku była Ginewra.

Ginewra — czy księżna Lincolnwood jest Ginewrą Huberta?

Lord St. Austel pozbył się teraz wszelkiej nerwowości. Vanessa stała się zerem, przestała dla niego istnieć i postanowił wcale się nią nie zajmować. Rzadko kiedy na nią spoglądał i nie zajmowało go nigdy to, o czym mówiła, a kiedykolwiek przypomniawszy sobie o nocy poślubnej, wstrętne uczucie ogarniało go na nowo.

W takich warunkach nawet syrena nie zdołałaby przyciągnąć mężczyzny do siebie.

Vanessa tymczasem czuła się wprost nieszczęśliwa, po powrocie do Londynu. Więc wśród arystokracji małżeństwo nie ma żadnego znaczenia — jest jedynie przelotną igraszką.

Nie czytała nigdy żadnych powieści. Było to surowo zakazane przez ojca. Od chwili, kiedy skończyła pięć lat, ani jeden z punktów, który mógł zabezpieczyć jej bezwzględne posłuszeństwo, nie został przez ojca zlekceważony.

Wszystko da się zrobić z dziecka, jeżeli ma się dostateczną ilość pieniędzy i można otoczyć je odpowiednimi osobami, które wpajałyby zapatrywania w tym okresie, kiedy umysł dziecka nasiąka wszystkim jak gąbka.

Pan Benjamin Levy przeliczył się jednak, postanawiając zdobyć lorda St. Austela na zięcia. Nie przypuszczał bowiem, aby którykolwiek mężczyzna, posiadając tak piękną, młodą kobietę jak Vanessa, nie uległ jej czarowi.

Vanessa zanadto była dumną i wrażliwą, aby czynić zwierzenia. Gdy spotkała się więc z ojcem przy lunchu w dniu przyjazdu do Londynu, była dla niego bardzo serdeczna, ale nic poza tym.

Jako pani domu zachowywała się z całym wdziękiem i godnością. Głębokie uszanowanie, jakie jej okazała służba w St. Austel, dodało jej powagi. Benjamin Levy był zadowolony ze swego dzieła. Zięć odnosił się do niego z wielką uprzejmością, którą zawsze go darzył od chwili, gdy interes został między nimi ubity. Pan Levy, jako niezwykle inteligentny człowiek, oceniał lorda, zdając sobie sprawę, że nawet sam nie potrafiłby lepiej odegrać roli, gdyby był na miejscu zięcia. Trzeba tylko czasu i cierpliwości, a wszystko odwróci się na dobre — mówił do siebie bankier, idąc do biura ulicą St. James.

W czasie lunchu Ralf Dangerfield obserwował Vanesę. Odczuł jej wrażliwość i zauważył wspaniałą urodę. — Hubert jest chyba kamieniem! — Będę trzymał rękę na pulsie i może uda mi się dopomóc im w kłopotach — mruczał do siebie.

Sędziwa markiza Hurlshire miała następnego dnia przedstawić Vanesę na dworze. Hubert rzadko widywał się z żoną. Gnębiło go ciągle wspomnienie nocy poślubnej, kiedy pod wpływem brandy uległ czarowi Vanessy.

Młoda para została zasypana niezliczonymi zaproszeniami. Rano więc St. Austel poświęcał parę chwil żonie, aby omówić złożenie

nieuniknionych wizyt. Nie przyszło mu na myśl, że Vanessa może mieć jakieś osobiste pragnienia i prawa w całej tej sprawie.

Dla niego była wyrachowaną dziewczyną, która przystała na transakcję ojca, chcąc zostać hrabiną. Powinna więc tylko otrzymać zewnętrzną stronę całej wartości. I skoro nosi jego nazwisko, musi naturalnie być traktowana z uszanowaniem.

Ani trochę nie zajmowało go to, jak będzie wyglądała idąc na dwór królewski. Jedna z arystokratek, która zajęła się jej wyprawą i o tym pewnie pamiętała, aby Vanessa zaprezentowała się dobrze. Cała biżuteria rodziny St. Austel była w sejfie. Vanessa miała u siebie klucz.

Hubert siedział u Whitea od dobrej godziny, gdy Karol Langley namówił go, aby poszedł w stronę Mail. Siostra Karola będzie dziś także przedstawiona u dworu i brat pragnął jej dodać odwagi.

To, że zobaczy własną żonę w całym przepychu, było Hubertowi zupełnie obojętne. W chwilę później, dwaj młodzi mężczyźni przeciskali się wśród tłumu widzów, którzy zawsze zbierali się w Mail, aby oglądać młode debutantki na światowej arenie. Szli wzdłuż szeregu aut, zatrzymując się, aby powitać znajomych, aż wreszcie natrafili na Alicję, księżną Lincolnwood, błyszczącą od drogich kamieni. Towarzyszyła swej siostrzenicy.

Hubert! — rzekła księżna — już z powrotem?

— Jak widzisz, najpiękniejsza!

— Twoja żona — sędzę, dziś także zostanie przedstawiona?

— Tak, jest z ciotką Konstancją.

— Poznamy ją więc — potem przyjadę do was z Kitty. Kitty chce pokazać swoją suknię Basi i Liii!

Hubert patrzył na nią swymi niebieskimi oczkami, które zawsze były na pół drwiące, na pół smutne. Pragnął nasycić się jej urodą. Pragnął cieszyć się jej jasnością. Czarne włosy zdawały się prześladować go. Uśmiechnął się.

Wytworzone auto, własność markizy Hurlshire, stało trzecie z rzędu za limuzyną księżnej i Vanessa, siedząca po lewej stronie, widziała profil Huberta, stojącego przy pięknym samochodzie. Jak inny teraz miał wyraz, pogodny i wesoły—niepodobny był do tego sztywnego, chłodno uprzejmego jej męża. Zaczerwieniła się nagle silnie, po czym zbladła.

Była ogromnie podniecona i dotknięta obojętnością Huberta, który nie przyszedł na nią popatrzeć przed wyjazdem z domu.

Serce zaczęło jej bić. — Czy on pójdzie w tę stronę i zobaczy ją?

Któż jest w tym aucie, kto budzi w nim takie zainteresowanie?

Wtem Karol Langley, który stał z tyłu, zauważył cudowną, bladą twarzyczkę i wielkie łagodne oczy i pociągnął Huberta.

— Patrz na tę śliczną dziewczynę — rzekł. Co za ciało! Jeżeli to, co widzimy jest tak białe, to jakaż musi być reszta! Lord St. Austel spojrział w szybę auta, do którego już niemal doszli, po czym, z nagle obudzoną wściekłością, odpowiedział krótko.

— To moja żona.

Karol Langley zmieszał się i tłumacząc się pokornie prosił, aby go przedstawić. Hubert uczynił więc zadość jego życzeniu i sam przywitał się z ciotką. Zauważył teraz, że Vanessa miała brylantowy diadem, którego dotąd nie widział i wspaniały naszyjnik, jakiego nie było wśród klejnotów rodzinnych. Żadna biżuteria St. Austel'ow nie ozdabiała jej, a mimo to błyszczała od drogocennych kamieni. Ironiczny uśmiech pojawił się w kącikach jego ust. Pan Levy godnie ozdobił hrabinę — pomyślał Hubert z goryczą, a potem zdał sobie sprawę z zachwyty Karola. Zachowanie kolegi i pochylenie jego postaci wyrażało cześć dla kobiecego wdzięku.

Lord zadrżał gniewem — miał ochotę uderzyć przyjaciela.

I nagle popatrzył na Vanessę innymi oczami. Tak — była prześliczna i niezaprzeczenie wyglądała bardzo dystyngowanie. Znacznie lepiej, aniżeli te wszystkie damy, które widział w autach. Gniewało go to. Pamięć jego powracała do tych chwil, które udało mu się niemal zapomnieć.

Vanessie zaś, może świadomość posiadania pięknej toalety dodała odwagi, a może wyraz oczu Karola Langleya; w każdym razie, gdy Hubert zajął miejsce przyjaciela, pierwszy raz w życiu bez żadnej obawy spotkała się z jego wzrokiem.

— Wyglądasz wspaniale — rzekł.

Słowo, którego użył mimo woli, dotknęło ją. Włożyła wszystkie brylanty, aby zadowolić ojca. Czy mąż uznał, że jest zbyt wystrojona? Zaczerwieniła się.

Karol Langley przeszedł tymczasem na drugą stronę auta i rozmawiał z markizą Hurlshire. Małżonkowie więc zostali sami.

— Czy mam na sobie za dużo biżuterii? — Głos jej lekko załamał się. — Sądziłam, że na dworze —

— Nigdy w świecie — jest przepiękna — uśmiechnął się kapryśnie — ale hrabiny St. Austel wkładały zwykle rodzinne klejnoty.

— Nie chciałam ich ruszyć — skoro mi nic nie powiedziałaś.

— Bardzo to opieszale z mej strony — ale sądziłem, że skoro masz klucz od sejfu... — Ojciec w każdym razie dzielnie przyszedł z pomocą.

— Czy to sarkazm? Nagle Vanessa poczuła, że cała jej odwaga opuszcza ją i tylko gniew, który ją ogarnął, pozwolił jej odpowiedzieć.

— Tak, to bardzo szczęśliwie, prawda?

Hubert był zdziwiony. Nie zdradziła dotąd żadnego sprytu.

Popatrzył jedynie na nią, ale oczy jego mówiły dostatecznie dużo. Zdawały się wyrażać pogardę i zrozumienie. Co to mogło znaczyć?

Vanessa nie miała najmniejszego pojęcia, że jej mąż i jego krewni uważali małżeństwo lorda z córką żydowskiego bankiera za mezalians. Wychowana była tak, że uważała siebie za szlachciankę—córkę dumnej matki z rodziny Montanianich. O genealogii ojca nie było nigdy mowy. Wywodził swój ród od setek lat z Portugalii, skąd pochodzili najlepsi z jego rasy. O lichwie Vanessa nic nie wiedziała, a wiedziała natomiast, że wszyscy szanowali ojca, który jest najlepszym i najmądrzejszym człowiekiem pod słońcem. Dlaczego więc w oczach Huberta jest ten obrażająco wzgardliwy wyraz?

W tej chwili szereg aut zaczął się posuwać naprzód ku pałacowi i lord St. Austel, uchylając kapelusz, pożegnał żonę, a zwracając się z jakąś wesołą uwagą do ciotki, odszedł razem z Karolem Langleyem na bok.

Przez cały czas, gdy ubierał się do obiadu, prześladowała go myśl o żonie, a później, kiedy udał się do mieszkania wujostwa na Belgrave Square, aby oczekiwać powrotu z królewskiego pałacu, nie chciał uświadomić sobie faktu, że chciał — zobaczyć Vanessę bez gronostajowego płaszcza w pełnym oświetleniu lamp.

Nikt nie zauważył w tłumie postaci Oskara Isaacsona, którego wzrok pełen tęsknoty i nienawiści spoczywał na córce szefa.

Hubert, stary markiz, jego wuj, Ralf Dangerfield i Karol Langley rozmawiali w sali balowej w pałacu Hurlshire'ow, kiedy lokaj oznajmił przybycie pana Levy.

Po raz pierwszy bankier był tutaj. Dobrą rzeczą jest być tak mądrym jak Benjamin Levy, ale jeszcze lepiej posiadać jego zmysł humoru. Patrzył tak pogodnie na świat! Ocalił wiele zubożałych, świetnych rodzin, wielu młodych ludzi postawił na nogi i przez wszystkich, którzy znali go bliżej, bardzo był poważany. Przyjmował postawę dobroczynnego, cynicznego filozofa. Jeżeli głupcy zgrywają się i zadłużają majątki, lepiej by przyszli do porządnego człowieka, a nie do łajdaka — mówił sobie. Życie spędzał wśród książek, a jego mieszkanie w Paryżu było miejscem spotkań uczonych i finansistów, ludzi wielkich umysłów i wybitnych polityków.

Tak więc lord St. Austel nie mógł nie lubić człowieka, który go przycisnął do muru. Inteligencja i kultura łączyły tych dwóch mężczyzn z przeciwnych światów. Rozumieli się doskonale. Przy tym Benjamin Levy nigdy nie powiedział nic niezręcznego, jak to czynili często jego arystokratyczni znajomi.

Rzecz była załatwiona — musiał poślubić jego córkę i żyć z nią w zgodzie i miłości.

Hubert powitał więc swego teścia z zadowoleniem, choć bez entuzjazmu.

Dla sędziwego markiza Hurlshire, małżeństwo siostrzeńca było gorzką pigułką do przełknięcia, ale Vanessa zrobiła na nim tak dobre wrażenie, że dla jej ojca był także bardzo uprzejmy, choć nieco chłodny.

— Kiedyś — mówił Benjamin Levy do siebie — w ich zachowaniu nie będzie nawet śladu tej arogancji, jaką dziś nam okazują. Jeżeli ma się miliony, wszystko jest tylko kwestią czasu.

Dwie uczennice, wnuczki Hurlshirea, czekały podniecone powrotu swej starszej towarzyszki zabaw. Kiedy więc księżna Lincolnwood weszła z siostrzenicą, podbiegły ku nim uradowane.

Księżna wyglądała uroczo. Dziewczynki rozpostarły jej bladozielony, aksamitny tren, a Hubert szepnął:

— Wyglądasz po prostu dzisiaj bosko, najpiękniejsza!

W tej samej chwili, kiedy pochylony stał nad Alicją, drzwi otworzyły się i weszła jego ciotka z Vanessą.

Księżna była wielką sympatią lady Hurlshire, która do niej podeszła, a Vanessa została sama na końcu wielkiej sali. Podniecił ją przepych królewskiego dworu. W swej wspaniałej, srebrnej sukni wyglądała jak cudna królewna z bajki. Pan Levy uśmiechnął się, widząc, że ziściły się jego plany. Klejnoty córki przyćmiewały swym blaskiem wszystkie inne.

Serce Vanessy nappełnił jednak nagle smutek, gdy spostrzegła Huberta u boku księżnej Lincolnwood. Ogarnęła ją dzika zazdrość.

A tymczasem otoczyły ją dziewczynki, zbliżył się stary markiz i ojciec, który ucałował jej policzek, a Karol Langley rozłożył jej tren. Tylko Hubert nie ruszył się z miejsca i kończył rozmowę z księżną, którą wreszcie markiza Hurlshire przyprowadziła do Vanessy i wzajemnie przedstawiła dwie piękne rywalki. Kiedy wzrok ich się spotkał, zdały sobie sprawę z wzajemnej nienawiści.

Vanessa pozbyła się nieśmiałości, rozmawiała z ceremonialną uprzejmością, zatrzymując swój wzrok na twarzy Alicji.

— Vanesso musisz mi dopomóc i namówić księżnę, aby przyjechała do nas na wystawę koni w ostatnim tygodniu sierpnia.

W tonie Huberta brzmiał pewien rozkaz.

Vanessa miała ochotę odpowiedzieć, że nie chce tego! Ale ojciec patrzył na nią i jej wrodzona duma kazała się opanować tak, że chłodno ale grzecznie powtórzyła prośbę męża, zaznaczając, że będzie rada powitać księżnę u siebie.

Hubert przenosił wzrok z jednej na drugą.

Nie mógł przeoczyć wspaniałej urody żony, nie ocenić jej elegancji i dynstynkcji. Alicja nikła u jej boku. Nagle wydała mu się zwiędła i stara. Widoczna u niej była sztuka podtrzymywania młodości, podczas gdy białe ciało Vanessy błyszczało autentyczną młodością i niewinnością.

Dziwna, cudaczna myśl nawiedziła Huberta. — Gdyby zamieniły swe miejsca, która z tych dwóch kobiet pociągałaby go? Potem, zły na siebie, że zajmuje się osobą, która go chwyciła w pułapkę, odwrócił się, aby spotkać się z mądrym wzrokiem swego teścia.



## Rozdział IX

Hubert czytał w twarzy Beniamina Levy zupełnie jasno, że bankier odgadł, co się dzieje w duszy jego zięcia; to oburzyło lorda. — To śmieszne, aby oni rozumieli się tak dobrze! St. Austel zwrócił się znowu do Alicji, siłąc się na okazanie większego zainteresowania aniżeli odczuwał — był zaniepokojony.

Wreszcie coś zniewoliło go ku temu, by odezwać się władczyim tonem. — Sądzę, że jesteś zmęczona Vanesso — odwiozę cię do domu.

Rozkoszny dreszcz zdziwienia wstrząsnął dziewczyną. Pierwszy raz jej mąż użył względem niej takiego tonu. Pragnęła posłuchać go natychmiast, ale przekora kobieca kazała jej zemścić się za obojętność męża. Udała, że nie słyszy i że przejęta jest rozmową z markizem. To się nie podobało Hubertowi, powtórzył więc jeszcze raz, bardziej rozkazującym tonem, poprzednie słowa.

Vanessa nie była aktorką, nie mogła więc udać obojętności. Zaczęła się żegnać pełna wdzięku i dynstynkcji, którą podziwiała lady Hurlshire.

Księżna spoglądała w stronę oddalającej się młodej pary, a Ralf Dangerfield bolał nad losem uroczej hrabiny St. Austel i postanowił pomóc jej w zwycięstwie.

Przed drzwiami frontowymi lokaj rozłożył czerwony chodnik, po którym Vanessa udała się do auta. Hubert podał żonie rękę przy wsiadaniu, a kiedy limuzyna ruszyła, Vanessa spostrzegła ponury wzrok, pełen namiętnej tęsknoty, Oskara Isaacsona który stał wśród

zgrupowanych ludzi, chętnych zobaczenia młodych debiutantek. Drgnęła lekko i przysunęła się bliżej Huberta. Hrabia St. Austel odwrócił się wtedy i zauważył złowróżbną twarz urzędnika.

— Czy to nie jest podwładny twego ojca? — zapytał. — Dziwnie wygląda.

— Zawsze mnie przestrasza — szepnęła nieśmiało Vanessa. — Wygląda na wariata — ale papa mówi, że on jest zupełnie normalny i godny zaufania.

Hubert poznał od razu, że wyraz twarzy tego człowieka był pełen nienawistnego uwielbienia; z pewną pogardą wyjawiał też żonie swe spostrzeżenie.

Vanessa wyprostowała się i odezwała się w niej cała duma Mon-taninich.

— Coś podobnego — śmiałyby mnie podziwiać! Po czym przypomniała sobie o chrześcijańskim miłosierdziu i pokorze i o wszystkich szlachetnych, dobrych zasadach, które w nią wpajano.

Hubert roześmiał się łagodnie. Śliczna była i posiadała znacznie więcej charakteru, aniżeli przypuszczał. Wzbudziła w nim nagle zainteresowanie. Jej bliskość po raz pierwszy zaczęła na niego działać. Delikatny zapach perfum „Czerwone róże” unosił się w powietrzu, pomimo że bukiet jej był biały. Ogarnęły go wspomnienia.

— Masz cudowne perfumy — rzekł.

— Rzeczywiście. Papa przywiózł mi je z Bułgarii — samą esencję w takich małych, metalowych, zalakowanych flaszeczkach. Latami nie wietrzeją.

Przyszło mu na myśl, że ten zapach jest dla niej odpowiedni — bowiem Vanessa robi wrażenie białej róży. Zaraz jednak był zły na siebie, bo zdał sobie sprawę, że zaczyna się interesować kobietą, którą powinien pogardzać. Nie pozwolił sobie więcej na żadne wzruszenia. Ale zanim dotarli do drzwi ich mieszkania przy ulicy St. James, spostrzegł że znowu tłumi w sobie pragnienie uchwycenia jej w ramiona.

Vanessa, leżąc w zimnym, luksusowym łóżku, nie mogła spać. Coś nowego weszło w jej życie. — Co to było, nie wiedziała. Hubert pożegnał ją chłodno w hallu — powinna więc być przygnębiona, ale —jakoś nie była. Czuła się jedynie podniecona. Wyciągnęła ramiona w ciemności i zawołała głośno: Kocham cię! po czym zawstydzona ukryła twarz

w poduszki, bo małżeństwo było naturalnie tylko cczą ceremonią i arystokracja powinna opanowywać wzruszenie. Hubert udał się do Turf Klubu. Nie chciał bowiem zostać sam ze swoimi myślami.

\* \* \*

W ciągu dwóch następnych dni spotykali się jedynie przy jedzeniu, a potem Hubert wezwany został znowu do Wales na konferencję w sprawie swoich kopalń. Nie było go więc przez cały tydzień i w tym czasie Ralf Dangerfield lepiej zapoznał się z Vanessą, która od razu poczuła do niego szczególną sympatię. Jego spokój, jak i dobre ciemne oczy, pociągały ją ku niemu. Wydał się jej jedynym człowiekiem w całym tym nowym świecie, który ją lubił i rozumiał. W jego towarzystwie nie potrzebowała mieć się na baczności.

Pewnego popołudnia usiedli w parku, z dala od tłumu spacerujących ludzi i Ralf wydobył od niej zupełnie mimo woli, tak że nie zdawała sobie z tego sprawy, cały obraz jej młodocianego życia, ze wszystkich stron otoczonego wysokim murem.

— Kiedy zobaczyłaś pierwszy raz Huberta? — zapytał wreszcie pułkownik. — On należy do tego rodzaju mężczyzn, że dziewczyna musi zauważyć go od razu.

Vanessa zaczerwieniła się rozkosznie.

— Na operze „Madame Butterfly”. Następnego dnia zaś ojciec powiedział mi, że on prosił o moją rękę.

Ralf zachwiał się na chwilę. Jego podejrzenia były więc słuszne. Nie była współniczką handlu. I widocznie żywiła jakieś romantyczne uczucia dla Huberta, skoro się zaczerwieniła tak po dziewczęcemu.

— Jest ciężką rzeczą dla młodych dziewcząt, gdy muszą kierować się wolą rodziców przy wyborze męża — nie sądzę jednak, aby poślubienie Huberta było wielką przykrością — rzekł pułkownik, uśmiechając się znacząco.

Vanessa nie była głupia. Spojrzała na niego szybko — dwa tygodnie jej bywania w świecie wyrobiły ją bardzo. Zaczęła podejrzewać, że jej małżeństwo nie jest takie, jak innych panien. Odwróciła zrećznie

rozmowę, a Ralf zanadto był delikatny, aby naciskać na nią. Rozmawiali o muzyce, książkach i jej ukochanej Florencji. I wydało się Ralfowi, że został przeniesiony w dawne czasy i że Vanessa jest wielką damą florencką, którą niegdyś uwielbiał. Widocznie w terażniejszości wcale nie żyła. Nagle kłamstwa i nieuczciwości ludzkie, które znał, uderzyły go. Może być córką lichwiarza — ale mimo to jest większą arystokratką od tych, które spotykał w życiu.

Rozmawiali wreszcie

O Montanianich, którzy byli florentczykami, ale później osiedlili się w Rzymie.

— Nie chcieli potem nigdy uznać mej matki, bo poślubiła ojca — czy to nie głupota z ich strony — ojca, który jest wielkim

i niepowszednim człowiekiem — rzekła wreszcie Venessa szczerze.

Taki więc jest powód i stąd ta patrycjuszowska duma! Dziewczę jest cudowne, a Hubert głupim ślepcem! Ale Ralf znał dobrze swego kuzyna i wiedział, że bezpośrednio nie będzie mu mógł nic powiedzieć o jego żonie — trzeba wszystko zostawić Bogu — on zrobi to, co będzie w jego mocy, aby jej ulżyć.

Ralf Dangerfield nie był pewien, jak daleko zaszła sprawa z Alicją Lincolnwood — Hubert nigdy nie mówił o kobietach. Miał jednak niemiłe uczucie, że była to poważna sprawa i w tym wypadku Hubert uważał narzucone małżeństwo za przeszkodę w utrzymywaniu dalszej przyjaźni. Sytuacja nie przedstawiała się wesoło.

Jeżeli Vanessa kocha go i cierpi z powodu księżnej, nie będzie znosiła tego długo — rzekł wreszcie Ralf do siebie. — Jest dumna i nie zniesie upokorzenia.

## Rozdział X

Miłość nie czeka długo, aby się rozwinąć u takich natur jak Vanessa. Przed połową lipca jej miłość do Huberta stała się wielką namiętnością i gdyby nie surowe wychowanie, jakie otrzymała w dzieciństwie, nawet jej wielka wrodzona duma nie opanowałaby tego silnego uczucia. Hubert trzymał się silnie rą wodzy od owego wieczoru w pałacu królewskim. Nie spoglądał nigdy na żonę, tłumił wszelkie wzruszenie, które w nim wywoływała i tym sposobem nie pozwolił rozwijać się uczuciu, które drzemało na dnie jego duszy. Ale niebawem zaszła pewna okoliczność. Hubert miał wuja, biskupa, ożenionego z siostrą matki. Lady Adelisa Carstairs nie uznawała dla małżeństwa osobnych sypialni. Tego rodzaju nowoczesnych bzdur nie przyjmowała do wiadomości.

W pałacu biskupa, w Praxminster, oczekiwano wizyty Huberta i jego młodej żony. Wielki gościnny pokój został dla nich starannie przygotowany.

Po herbacie, którą podano w ogrodzie, Vanessa poszła ubrać się do obiadu. Ciotka Adelisa pełna godności, pokazując jej pokój, rzekła:

— Ubieralnia Huberta jest obok — wskazała na małe drzwi, ukryte w ścianie, a wychodząc dodała jeszcze — łazienka znajduje się po przeciwnej stronie.

Vanessa zeszywniała. Spojrzała na twarz Magdaleny, która odbijała się w lustrze, przed którym panna służąca układała przybory

toaletowe. Wyraz Magdaleny wywołał u niej podejrzenie, otworzyła małe, dębowe drzwi.

Wspaniała starożytna komoda, szafa, toaletka, umywalnia i jedno krzesło, stanowiły całe umeblowanie maleńkiego pokoiku.

Vanesę ogarnął niepokój. Gdzie Hubert będzie spał dzisiejszej nocy? Gwałtowna fala uczucia poruszyła ją na chwilę. Trzęsła się i ledwie mogła utrzymać się na nogach. Wszystkie tłumione wzruszenia ostatnich sześciu tygodni zdawały się wybuchać z podwójną siłą. Poczowała zawrót głowy i usiadła na twardym krześle.

Wszyscy w mieszkaniu biskupa przestrzegali form. Obiad miał być punktualnie o ósmej.

— Jesteś Hubercie w wielkim, gościnnym pokoju—wołała do niego ciotka, gdy w zamyśleniu szedł schodami na górę. Nie pukając otworzył drzwi, po czym cofnął się krok wstecz. Bowiem Vanessa zdziwionymi oczami spojrzała na męża. Siedziała w szlafroku, a Magdalena zapinała jej srebrne pantofelki.

— Przepraszam cię.

Zrozumiał w jednej sekundzie! — Naturalnie! Ci rozkoszni, staromodni krewni urządzili wszystko w tak głupi i kłopotliwy sposób.

Znał dobrze dom. Starając się nie patrzeć na Vanesę ukrył się natychmiast w swojej ubieralni, gdzie oczekiwał go Harding, który wszedł z drugiej strony małymi, kręconymi schodami. Przebiegła twarz służącego podobna była do wyrazu Magdaleny. Hubert zaczął odczuwać dziwne podniecenie, czuł się nieswojo, miał jednak silną wolę i stłumił niepokój.

Ubrawszy się, zszedł bocznymi schodami i głośno się roześmiał. — Gdzież do diabła spędzę dzisiejszą noc?

Przy obiedzie, na policzkach Vanessy zakwitły dwa różowe rumieńce. Hubert patrzył na nią i krew kipiała mu w żyłach — a im bardziej był wzruszony, tym silniej panował nad sobą. Nie ulegnie i nie okaże się słabym. Jedno wspomnienie, pełne wstydu, wystarczy.

Sztywna, klerykalna atmosfera działała na Vanesę — stała się równie lodowato powściągliwa jak reszta towarzystwa, ale wewnętrzne podniecenie nie opuszczało jej ani na chwilę.

I tak minął wieczór, a o odpowiedniej godzinie śliczne stworzenie leżało drżące w wielkim francuskim łóżku.

Kiedy Hubert rozmawiał z wujem i resztą szanownych gości, nagle roześmiał się głośno z przeciętnego, niewinnego dowcipu biskupa. Sytuacja była humorystyczna. Czy wola jego wytrwa? Czy...

Nagle przyszło mu na myśl, jaka bomba spadłaby na to pocziwe klerykalne towarzystwo, gdyby mu wyjawiał swe myśli. Roześmiał się znowu, a biskup chrząknął zadowolony.

Naturalnie Vanessa nie zasnęła i usłyszała, gdy ktoś wszedł do ubieralni. Jeżeli serce jej biło w noc poślubną, to teraz tłukło się jak ptak w klatce.

Hubert usiadł na twardym krześle i roześmiał się ponownie, po czym niemal zaklął głośno. Bardzo miło było znosić niewygody dla sportu lub w czasie wojny — ale w codziennym życiu lubiał komfort, a krzesło było twarde!

Wiercił się i kręcił przez godzinę, wypalając niezliczoną ilość papierosów, aż zegar uderzył pierwszą.

Vanessę bolała teraz silnie głowa, a jej ręce i nogi były lodowato zimne. — Szelest upalnej, letniej nocy dochodził do jej uszu przez szeroko otwarte okna, gdy wtem — usłyszała kapanie deszczu.

Hubert czuł się cały obolały. Nie mógł położyć się na posadzce, bo przestrzeń była tak mała, że wśród mebli nie mógł się zmieścić. Zaklął więc znowu głośno, po czym zarzucił na siebie szlafrok i krętymi schodami zszedł na dół.

Wiedział, że tędy znajdzie także wyjście do ogrodu. Ale kiedy otworzył stare, ciężkie drzwi — deszcz kazał mu się cofnąć.

Ogarnął go gniew. Cała sytuacja była groteskowa i nieznośna. Czemu ma się jej poddać? Szedł na palcach wzdłuż kamiennych korytarzy. Weźmie z szafy książkę i będzie czytał — pomyślał. Mógłby się także położyć na jednej z sof w salonie, ale będąc tak zmęczonym to niebezpieczne. Zasnąłby twardym snem i nie zbudził się wczesnym rankiem przed nadejściem służby. Nie byłoby potem końca plotkom. Jak okrutne były staromodne zwyczaje! Jak okrutne ze strony ciotki, aby mu stworzyć tak idiotyczną sytuację.

Nie wiedział, gdzie się znajdują elektryczne kontakty, szedł więc po omacku ciemnymi schodami znowu na górę.

Wiedział, że szafa z książkami jest w hallu, zaraz obok drzwi gościnnego pokoju.

Pech jednak, że trącił krzesło i hałas obudził biskupa, który w przekonaniu, że do mieszkania zakradł się złodziej, wyszedł ze świecą w ręce na spotkanie włóczęgi.

Hubert doszedł właśnie do szafy bibliotecznej, gdy zjawił się wuj.

— Niech Bóg ma cię w swej opiece — zawołał staruszek. — Chyba nic się nie stało Vanessie? Na twarzy biskupa odbijał się niepokój.

— Ach! nie, wuju, szukałem książki.

Zdziwienie wuja zirytowało jeszcze bardziej Huberta. Teraz będzie musiał już wejść frontowymi drzwiami do sypialni żony i nie może wrócić do swej ubieralni tylnymi schodami.

Biskup czekał, aż siostrzeniec znajdzie książkę, nie lubił, gdy szperano w jego bibliotece i był niezadowolony, że zbudzono go bez powodu. Co za pomysł, aby o tej porze nocy czytać! Hubert tymczasem był zrozpaczony. Jeżeli bardzo cichutko otworzy drzwi, może Vanessa nie usłyszy i dyskretnie będzie się mógł wsunąć do ubieralni.

— Dobranoc, wuju — przykro mi, że wuja zbudziłem. Otworzył drzwi gościnnego pokoju ostrożnie i zniknął za nimi. Zapach mokrych liści z wielkiej gałęzi unosił się w pokoju. — Hubert czuł się bardzo zmęczony.

Jakże chciałby się znaleźć w wygodnym łóżku i pograć się we śnie. Szedł ku drzwiom ubieralni, ale w mroku nic nie widział.

Vanessa leżała drżąca. Może to złodziej! Słyszała szept głosów w hallu — może tutaj schronił się złoczyńca? Coś jednak mówiło jej, że to Hubert — po co tu przyszedł? Zdawało się jej, że on słyszy bicie jej serca.

Raptem Hubert potknął się o mały stolik i Vanessa usiadła na łóżku przestraszona.

— Strasznie mi przykro, że cię zbudziłem. Bądź tak — dobrą — za — zaświeć — jąkał się hrabia St. Austel.

Pomimo deszczu i otwartych okien, było szalenie gorąco. Powietrze pełne było oczekiwania.

Hubert zachwyił się widokiem Vanessy. Jej śliczne, zdziwione i zamyślane oczy, były delikatnie podkrążone.

Twarz biała, jak gardenia i czerwone usta zabójczo kusily. Przez cieniutką, nocną koszulę dostrzegał jej wspaniałe kształty. Nagle obudziła się w nim szalona namiętność — przecież to była jego żona!



Jednak śmieszna, odziedziczona po przodkach duma zwyciężyła. Hubert bez słowa odwrócił się i wszedł do ubieralni, zamykając energicznie za sobą drzwi.

Vanessa upadła z powrotem na miękkie poduszki i wybuchła płaczem.

## Rozdział XI

W niedzielę, wszyscy goście, przebywający w pałacu biskupim, chodzili do kościoła. Całe towarzystwo szło więc teraz wzdłuż zielonych trawników do katedry i zajęło miejsce w ławkach przed głównym ołtarzem. Jeżeli ktoś się spóźnił o sekundę, pozostawał już na boku, po prawej stronie ołtarza. Zdarzyło się, że Hubert nie był punktualny i w ciągu całego nabożeństwa miał przed oczami żonę; przeszło godzinę zmuszony był na nią patrzeć. Vanessa miała na sobie jasnozieloną sukienkę, a duży słomkowy kapelusz rzucał cień na jej bladą twarzyczkę, tak że chwilami lord nie mógł dobrze dojrzeć jej oczu. Dopiero gdy Vanessa podniosła głowę, zauważył, że miała zaczerwienione powieki. Czy płakała? Dlaczego? Odczuwał w duszy niepokój. W ciągu całej nocy ani na chwilę nie usnął, był więc zmęczony i zdenerwowany. Pamiętał jej obraz z nocy i prześladowało go wspomnienie własnych wzruszeń. Nie chciał jednak uświadomić sobie faktu, że jej urok zaczyna na niego działać. Z taką stanowczością odsunął wszystko to, co się z nią wiązało, że nawet nie zastanawiał się nad możliwością tego, aby zdołała go kiedykolwiek usidlić. Wierzył święcie, że Vanessa była współniczką planów swego ojca i dlatego tłumił własne uczucie. Teraz pragnął, aby oczy ich się spotkały. Była rzeczywiście niezwykle piękna. Co za cudowna, biała skóra. Potem przypomniały mu się uwagi Karola Langleya i ogarnął go gniew.

— Jakiego koloru są naprawdę jej oczy? Czarne jak atrament, zdaje się — ale jest w nich i niebieski odcień. Jakie długie rzęsy! Pod oczyma ma delikatne cienie — dopiero od niedawna. Dlaczego? Czy jest nieszczęśliwa? Znowu — dlaczego? Nie ma powodu. Wszędzie została przyjęta z otwartymi ramionami. Córka Żyda, lichwiarza! Tak — ale hrabina St. Austel — jego żona.

Jakieś niemile uczucie ogarnęło go przy tych rozmyślaniach. Tak — naturalnie jego żona.

Potem musiał użyć wielkiej siły woli, aby nie przywołać w swej pamięci niektórych chwil. Wreszcie opanowała go nowa myśl. Przypuśćmy, że była bardzo młoda i ojciec na nią wpłynął — grunt ma dobry.

— Co wtedy? Postać jej jest tak szlachetna — a jej dumna, patrycjuszowska twarzyczka, ma wyraz tak czysty i niewinny. A jakie zmysłowe, pełne, czerwone usta! Przerwał dalsze rozmyślenia.

Dlaczego jednak nie patrzy na niego? Wydaje się zupełnie nieświadoma jego obecności. Widocznie jest pobożna, skoro tak się modli. Co za farsa! Żydówka modląca się w katedrze!

W rodzinie Culverdale istnieje legenda o jednym antenacie, który przywiózł niewolnicę Saracenkę do St. Austel i ona osiagnęła nad nim władzę.

Czy Vanessa była reinkarnacją tej osoby?

Czy on — Hubert — ostatni z rodu — dostanie się pod jej wpływ i urok?

Nagle jego niebieskie oczy spotkały się z nocnym niebem źrenic Vanessy i znowu ogarnęło go wzruszenie, opanowała namiętność.

Nic mu nie zależało na tym, że są w katedrze. Obojętne mu było, że ona jest wyrachowaną materialistką — Żydówką — córką lichwiarza

— nie dbał o nic, wiedział tylko, że zabiłby każdego człowieka, który by odważył się na nią spojrzeć!

Vanessa świadoma była naładowanej atmosfery. Nie mogła się modlić — Hubert wyglądał tak, jak pragnęła go zawsze widzieć.

— Czemu był tak dziwny? Czemu tak patrzy, jak w noc po ślubie, a potem robi się taki lodowaty?

Widocznie czymś zniechęciła go, ale czym? Co zrobiła? Jedno miała wyjaśnienie — księżna Lincolnwood! Kochała ją! Tę wysoką, jasną rywalkę o blond włosach. Czemu ona, Vanessa, jest brunetką i jest od niej niższa?

Byli naturalnie kochankami. Teraz wiedziała już, że bywają takie rzeczy w świecie. Czy dalej się kochają? Tak, pewnie. Jej mąż jest więc kochankiem innej kobiety!

Hubert popatrzył na nią znowu i niemal zadrżał, tak dziki błysk spostrzegł w jej oczach.

— Ma charakter — rzekł do siebie, po czym postanowił natychmiast wyjechać, aby nie narazić się na podobną sytuację, jak poprzedniej nocy. Powie, że otrzymał ważny telegram i przed obiadem musi być w Londynie. Vanessa przyjedzie nazajutrz.

Nabożeństwo skończyło się wreszcie i wszyscy wrócili do pałacu. Pomimo wszelkich wątpliwości, Hubert postanowił iść koło żony.

Vanessa zwracała się jednak jedynie do dziekana, który siedł obok niej po drugiej stronie.

— Jaki melodyjny głos i jaki świetny angielski akcent — myślał St. Austel.

Dziekan, kawaler, był zachwycony.

— Stary głupiec!

Gdy udali się na lunch, Hubert postanowił oznajmić bezzwłocznie, że jedzie do Londynu, wiedział bowiem, że jeżeli zostanie w ogrodzie róż przez upalne popołudnie, nie będzie miał siły odjechać w ogóle i wola nic już nie pomoże.

Gdy ciotka dawała mu różne pobożne rady i czyniła światowe uwagi, on zastanawiał się czy gdyby został — Vanessa byłaby taką, jak w noc poślubną? Teraz jest pewnie znacznie mądrzejszą — po miesięcznym pobycie w Londynie, w pełnym sezonie światowego życia. Może już nie jest tym uległym barankiem, jakiego pamiętał? Czy pamiętał? Nie.

Naturalnie ona go nie kocha. Za co miałyby go kochać? Śliczne, zrównoważone, pogodne, powściągliwe stworzenie! Vanessa słysząc kłamstwo męża o telegramie i wyjeździe zachmurzyła się i piękne jej nozdrza zadrgały. Hubert spostrzegł to i zdziwił się. Jakiemu wzruszeniu uległa? Czy wyjazd jego sprawił jej przykrość? Nie, pewnie była z tego rada.

Pragnął, aby okazała niezadowolenie. Zbliżył się do Vanessy, gdy z całym towarzystwem szli do ogrodu róż.

— Jutro rano przyślę po ciebie Rolls Roycea, musisz być na lunchu we włoskiej ambasadzie.

Krew Montanianich odezwała się w Vanessie, odpowiedziała chłodno.

— Dziękuję ci, nie trudź się, Magdalena telefonowała po moje własne auto i zamówiła je na dziewiątą rano.

Z drwiącą miną uchylił kapelusz i pożegnał się.

Wówczas dzielność Vanessy załamała się. Jakże wytrzyma przez całe popołudnie wśród tych krewnych męża?

Wszyscy nudziarze!

Hubert naturalnie spędzi wieczór w towarzystwie Alicji. Ach! nie cierpi jej! Gdyby mogła rozszarpać ją na kawałki, zrobiłaby to chętnie! Zamiast tego jednak musiała wytrwać na stanowisku tyle nieznośnych godzin, aż znowu o jedenastej spoczęła na szerokim łożu pozornie spokojna i zwycięska.

Kiedy rano wyruszyła do Londynu, lady Adelisa oznajmiła biskupowi.

— Żona Huberta jest czarująca, nic w niej nie ma nowoczesnego, a dziekan, który był cynikiem, zauważył:

— To rasa Montanianich pobija Levych — oto powód — droga pani! Ale ja osobiście mam wielki szacunek dla Izraela!

## Rozdział XII

Z Hubertem coś się działo. Okropnie był niespokojny, grał w polo przy każdej sposobności. Starał się nigdy nie patrzeć na żonę, gdy razem szli na przyjęcie. Każda chwila stanowiła dla niego torturę. Unikał Vanessy, jak tylko mógł i dobrowolnie ani na chwilę nie zostawał z nią sam, a kiedy byli we dwoje, milczał.

Na balach, gdy patrzył, jak Karol Langley lub inni znajomi tańczyli z jego żoną, po prostu szalał.

Ralf Dangerfield był znowu nieobecny i nie mógł kojąco wpłynąć na Huberta. Alicja Lincolnwood była jego jedyną ucieczką. Widywał się z nią częściej aniżeli powinien i chociaż nigdy nic takiego nie uczynił ani powiedział, co Vanesę mogłoby dotknąć, ona wiedziała o przyjaźni męża z księżną.

Tańczył z Alicją, a nigdy z żoną. Pod koniec lipca Vanessa czuła się niesłychanie nieszczęśliwą. Miała wrażenie, że długo już nerwy jej nie wytrzymają i przestanie panować nad sobą. Wreszcie kiedy raz zemdląca, pewne słowa Magdaleny sparaliżowały ją do reszty.

— Jakie to okropne! Jakie cudowne! Czy to może być prawdą?

Młoda hrabina St. Austel miała mieć mowę przy otwarciu wielkiego bazaru. Nowa tajemnica zdawała się dodawać jej zapału i energii. Mówiła płynnie i z przejęciem, tak że cały komitet, który ją otaczał, był zdziwiony. Benjamin Levy spotkał zięcia przy lunchu u Lucullusa i namówił go, aby z nim poszedł na otwarcie bazaru.

Hubert nie potrzebował wielkiej zachęty. Chciał iść, aby móc się rozczarować. Miał nadzieję, że Vanessa nie potrafi dobrze wywiązać się z zadania. Jego matka niegdyś słynęła z takich wystąpień. Tymczasem był zachwycony żoną, jej ujęciem rzeczy i godnością, z jaką się zachowywała.

Beniamin Levy promieniał zadowoleniem.

— Piękną żonę dałem ci, mój lordzie — szepnął z uśmiechem do ucha St. Austela.

A Hubert potakująco skinął głową. Vanessa długi czas nie wiedziała o obecności ojca i męża, dopiero później spostrzegła ich w oddali wśród tłumu ludzi. Zaraz na początku jednak zauważyła ponurą twarz Oskara Isaacsona, który pochłaniał ją cały czas płomiennym, błędnym wzrokiem.

Czy Hubert nie miał nic do zarzucenia temu, co powiedziałam?

Jakże pragnęłaby wiedzieć! St. Austel zaś wróciwszy do swej biblioteki patrzył na piękny park. Cały drżał ze wzruszenia. Nikt z jego rodziny nie potrafiłby tak przewodniczyć uroczystości jak Vanessa. A jak cudnie wyglądała w białej sukni z wiązką konwalii u paska. Żałował, że dziś obiecał być na obiedzie u Alicji.

\* \* \*

Kiedy Beniamin Levy następnego dnia przyszedł do biura, zastał wspaniałe pudło wschodnich towarów, które zamówił rok temu.

Oskar Isaacson otworzył je i wyłożył zawartość skrzyni na stół. Cudowna porcelana, miękkie, jedwabne suknie, a wśród tego ogromny, jedwabny szal, na którym tony różowe, czerwone, aż do karmazynowe-go zlewały się w jedną, cudowną całość.

Pan Levy wydał rozkaz doręczenia przedmiotów wedle załączonych adresów, a szal polecił natychmiast odesłać do lady St. Austel.

— Przypilnuj, Oskarze, aby hrabina dziś po południu otrzymała ten szal.

Gdy bankier wyrażał się o Vanessie w ten sposób, dzikie uczucia ogarniały młodego urzędnika, tak, że spuszczał przezornie powieki, żeby go oczy nie zdradziły.

Ogień i miłość — i krew — szepnął do siebie, gdy dotykał ślicznie haftowanych kwiatów — po czym składając szal niemal ze czcią, podał go służącemu do zapakowania. Wreszcie zaadresował pakunek swoim wyrobionym pismem. Jego ciemne oczy zabłyszczały znowu złowrogo, gdy kreślił słowo „Hrabina”. Następnie z większym jeszcze spokojem, niż zwykle, zwrócił się do szefa, prosząc o codzienne rozkazy i domagając się, aby otrzymał w tym roku miesięczny urlop od piętnastego sierpnia, a nie we wrześniu, jak to bywało poprzednio.



### Rozdział XIII

Hubert z żoną nie byli w St. Austel od czasu podróży poślubnej. Vanessa nie lubiła bywać w świecie z powodu księżnej Lincolnwood, którą musiała wszędzie spotykać i patrzeć na jej flirt z mężem. Jaki był ich stosunek? Jaki jest teraz? Coraz bardziej była nieszczęśliwa. Życie jest okropnym oszustwem. Dlaczego Hubert się z nią ożenił? Co za powód mógł mieć ku temu? Czasami postanowiła zapytać go po prostu, a potem odwaga jej słabła i z każdym dniem śliczna jej twarzyczka nabierała tragiczniejszego wyrazu. Vanessa wyglądała smutno. Doskonała linia czarnych brwi na białym czole nadawała jej styl z czasów Wiktorii, który rzadko się teraz widzi. Ręce jej były białe i małe, nie stwardniałe i szorstkie od różnych gier i sportów. Głowę trzymała po królewsku, a kiedy wkładała wspaniałe diadem z brylantów i rubinów, nie było w Londynie piękniejszej od niej kobiety. W całej jej postaci nie było nic frywolnego, a jej wielka duma dodawała jej młodości. Była tak inna od wszystkich młodych kobiet.

Niektórzy twierdzili, że była za zimną, inni znów mówili, że zanadto jest wyniosła. Najbliższa rodzina Huberta była nawet niezadowolona, że żona ich krewnego jest taką doskonałością pod każdym względem i niczego jej nie mogą zarzucić.

Dni lorda i lady St. Austel wlokły się nieznośnie. Niektóre weekendy spędzali w wielkich domach, gdzie znano nowoczesne zwyczaje, nie byli więc narażeni na podobną sytuację, jaka wytworzyła się u wuja Huberta,

biskupa. Dwa razy na niedzielę St. Austel wyjeżdżał do Wales, a jedną z niedziel spędzili w Londynie. Obecnie wybierali się na wieś do St. Austel, gdzie w przyszłym tygodniu spodziewali się gości, zaproszonych na wystawę koni. Miała przyjechać także księżna Lincolnwood.

Vanessa nie wiedziała o tym, że mąż często patrzy na nią zazdrosnym okiem. Tego wieczoru na balu w Kingsbury House, gdy tańczyła one-stepa z Karolem Langleyem, który pochłaniał ją wzrokiem pełnym uwielbienia, Hubert był ciekawy, czy żona jego uznaje nowoczesne tańce, przy których mężczyzna tak blisko siebie trzyma tancerkę.

Naturalnie to jest tylko taniec i — wszyscy tak tańczą, ale mimo to. — Może on powinien z nią sam zatańczyć?

Miał już ochotę ulec pokusie i pójść poprosić żonę o taniec, gdy tymczasem stanęła przy nim księżna Lincolnwood.

Alicja czuła się także nieszczęśliwa. Bardziej niż kiedykolwiek zakochana była w Hubercie, a nieomylny instykt, który miłość daje nawet głupim kobietom, mówił jej, że hrabia St. Austel dostaje się pod wpływ żony. Zaczęła ją ogarniać trwoga.

Gdy spotkała Huberta pierwszy raz po ślubie, na wieczorze u Hurls-hirów, spostrzegła, że zupełnie jest obojętny wobec Vanessy. Alicja użyła więc wszelkich sposobów, aby go zaprząć ponownie do swego rydwanu. Cieszyła się, że go ma znowu, chociaż wiedziała, że w jego zachowaniu i odnoszeniu nie było śladu uczucia. Ale — bodaj to, że widywała go często, przejmowało ją radością. Teraz jednak, w tych ostatnich dniach, spostrzegła zmianę, a dziś na balu w Kingsbury House zobaczyła dziki blask w oczach Huberta, gdy patrzył na Vanesę.

Pomimo jednak wielkiego powodzenia, od czasu do czasu spotykały Vanesę nieprzyjemności, takie jak dzisiejsza. Usłyszała na tym balu, że nazwano ją „Żydówką, córką lichwiarza”. Dziewczynie wydało się, że ktoś wymierzył jej policzek. Odwróciła się z pogardą i czerwone rumieńce zakwitły na jej twarzy, a oburzenie odbiło się w jej oczach. Dlatego może nie wyłajała Karola Langleya za śmiałość w wyrażaniu jej swego uwielbienia. Jego hołdy robiły jej przyjemność, chociaż wyższa była ponad to, aby rozmyślnie wzbudzić zazdrość Huberta.

— Twoja żona wygląda dzisiaj cudownie, Hubercie — szepnęła Alicja — tak niepodobna do Angielek. Jej ojciec musi być zadowolony.

Księżna po raz pierwszy pozwoliła sobie powiedzieć coś złośliwego — ale uniosła się zazdrością, widząc wzrok Huberta.

Lord spojrział na nią cynicznie. Rozumiał doskonale powód jej uwagi. Hubert wiedział wszystko, co mężczyzna może wiedzieć o kobietach.

W towarzystwie krążyła pogłoska, że małżeństwo St. Austela było niejasną sprawą.

Księżna Lincolnwood słyszała wszystkie plotki, które dotąd ją pocieszały. Ale co za znaczenie mają pogłoski, jeżeli mężczyzna, gdy patrzy na żonę ma tego rodzaju wyraz twarzy?

Karol Langley i Vanessa tańczyli tuż koło nich, a kiedy muzyka urwała, dzikie uczucie ogarnęło Huberta. Podszedł naprzód, nie bacząc na księżną i rzekł niemal szorstko do Vanessy. — Chcę zatańczyć z tobą następną turę.

Karol Langley uśmiechnął się drwiąco i ukłoniwszy się, oddalił się w stronę Alicji, która powitała go ze złym błyskiem w oczach. Małżonkowie zostali sami.

Vanessa czuła się ogromnie podniecona, ale uraził ją ton Huberta. Stali naprzeciw siebie, czekając, aż muzyka zacznie znowu grać.

Hubert otoczył ją ramieniem i puścił się w wir tańca. Pierwszy raz od nocy poślubnej dotknął jej ciała. Wiotka jej postać gięła się w jego uścisku, tańczyła ślicznie, z wielkim poczuciem rytmu, jakie posiada mało osób.

Upojenie ogarnęło ich oboje — wiedzieli tylko jedno, że są blisko siebie. Vanessie wydało się, że nie jest już sobą, że duch jej spoił się z Hubertem. Przyszła jej na myśl tajemnica, która była za święta, aby

o niej mówić. Jeżeliby on ją znał — co by powiedział? Czy byłby zadowolony? Oto tańczyli zapamiętane na londyńskiej sali balowej, przestrzegając wszelkich form — zupełnie obcy dla siebie — z tą tajemnicą w jej sercu i — z jednym dziwnym wspomnieniem, jakie ich łączyło! Ramię jego obejmowało ją niemal gwałtownie, serce jego tłukło się silnie przy jej piersi.

Hubert rozpalony był namiętnością, trzymał ją tak mocno, że nie mogła prawie oddychać. A kiedy orkiestra skończyła wreszcie grać

i oboje się rozłączyli, niebieskie jego oczy błyszczały, a jej twarz była śmiertelnie blada.

— Co takiego — czy jesteś zmęczona? — zapytał. — Może za szybko tańczyłem?

— Tak — odpowiedziała z całym spokojem, na jaki się mogła zdobyć.

Opanowany zupełnie, zaprowadził ją do krzesła. Za każdym razem, kiedy dał się unieść wzruszeniu był zły na siebie i na nią, jak gdyby to była jej wina — biedne dziecko!

— Byłaś strasznie blada — gdy usiedli ciągnął dalej poirytowany — ale zwykle jesteś blada, prawda?

— Zdaje mi się.

— Czy pozwolisz, że ci przyniosę coś do picia?

— Nie, dziękuję, chciałabym wrócić już do domu — jest już tak późno.

— Zaprowadzę cię do auta — pewnie czeka przed domem. Wyszli na klatkę schodową i kiedy Vanessa ubierała się, jej mąż

uzbrajał się w zimną krew. Jakim był idiotą, aby z nią tańczyć. Coraz częściej ulegał wzruszeniom i wściekły był na siebie z tego powodu.

Przy aucie pożegnał się chłodno i wrócił na salę balową.

Vanessę tymczasem dręczyła zazdrość. — Pewnie już znowu Hubert jest przy Alicji i razem może śmieją się z „Żydówki, córki lichwiarza”. Czy i oni ją tak nazywają, jak reszta tego wstrętnego ich towarzystwa?

Magdalena nie czekała na hrabinę St. Austel i kiedy ta doszła do swego zacisznego pokoju o dwa piętra ponad biblioteką Huberta, skąd także rozciągał się widok na park — zaczynało świtać. Drzewa były zielone — robotnicy śpieszyli do pracy, a inni znów wracali z nocnych zabaw.

To są kpiny — nie będzie tego znosić dłużej. Kiedy skończy się ta nieznośna wystawa koni i goście się rozjadą, powie ojcu, że pragnie wrócić do domu. Nie będzie dłużej mieszkała pod dachem z Hubertem. W tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica. Prostolinijny charakter Vanessy nie znosił tajemnic. Duma jej została ciężko doświadczona.

Pewna była, że Hubert nie ożenił się z nią dla pieniędzy, bo sam był bardzo bogaty. Słyszała w salonach o jego wielkim majątku. Dojrzała już także dostatecznie, aby się przekonać, że nie mógł pragnąć spowinowacenia z rodziną jej ojca. Naznaczona jest więc jakimś piętnem dlatego, że jest córką lichwiarza! Pragnęła w tej chwili umrzeć

Przypomniała sobie jednak, co może jej przynieść przyszłość i dziwny, rozkoszny dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Czy to więc prawda? Czy ma o tym powiedzieć Hubertowi? Czy powinna się kogoś poradzić w tej sprawie? — Co to wszystko znaczy? Czym właściwie jest życie? Jeżeli ta nowa, mała istota, ma przez nią zejść na ziemię — skąd przyjdzie?

Wszystko jest okrutną tajemnicą. I teraz, kiedy ona obserwuje świtanie dnia na ziemi, mąż jej, który powinien być przy niej — przebywa z inną kobietą, z kobietą z jego własnego świata. Ona zaś, jego żona, jest niekochana i obca. Vanessa upadła na kolana przed otwartym oknem i gorzkie łzy spływały wolno po jej białych policzkach.

## Rozdział XIV

Ralf Dangerfield będzie pierwszy w St. Austel — przyjedzie rano w poniedziałek, reszta gości zjeżdżać się zacznie po południu, a otwarcie wystawy odbędzie się we wtorek. Wieczorem tego dnia będzie bal w sąsiedztwie dla uczczenia urodzin jednego młodego barona, a w środę Hubert i Vanessa podejmować będą u siebie w zamku całą śmietankę towarzystwa.

Mieli razem omówić plany i Hubert uzbroił się w obojętność i chłód. Unikał wzroku żony, mówił zimno i zachowywał się niesłuchanie sztywno. Vanessa wobec tego przemieniła się także w posąg i odpowiadała lakonicznie.

— Mam nadzieję, że będziesz się starała zająć naszymi gośćmi

— rzekł wreszcie poirytowany. — Przyzwyczajeni są widzieć w St. Austel wszystko przyzwoicie przygotowane na swój przyjazd.

— Naturalnie, że będę dla nich uprzejma — ton jej brzmiał wyniośle

— ale dotąd nawet nie znam ich nazwisk. Powiedz mi lepiej o ich słabostkach.

Czy to ironia? Jeszcze bardziej czuł się niezadowolony.

— Nie mają żadnych słabostek, wszyscy są sympatyczni i od razu będą się czuli jak u siebie w domu.

— Więc tylko gospodyni zostanie obca — oczy Vanessy błyszczały. Hubert spojrzął na nią mocno zdziwiony. Nigdy do niego nie mówiła

takim tonem. Czuł się zmieszany, ponieważ przypomniał sobie, że

niegdyś nazwał ją sam „obcą, cudzoziemką”. Czy chciał, aby teraz taką była? Wiedział teraz, że gdyby dał ujście prawdziwemu uczuciu, leżałaby w jego ramionach. Odwrócił się do okna w chwili, kiedy wszedł Ralf Dangerfield. Oboje powitali go radośnie.

Twarz Vanessy rozjaśniała się na widok pułkownika. Wiedziała, że ma w nim sprzymierzeńca. Będzie mogła się wypytać go o wszystkich gości.

Ralf domyślił się, że była jakaś burza, taktem jednak i obyciem załagodził wszystko przy lunchu, po którym Hubert zostawił ich samych.

Zaniepokojony wzrok Vanessy wzruszył Ralfa. Od ostatnich dwóch tygodni, kiedy jej nie widział, zmieniła się bardzo. Uroda jej wyszlachetniała, prawdopodobnie czuje się bardzo nieszczęśliwa.

— Droga moja kuzynko, opowiedz mi o wszystkim — rzekł, kiedy usiedli w greckiej rotundzie przy końcu tarasu w cieniu wspaniałych buków.

— Co to znaczy o wszystkim? — zapytała po prostu.

— Wszystko — to ty — twoja zmieniona twarzyczka. Oczy przyćmione i smutne — i jesteś taka blada. Chciałbym, abyś była szczęśliwą.

— Kuzynie Ralfie, czy człowiek może być szczęśliwy na tym świecie? Gdy byłam małą dziewczynką, za granicą słyszałam o różnych religiach. Papa nie chciał narzucić mi żadnej, ale to, co zdołałam z nich pojąć, uczyło, że nie ma tu na ziemi szczęścia; tylko cierpienie i ofiara.

— Ale naturalnie, że jest szczęście, nie powinnaś tak mówić — czasami właśnie przynoszą je ofiara i cierpienie.

Spojrzała w dal i Ralf uznał, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknego profilu i klasycznej głowy, osadzonej na długiej, łabędziej szyi. Znowu dziwił się Hubertowi. Z pewnością nadszedł już czas, aby ten zmienił zdanie o swej żonie.

— Vanesso — przebacz mi, jeżeli wydam ci się impertynentem. Czy ty naprawdę nie lubisz Huberta? Oboje robiliście wrażenie zagniewanych, gdy wszedłem do pokoju. On jest mi najbliższy w świecie i mam uczucie, że nie poznałaś go jeszcze.

Jakiś instykt mówił Vanessie, że nie powinna mówić o mężu nawet z Ralfem — odpowiedziała więc tylko:

— Mam wrażenie, że nasze małżeństwo zostało ułożone; oboje nie znamy się, ale sędzę, że potrafimy dostosować się do warunków, które los nam narzucił i z całej sytuacji wyciągnąć to, co najlepsze.

— Powinnaś się szalenie zakochać!

— Kochać się! Przestrasza mnie to, nie mówmy o tym. Powiedz mi

O tych osobach, które przyjadą, żebym nie zrobiła jakiej pomyłki.

Ralf spostrzegł, że Vanessa nie chce więcej mówić o sobie. Przez całe popołudnie starał się być jej pomocnym w czym tylko mógł, aż zaczęli przybywać pierwsi goście. Wśród nich była Alicja Lincolnwood, piękna i wytwornie ubrana.

Była zanadto dobrze wychowana, aby nie być ogromnie uprzejmą względem Vanessy. Ralf obserwował obydwie młode kobiety. Bawiłaby go ta obserwacja, gdyby nie to, że zależało mu na szczęściu Vanessy. Hubert obserwował je także. Jak mógł tolerować Alicję lub jaką inną kobietę? Żadna z tych, które znał, nie mogła się równać ze śliczną bladą, eteryczną dziewczyną — jego żoną.

Nie mógł tylko pokonać dotąd swej niechęci do całej tej sprawy. Vanessa zresztą nie dała mu najmniejszego dowodu sympatii. Nawet gdyby zrobił pierwszy, pojedynczy krok, kto wie, czy nie pragnęłaby go upokorzyć, a na to nie ma ochoty się narazić. Przypuszcza, że wszystko samo się ułoży. Nie będzie decydował. Dziwnie jest tylko przygnębiony.

Przy obiedzie Alicja siedziała po jego prawej ręce, ale St. Austel tak był zatopiony w myślach, że księżna czuła się podrażniona.

Vanessa starała się nie patrzeć w ich stronę, Huberta zasłaniały kwiaty, ale na twarzy księżnej czytała jej uczucia i paląca zazdrość wkradła się do serca hrabiny St. Austel.

Na szczęście odebrała surowe wychowanie, mało bowiem dziewcząt w jej wieku potrafiłoby przetrwać tego rodzaju sytuację z takim zewnętrznym spokojem.

Jeden Ralf zdawał sobie sprawę z cierpienia Vanessy.

— Czy nie jest śliczna — rzekła do niego towarzyszka — ale wygląda ogromnie tajemniczo. Ma się wrażenie, że jakaś tragedia wdziera się w jej życie, ale inaczej nie byłaby tak interesująca! W codziennym, powszednim życiu tak mało mamy wstrząsów i wrażeń!



W czasie obiadu powysuwano meble ze środkowej części salonu i orkiestra, która dotychczas grała melodyjne utwory, wpadła w rytm jazzu, a Hubert z księżną rozpoczęli tańce.

Alicja starała się być powabna, miała specjalny szyk, a przy tym piękną, bogatą wdowę, księżnę, otacza zawsze pewien urok. Całe życie przyzwyczajona była do hołdów.

Policzki Vanessy pałały. Karol Langley zbliżył się do niej, a ona pierwszy raz uśmiechnęła się do niego zalotnie. Dotąd przyjmowała jego uwielbienie z obojętnością.

Langley był w siódmym niebie i kiedy mijali tamtą parę, szeptał jej słowa zachwytu.

Hubert zauważył rozkochany wzrok kolegi i nieświadomie tak szarpnął swą tancerkę, że ta zawołała zdziwiona:

— Hubercie! Wtedy on zapytał:

— Czy ja źle tańczę, czy ty?

— Naturalnie, że nie ja, ty tańczysz okropnie nierówno!

— W takim razie siądźmy. Szerokimi drzwiami wyszli na taras.

Vanessa czuła, że nie może już zrobić kroku, a Karol Langley mówił jej, że jest za piękna, aby mąż ją tak zaniedbywał i że on, Karol po prostu ją uwielbia.

— Czemu pan mi to mówi? — zapytała, nie zdając sobie sprawy ze swych słów, bo uwagę miała zwróconą na Huberta.

Obojętność jej tonu dotknęła Karola.

— Ponieważ cię kocham — a mąż pani, jak wszyscy mężowie — jest ślepy.

— Panie Langley, jak pan śmie mówić takie rzeczy?

Więc wszyscy zauważyli zachowanie Huberta względem niej?

Milczała w czasie dalszego tańca, uwagę mając ciągle zwróconą w stronę tarasu, gdzie widziała rąbek sukni księżnej.

Pewnie stoją i Hubert szepce to samo do ucha Alicji, co ona teraz słyszy od swego partnera.

Karol Langley zwrócił się do niej znowu.

— Skoro Hubert jest takim motylem, czemu pani nie pozwoli, abym ja ją uszczęśliwił?

Rozsądniej będzie wziąć te uwagi za żart — pomyślała Vanessa i roześmiała się drwiąco.

— Co za głupstwa pan mówi — rzekła wyniośle. — Jakim sposobem mógłby mnie pan uszczęśliwić?

— Bardzo łatwym, o ile by mnie pani zawsze nie odtrącała. Vanessa roześmiała się ponownie, ale w jej pięknych oczach malował się smutek.

— Co by pan zrobił?

Karol Langley ogarnął ją namiętym spojrzeniem. Hubert zmienił teraz swoją pozycję i patrzył przez okno na salon. Opanowała go wściekłość.

— Twoja żona pociesza się pod twoją nieobecność — zadrwiła delikatnie Alicja.

Hubert spojrział na nią obojętnie i odprowadzając do salonu, zostawił ją w towarzystwie Ralfa, a sam podszedł do Vanessy i przerwał jej taniec.

— Za gorąco ci, wyglądasz na zmęczoną, wyjdź ze mną.

Karol Langley poklepał lorda poufale po plecach, uśmiechając się cynicznie.

— Poczciwy Hubert! Jaki jesteś troskliwy — rzekł, po czym oddalił się w stronę księżnej i Ralfa.

Vanessa wzięła leżący na sofie, cudowny chiński szal, który dostała od ojca i zarzuciwszy go na ramiona, razem z Hubertem wyszła na taras.

Zastali tu różne spacerujące pary, St. Austel skierował więc żonę do rotundy, gdzie się zatrzymał.

— Jak śmiesz patrzeć w ten sposób na Karola Langleya i pozwalać mu, aby i on na ciebie tak zalotnie spoglądał — to jest w najgorszym guście. Głos Huberta był pogardliwy, unosiła go zazdrość, a wtedy u Vanessy obudziła się duma i poczucie krzywdy.

— A jak ty śmiesz mnie krytykować? — zapytała.

— Mam do tego prawo, gdyż niestety świat cię zna jako moją żonę. Vanessa wydała nieokreślony, smutny dźwięk. Nie był to ani jęk, ani

płacz, co świadczyło o jej wielkim bólu.

Hubert drgnął, choć zanadto był zagniewany, aby zwracać uwagę na jej cierpienie. Przeciwnie, dawało mu to pewną satysfakcję, że mógł ją dotknąć.

Tymczasem mężczyzna ukryty w krzakach wawrzynu usłyszał westchnienie Vanessy, chociaż nie mógł rozróżnić jej słów. Jego oszalałe oczy błyszczały w ciemności. W oświetleniu księżyca widział jaskrawy szal lady St. Austel.

— Co Karol ci powiedział? — nalegał Hubert — chcę wiedzieć.

— A jeżeli ja — nie zechcę powiedzieć?

— Powiesz — chwycił gwałtownie jej dłonie — mam prawo usłyszenia prawdy.

Vanessa roześmiała się drwiąco.

— Prawa więc są tylko jednostronne? Ja w takim razie mogę się równie dobrze zapytać ciebie, co mówiłeś księżnej? Znalazł się nagle w pułapce. Wiedział dobrze, że nie cierpiał nikomu zdawać sprawy ze swych słów i czynów. Co innego jednak Vanessa

— pomyślał.

— W mojej rodzinie, hrabiny St. Austel nie miały zwyczaju flirtować otwarcie — w dwa miesiące po ślubie.

Vanessa czuła się oburzona.

— Dlaczego się więc ze mną ożeniłeś, jeżeli jestem tak nieodpowiednią żoną?

Roześmiał się gorzko.

— Mówisz, jakbyś nie wiedziała, dlaczego cię poślubiłem.

— Nie wiem, często się nad tym zastanawiałam.

Popatrzył na nią zdumiony i na chwilę ochłonął nieco z gniewu. Wnet jednak ogarnęło go na nowo ponure wspomnienie. Widział twarz Karola Langleya, który wzrokiem pełnym zachwytu obejmował Vanes-sę i odezwał się ze złością:

— Domagam się tego, abyś mi powiedziała, co Karol ci mówił

— naturalnie powtarzał, że cię kocha.

Milczała. Hubert nie puszczał jej rąk, gniótł je w swym uścisku. Krzyknęła wreszcie.

— Boli mnie — i wtedy uwolnił jej dłonie.

— Czy wyznał ci swą miłość? — powtórzył pytanie St. Austel. Vanessa obojętnie wzruszyła ramionami.

— I ty mu na to pozwoliłaś? Vanessa roześmiała się bezdźwięcznie.

— Powiedział mi także, że jestem rozkoszna, a tak zaniedbana przez męża!

Była coraz zuchwalsza.

Gniew Huberta wzrastał, trafiła w jego słaby punkt, więc ludzie zauważyli, że ją zaniedbuje? Aż do tego doprowadził?

— Nie zniosę tego, abys przyjmowała oświadczyzny mężczyzn — rozumiesz? Karol jednak nie ośmieliłby się aż tak, gdybyś go do tego nie zachęciła. Ty ponosisz całą winę.

— Naturalnie.

— A ty, co mu odpowiedziałaś, skarżyłaś się na mnie? Spojrzała na męża z pogardą, a on dostrzegł w świetle księżycy jej

bardzo bladą twarz.

— Upokorzenie, którego doznaję z powodu twojego zachowania jest wystarczające i nie pragnę niczyjego współczucia.

Mierzyli się wzrokiem. Przepaść, która ich dzieliła, zwiększała się-z każdą chwilą.

Vanessa w uniesieniu ciągnęła dalej.

— Onegdaj twoi znajomi nazwali mnie „córka lichwiarza"! Zaniedbujesz mnie i upokarzasz, a teraz czynisz obrażające porównania między mną a swoją rodziną. To ja nie będę tego dłużej znosiła.

Lady St. Austel odwróciła się i z głową wysoko podniesioną szybko odeszła do domu. Wchodząc przez jadalnię, pobiegła na górę do swojego pokoju, gdzie upadła na fotel i załamała dłonie.

— Więc on mną pogardza? Nie wierzy nawet, że potrafię nosić z godnością jego nazwisko! Ach! Czemuż nie złażała Karola Langleya? Jakiś pech ją prześladowuje i naraża na tak fałszywą sytuację.

Dlaczego jednak Hubert ożenił się z nią? Czy ojciec znał powód? Coś musi się kryć w tym wszystkim. Ona zaś jest nieszczęśliwą ofiarą w całej sprawie. Ogarnęła ją niemoc i odrętwienie.

A tymczasem Hubert, kiedy Vanessa odeszła, stał także oszołomiony różnorodnymi wrażeniami. Więc ona nie wiedziała, dlaczego się z nią ożenił! Nie jest zepsutą materialistką, która pragnęła za wszelką cenę zostać hrabiną.

Jest niewinnym stworzeniem, które było zabawką w ręku ojca. Wobec tego jakże on Hubert, był dla niej niesprawiedliwy. Nic dziwnego, że go nie cierpi i słucha słów Karola.

Lord St. Austel wrócił także do zamku. W drodze ochłonął z gniewu, ale dziwne, niemiłe uczucie niepokoju i zdziwienia nie opuszczało go, chociaż starał się usprawiedliwić swój punkt widzenia. Wchodząc do salonu, wpadł na Ralfa.

— Gdzie jest Vanessa? Czy nie widziałeś jej Ralfie?

— Nie, zastanawiałem się właśnie, co się z nią stało, gdzie znikła. Okropnie blado dzisiaj wygląda. Czy nie jest chora?

Co za naiwność! Jest blada, bo nie cierpi swego męża i cała sytuacja jest dla niej wstrętne. Najgorsze zaś to, że on wie nareszcie, iż kochają całym swoim sercem.

Skoro jest niewinną ofiarą, a nie współniczką projektów swego ojca, traktował ją okropnie.

Teraz spojrzał tylko smutnie na Ralfa i odszedł. Przynajmniej jedna myśl pocieszała go: są w każdym razie związani

— należy do niego i nie może odejść. Może z czasem zmieni o nim swe zdanie.

Dumania jego przerwała księżna.

— Hubercie, co tak patrzysz w przestrzeń? Nie wierzyłam, że istnieją dziś lunatycy, widząc ciebie, wierzę. Obudź się i zatańcz ze mną.

Hubert objął machinalnie kibić Alicji i oboje puścili się w wir tańca... W tej samej chwili Vanessa, odzyskawszy równowagę, zeszła z powrotem do swych gości.

## Rozdział XV

Vanessa, krocząc szerokimi schodami, zatrzymała się na ostatnim stopniu. W uszach dźwięczały jej jeszcze ciągle znieważające słowa męża i kiedy zobaczyła Huberta, tańczącego z księżną ogarnęła ją dzika złość. Ralf, przerażony wyrazem jej oczu, podszedł do niej i jak mógł, starał się kojąco na nią wpłynąć. Pozostał przy niej, aż goście się nie rozeszli.

Nazajutrz dzień był upalny. Duszno było i parno na wystawie koni, a w pawilonie przy lunchu, powietrze zdawało się wydobywać z jakiejś odchłani. Vanessa obawiała się, że zemdleje. Wszystkie twarze wyglądały zamglone.

Hubert wcale się do niej nie odzywał.

Spotkali się przelotnie przed wyjazdem z domu i popatrzyli na siebie chłodno. Obecnie Vanessa siedziała obok marszałka powiatu, największego magnata w hrabstwie, a Hubert z jednej strony bawił jakąś starszą arystokratkę, a z drugiej — naturalnie Alicję Lincolnwood. Gdy pochylał się trochę naprzód, widział śliczny profil Vanessy. Ona jednak rozmyślnie nie patrzyła w stronę męża, który był dziwnie roztargniony i niezadowolony ze wszystkiego. Niezadowolony z tego, że Alicja tak mu się narzucała. A musiała siedzieć obok niego zawsze, gdyż stanowisko jej wymagało tego, by zajęła miejsce po prawej ręce gospodarza. Hubert był zły, że sytuacja tak się skomplikowała i jego stosunek do Vanessy tak nabrzmiał, że nawet obojętna rozmowa między nimi stała się niemożliwa. Jakie wyjście będzie z tego wszystkiego?

Czemu wczoraj okazał się takim zazdrosnym brutalem? Znał przecież swoją sferę i wiedział, że hołdy Karola Langleya nie miały większego znaczenia. Takie same pokłony bił przedtem przed innymi kobietami, a on Hubert śmiał się z tego. Dlaczego więc, gdy chodzi o jego własną żonę, tak się rozgniewał i tak poważnie wziął rzecz do serca? Parę tygodni temu, kiedy Vanessa była jeszcze dla niego niczym, nie zwróciłby na to uwagi.

Paplanina Alicji, której nigdy tak chętnie słuchał, nudziła go teraz bezmiernie.

Popołudnie wreszcie minęło i zapadł wieczór. Po obiedzie wszyscy wybierali się na bal do Lilliesfield.

Vanessa miała na sobie suknię z czerwonego tiulu i brylantowy diadem, który dostała od ojca. Jej wspaniała, egzotyczna uroda przyćmiewała wszystkich, a sposób bycia, którym wyrażała obrażoną dumę, dodawał jej godności.

Hubert był pełen zachwytu, ale serce miał przepełnione bólem.

Czemu nie chciała się nigdy przystroić jego rodzinną biżuterią?

W ciągu wieczoru śledził każdy jej ruch, wiedział zawsze z kim tańczyła, gdzie stała, jak długo z kim rozmawiała.

Vanessa natomiast była przekonana, że kiedy mąż zniknął jej z oczu, przebywał z księżną.

Nareszcie spotkali się twarzą w twarz; Vanessa tańczyła z Karolem Langleyem a Hubert z Alicją.

Nowa fala zazdrości ogarnęła Huberta.

— Zamieńmy się tancerkami, Karolu — rzekł wesoło — znudziłem się już księżnej. Wyciągnął rękę do Vanessy.

— Proszę więc, panie Langley — zawołała księżna, podając mu swą dłoń. — Hubert ma rację.

Karol z niechęcią opuszczał Vanessę, ale nie pozostawało mu nic innego do zrobienia.

Gdy małżonkowie pozostali sami, Vanessa stała milcząco, niby posąg, i spoglądała na salę. Niezadowolona była z tego, że jest zabawką w ręku drugich.

— Chcę tańczyć — rzekł Hubert.

— A ja nie chcę.

— Dlaczego — dlatego, że ze mną?

— Prawdopodobnie.

— Będiesz tańczyć — rzekł wściekłym tonem i otoczył ją ramieniem, a ponieważ nie można było robić widowiska przed ludźmi, zastosowała się do jego życzenia. Zanim jednak przetańczyli wokoło salę, ogarnęło ją śmiertelne znużenie. Hubert poczuł, że całe jej ciało słania się w jego ramionach.

— Co takiego? — zawołał, a potem na pół podpierając, na pół niosąc, zaprowadził ją do sofy przez balkonowe drzwi. Coś dziwnego działo się z Vanessą. Nie czuła, że traci przytomność, tylko że coś trzepoce się pod jej sercem, coś się w niej porusza. Na chwilę ogarnęło ją przerażenie, a później niesłychany zachwyt — jej wielkie, czarne oczy podobne do nocnego nieba — niezgłębione i tajemnicze, wydawały się oglądać jakieś niezmiernie zjawisko, jak przez sen usłyszała głos Huberta.

— Na miłość Boga, Vanesso co ci jest, co się stało? Opanowała omdlenie, błoga radość opromieniła jej twarz.

Hubert nagle przeniósł się w zaświaty. Przeszłość i teraźniejszość i przyszłość zlewały się w milczeniu. Czuł się upojony, oczarowany.

Ale żadne z nich nie wiedziało, że to pierwsze ruchy ich dziecka wywołały ten nastrój — czuli tylko, że jakiś cudowny prąd magnetyczny przyciągał ich nawzajem ku sobie.

Za sekundę Hubert byłby już ją trzymał w ramionach — i dalszego ciągu powieści nie trzeba by było pisać, gdyby nie (jak to często się zdarza) trywialna okoliczność, która odwróciła bieg zdarzeń. Jakiś zamaszty szlachcic, w pogoni za posażną wdówką, wyszedł na balkon i potknął się niemal o drobne stopy Vanessy.

Usprawiedliwiał się ogromnie, ale czar prysnął i nieszczęśni bohaterowie znowu wrócili do rzeczywistości.

— To nic, dziękuję, rzekła Vanessa. — Jestem zmęczona i nie mogę więcej tańczyć. Zaprowadź mnie do lady Backword, powinnam się z nią przywitać.

Hubert zeszczywniał.

— Dobrze — ujął ją pod rękę.

Nie mówili więcej, a kiedy wrócili do domu, w obecności swoich gości pożegnali się obojętnie na dobranoc.

Lecz kiedy Hubert został sam w swoim gabinecie w zachodnim skrzydle zamku, mruknął do siebie: Co to było? Co to mogło być?



Wychylił się przez okno i patrzył na księżyc, znikający na niebie. Niebawem miało świtać. Hubert wyszedł na stary, kamienny taras i patrzył przed siebie w dal, na zielony park. Ogarnęła go szalona tęsknota — gdyby mógł ją posiąść, rozkochać... gdyby... Gorąca, słodka woń wydobywała się z zieleni i nagle zaświergotał ptak. Ale to nie ptaki wywołały szmer w krzakach. Przystanął i uważnie słuchał, po czym podszedł do gąszczy i obejrzał je dokładnie. Nie znalazł niczego podejrzanego. Musi zwrócić jednak uwagę rządcy. Ostatnimi czasy opowiadano o kłusownikach, którzy grasują w majątku Lilliesfeld, graniczącym z St. Austel ale czemu kłusownik podchodziłby tak blisko domu? Pewnie się pomylił, to musiała być łasica. Znowu myśli jego pobiegły do Venessy, tej pięknej, alabastrowej istoty. Całe ich małżeństwo od samego początku było wstrętną pomyłką. Czemu nie spotkał jej w naturalny sposób, gdy żaden przesąd nie zdołał się w nim zakorzenić. Ona jest jego ideałem kobiety. Był teraz tego pewien. Całe lata mają przed sobą i nauczy ją kochać — nie jest jeszcze za późno. Pogrzyżył się w marzeniach. Marzył o tym cudownym dniu, kiedy ona naprawdę będzie jego. I świt zastał go jeszcze w ogrodzie, a wyraz zadumy odbijał się na twarzy Huberta.

\*

Vanessa w swoim pokoju po raz drugi upadła drżąc na fotel. Dziwne trzepotanie poniżej serca uczuła ponownie i tym razem pojęła nagle prawdę. Dotąd nie przywiązywała wagi do swej tajemnicy. Myśl o niej odrzucała na bok, jako coś nierealnego.

Obecnie wstrząsnęło nią silne wzruszenie.

— Hubercie — zawołała miękko — Hubercie — powtórzyła.

Ale nikt jej nie odpowiedział.

## Rozdział XVI

Następnego popołudnia goście wybrali się znowu na wystawę koni, ale Vanessa została w domu, a z nią Ralf Dangerfield. Tłumaczyli się tym, że chcą doglądać ostatecznych przygotowań do balu. Vanessa cieszyła się, że będzie miała parę spokojnych godzin. Ralf o kulach dotrzymywał jej towarzystwa. Wreszcie usiadła wyprostowana na krześle. Czowała, że nie może się poddać osłabieniu i zmęczeniu, bo potem jeszcze trudniejsze będzie bawienie gości.

Ralf obserwował ją wzrokiem pełnym współczucia.

Jak można nie kochać tak ślicznej, szlachetnej istoty, jaką jest Vanessa? Cóż mężczyznę powinno obchodzić jej pochodzenie i zatrudnienie ojca?

Każdy szczegół w jej postaci wyraża siłę charakteru. Stanowcze usta, czyste i szlachetne czoło, i te cudowne oczy, w których kryje się tragedia.

— Prawda, że dzisiejsze powietrze jest czymś dziwnie naładowane, kuzynie Ralfie? — rzekła Vanessa, drżąc delikatnie. — Takie jakieś jest ciężkie, choć ani jednej chmurki nie ma na niebie.

Ralf lubił, gdy nazywała go kuzynem Ralfem, prosił ją zaraz przy poznaniu, by tak się do niego zwracała. Dla Vanessy zaś było to wielką pociechą, że ma w nim oddanego przyjaciela.

— Sądzę, że coś na nas działa. W atmosferze unoszą się jakieś niewidzialne siły — odpowiedział. — Kiedyś nauka i to odkryje.

— Nie będzie więc już żadnej tajemnicy — a tajemnica ma w sobie coś tak czarującego!

— Twoje oczy, Vanesso, są bardzo tajemnicze.

Odwróciła się i spojrzała na niego — ból duszy zdawał się wyglądać z jej źrenic.

— Dziecko, czy możesz mi powiedzieć, co cię gnębi i niepokoi?

— Ralfie — nie cierpię księżnej Lincolnwood. Czemu ona zawsze musi być w pobliżu mego męża?

Ralfowi trudno było znaleźć odpowiedź. Ciągłe jeszcze nie wiedział, jaki był stosunek między Hubertem a Alicją. Jeżeliby starał się rozproszyć w wyobraźni Vanessy niepokój, mógłby to być tylko czasowy, łagodzący środek. — Co więc ma uczynić?

— Tyle jest pięknych rzeczy w twoim życiu, Vanesso, niezależnych od Huberta i jego dawnych znajomych.

Pragnąłbym, abyś się zainteresowała tym wszystkim, co może przynieść szczęście i dobro tobie i innym.

— Postaram się, ale wiem, że jestem niemiłe widziana w waszej sferze — jestem tu obcą.

— To nonsens — każdy kto cię zna, jest dla ciebie pełen uwielbienia.

— Słyszałam w Kingsbury House, jak mnie nazwano „Żydówką, córką lichwiarza”.

Ralf puścił dym z papierosa.

— Jeśli tak — to masz przed sobą trudne zadanie, pokonać wszelkie przesady i dowieść wszystkim, że wartość twoja leży w tobie samej — o łatwe rzeczy szkoda zabiegać.

Vanessa westchnęła, a myśli jej powędrowały w dal. W tej chwili, poza miłością Huberta, nie pragnęła niczego. To był początek i koniec wszystkiego. Jeżeli w ciągu długich lat ma iść przez życie godna i tęskniąca za uczuciem męża, który jest wobec niej tak obojętny, a co gorsze oddany innej kobiecie, czyż warto żyć?

Pomyślała o tajemnicy, którą kryła w duszy. Wrodzona wstydlivość, a do tego wpojone surowe zasady, nie pozwoliły jej podzielić się nią z Ralfem — jedyną ludzką istotą, życzliwą jej i przyjazną. Ojca pewnie to zainteresuje i może rodzinę Huberta, ale Huberta samego? Jakże może go zająć dziecko kobiety, którą pogardza — może będzie nawet niezadowolony. Co to wszystko może znaczyć? Dlaczego się z nią

ożenił? Czemu zostawia ją tak osamotnioną? Czemu jest dla niej taki brutalny ostatnimi czasy?

Vanessa nie знаła obyczajów światowych i nie wiedziała, że gwałtowna zazdrość nie oznacza obojętności. W podrażnieniu Huberta nie widziała więc uczucia, ale jedynie szaloną dumę, którą się kierował. Doznała znowu bolesnego ukłucia, gdy przypomniała sobie, że on nazwał jej zachowanie „w złym guście” i powiedział, że „n i e s t e t y j e s t j e g o ż o n ą”.

Widocznie żałował swego kroku. Nie, nie może mu wyjawić swej tajemnicy. Wszystko trzeba zostawić losowi. Zanadto czuje się już zgnębiona i zmęczona, aby dłużej rozmyślać. Wierzy tylko, że Bóg, którego czci, dobry Bóg, doda jej siły, aby nie upadła na duchu i pozostała wierną sobie. Ten Bóg doda jej także odwagi, aby niekochana i lekceważona żyła dla dziecka swej miłości.

— Vanesso, o czym tak dumasz, droga kuzynko? Podskoczyła niemal na dźwięk głosu Ralfa, myśli jej były tak daleko.

— Szeptalam modlitwę, kuzynie Ralfie. Teraz porozmawiajmy

O nowej książce, którą dostałam wczoraj z Londynu.

— Więc nie chcesz nikogo wpuścić do wnętrza swej duszy, nie chcesz wyjawić mi swych myśli?

— To byłoby bez celu. Może będziesz się śmiał ze mnie, bo uważasz pewnie, że jestem młoda i niedoświadczona. Wiem jednak, że jeżeli człowiek chce wygrać życiową bitwę i zwyciężyć, sam musi o wszystkim decydować i znieść w milczeniu cierpienie.

Ralf dostosował się więc do jej życzenia i o nic więcej nie pytał. Rozmawiali o książkach, ale jakieś złowróżbne uczucie nie opuszczało pułkownika, szczególnie, gdy po powrocie gości z wystawy koni zobaczył znowu Huberta u boku Alicji. Poszli oboje grać w tenisa, zostawiając Vanessę samą.

Ralf nie wiedział tylko, co się działo w duszy Huberta.

Księżna swoją zrećnością i przebiegłością zmusiła po prostu lorda, aby jej towarzyszył. Twierdziła, że należy się odegrać na Karolu Langleyu, który z kuzynką Huberta zwyciężył ich poprzedniego dnia.

i Hubert, nie mogąc odmówić Alicji, tęsknił do chwili, kiedy zostanie sam z Vanessą. Nie miał pojęcia, że żona jego, zawsze tak zimna, zazdrosna jest o Alicję.

— Ach, jakie duszne powietrze — rzekła księżna, zrzucając szykowny, sportowy płaszcz. — Możemy się spodziewać burzy z piorunami.

— I ani jednej chmurki na niebie — śmiała się kuzynka, odbijając piłkę prosto w głowę Huberta.

Tymczasem Vanessa siedziała pod starymi bukami, gdzie zgromadziła się reszta towarzystwa i drżała cała ze zdenerwowania. Czemu, czemu zawsze jest lekceważona i usuwana w kąt? Przecież ona jest panią domu, a księżna nie uważała nawet za stosowne zapytać ją, czy zgadza się teraz na partię tenisa.

Przyszła już z powziętą decyzją i zabrała Huberta, ignorując zupełnie jego żonę, jak gdyby on należał do niej!

Wesoły śmiech graczy rozbrzmiewał na placu tenisowym — wszyscy byli tak rozbawieni i swobodni. Nie odnoszono się do siebie z tą przesadną, drobiazgową uprzejmością, z jaką wiele osób zwracało się do Vanessy.

— To dlatego, że wiedzą, iż mną pogardza — mówiła do siebie nieszczęśliwa kobieta. — Biorą przykład z Huberta. Wszyscy byliby inni, gdyby wiedzieli, że on mnie kocha.

Vanessa zdawała sobie sprawę, że na nic właściwie nie może się uskarżać, bo goście, prócz Alicji, traktują ją z uszanowaniem. Pomimo to jednak czuła, że kiedy się do niej zwracają, używają jakiegoś specjalnego tonu, który ją drażnił.

Ralf wiedział, że Vanessa cierpi, ale nie mógł jej w niczym pomóc.

Gdy partia tenisa skończyła się, gracze przyłączyli się do reszty towarzystwa, pragnąc się ochłodzić jakimś napojem. Żartowano i gawędzono wesoło. Karol Langley opowiadał, że słyszał od kogoś, iż tej nocy w Lilliesfield urządzono pościg za kłusownikiem, który zastawił sidła na młode kuropatwy.

Hubert przypomniał sobie, jak zaniepokoił go szelest wśród wawrzynów.

Vanessa obserwowała męża. Tak mu było do twarzy w tenisowym ubraniu. Elastyczne ruchy, jakie tylko gimnastyczne wyszkolenie daje mężczyźnie, a do tego rasowy wygląd, czyniły go niesłychanie pociągającym, a uroda jego działała na kobiety.

Vanessa, spoglądając ukradkiem na Huberta, pełna była namiętnej, niezaspokojonej tęsknoty. Prawnie przecież należał do niej, a nie do

księżny. Hańbą jest, aby obecny stan rzeczy trwał dalej. Nie zniesie tego i nie będzie się dłużej na to patrzyła. Wróciła do zamku i udała się do swego pokoju. Tu usiadła pod oknem i widziała, jak Hubert wyciągnięty na trawniku u stóp księżnej, targał uszy swego psa. Fala zazdrości ogarnęła ją ponownie.  
— Zabiłabym cię, gdybym mogła — szepnęły jej drżące wargi. — On jest mój — a nie twój!

## Rozdział XVII

Vanessa wyglądała wieczorem jak królowa w swej złotosrebrnej toalecie. Włosy przytrzymała sznurem pereł, a na rękę miała narzucony chiński szal, podarunek ojca.

Po obiedzie lord i lady St. Austel witali gości, którzy przyjechali na bal. Nie odzywali się do siebie, chłód Vanessy paraliżował słowa na ustach Huberta.

Gdy zaczęto tańczyć, lord St. Austel z westchnieniem ulgi udał się do salonu. Wszystko to nudziło go już beznadziejnie. Jutro, gdy goście się rozjadą, zostanie sam z Vanessą, porozumie się z nią i przełamie lody.

Tymczasem jasno da do poznania Alicji, że nudzi go i dłużej nie ma zamiaru przyjmować jej awansów. Nie miał dość siły woli, aby zabronić jej niemądrych, sentymentalnych nastrojów, w jakie wpadała ostatnimi czasy. Teraz jednak musi nastąpić koniec tego.

Przejęty tym zamiarem, podszedł do księżnej, która miała na sobie także srebrną suknię; o ileż jednak piękniej od niej wyglądała Vanessa!

Małostkowość Alicji tłumaczy jej zuchwałość. Narzuciła na siebie szal Vanessy, która wychodziła właśnie z zielonego saloniku i spostrzegła księżną i Huberta, znikających za drzwiami tarasu.

Gorąca, włoska krew zakipiała w niej; szalone uczucie zazdrości nią owładnęło. Pójdzie za nimi — nie będzie tego dłużej znosiła — naocznie się przekona, jaki ich łączy stosunek.

Zrozpaczona zawróciła do hallu i narzucając na siebie ciemne okrycie, owinęła się nim szczelnie, po czym małymi drzwiami od korytarza wysunęła się na taras.

Obejdzie wąską ścieżkę wśród wawrzynów i dojdzie do rotundy, gdzie z dala, w świetle księżyca, widziała błyszczącą suknię Alicji.

Szalony gniew i ból wstrząsnęły Vanessą — czuła dreszcz, ręce miała zimne i wilgotne. Przystanąła w wąskiej alei i kryjąc się za pniem cedrowego drzewa, skierowała wzrok na dwie sylwetki, oparte o balustradę.

Serce Vanessy biło tak gwałtownie, gdy zobaczyła, jak księżna rzuciła się w ramiona Huberta i ścisnęła go za szyję, że ledwie mogła oddychać. Ale w tej samej chwili spostrzegła, że Hubert uwolnił się raptownie z uścisku Alicji i z pogardą niemal odepchnął ją od siebie.

Wówczas, pod wrażeniem nagłej ulgi, Vanessa przysła do przytomności i zawstydziła się swego czynu. Więc poszła podglądać ich — ona, Vanessa — upadła tak nisko.

Kiedy odwróciła się, aby pójść do domu, rozległ się strzał i lady St. Austel przypomniała sobie, jak Karol Langley opowiadał o kłusownikach.

Ścieżka raptownie zakrecała i zanim doszła do skrzyżowania, jakiś mężczyzna wynurzył się z gęstwiny wawrzynów i rzucając rewolwer pod nogi, znikł wśród krzewów.

Vanessa jednak nie widziała nikogo, przejęta była myślą o swoim niegodnym postępku.

Zatrzymała się w tym miejscu, gdzie leżał rewolwer, aby nabrać oddechu i wtedy spostrzegła, że Hubert szybko biegnie ku niej od strony rotundy.

— Domyślił się więc, że szpiegowałam go — ach! Hańba! — Chciała biec, ale on już był przy niej i gwałtownie chwycił ją za ramię.

— Ty zazdrosna, zła kobieto — głos jego był szorstki z bólu i przerażenia. — Jak mogłaś to uczynić?

W oddali usłyszeli szmer głosów.

— Idź — uciekaj autem, zanim wszyscy się dowiedzą — zanim zaczną cię podejrzewać. Powiem, że twój ojciec zachorował i zostałaś telefonicznie wezwana. Idź. — zniesławiałaś moje nazwisko i mój dom.



Słowa jego smagały ją — rzeczywiście zniesławiła siebie, ale skoro tak się stało i wszystko już beznadziejne, długo tamowane uczucie wybuchło i drżącym głosem zawołała:

— To, co zrobiłam, było złe, wiem, ale dałam się unieść zazdrości, kocham cię, kocham szalenie. — Jej niski, melodyjny głos drżał pod napływem uczucia. — Dręczyłeś mnie — doprowadziłeś do szaleństwa — a teraz wypędzasz z domu — mnie — twoją żonę i — twoje nie urodzone jeszcze dziecko.

Hubert zachwiał się niemal, puszczać jej ramię.

— O! Mój Boże! — jęknął.

A Vanessa szybko pobiegła w stronę zamku. Powiesiła w hallu ciemne okrycie, narzuciła sportowy płaszcz i w kwadrans później mknęła własnym autem do Londynu.

## Rozdział XVIII

Ani Hubert, ani Alicja nie wiedzieli, że para błędnych oczu obserwuje ich z dala o kilkadziesiąt kroków.

Alicja źle była usposobiona i bardzo zdenerwowana. Dręczyła ją myśl, że nazajutrz odjeżdża do Szkocji, a w tym czasie Hubert dostanie się pod wpływ żony. Księżna kochała lorda miłością taką, na jaką tylko tego rodzaju natura może się zdobyć.

Hubert zaś zupełnie był zdecydowany dać jej do poznania, że jest mu zupełnie obojętną i że Vanessa niepodzielnie króluje w jego sercu. Chciał już raz tę wstrętą grę skończyć i powtarzał to sobie, chcąc doprowadzić do decyzji.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — rzekła księżna, gdy stali pochyleni nad balustradą, odwróceny plecami do wawrzynów.

— Na jakie pytanie?

— Kochasz teraz swoją żonę? Z początku bowiem raczej jej nie kochałeś.

— Tak, kocham, Alicjo. Kocham ją tak, jak nigdy nikogo w życiu nie kochałem.

Księżna jęknęła słabo i rzuciła mu się w ramiona.

\* \*

Oskar Isaacson spędził swój urlop w cichej wsi niedaleko majątku St. Austel. Wybrał się tam pod pozorem łowienia pstrągów. W rzeczywistości jednak kierowało jego krokami niepokonane pragnienie ujrzenia Vanessy.

Prześladowała go nieustannie myśl, że ona jest teraz „hrabiną”, wyżej socjalnie od niego stojącą, i że nie może już jej zdobyć; myśl ta działała fatalnie na jego chorobliwą wyobraźnię. Zawładnęło nim uczucie nienawiści i zemsty.

Chciał ją zgładzić — niechaj nie cieszy się swoim stanowiskiem i przystojnym mężem.

I z każdym dniem Oskar szalał bardziej, a uczucia jego gorzkniały.

Dwa razy był już w St. Austel i zaznajomił się nad brzegiem strumienia, gdzie łowił pstrągi, z ekonomem, który go poinformował o planach zabaw na zamku.

W ów wieczór, kiedy to Hubert słyszał szelest w krzakach i sądził, że to łasica, Isaacson badał teren parku.

Chciał dobrze się upewnić i przygotować, zanim wymierzy długo planowaną zemstę.

.Postanowił zgładzić Vanessę w dniu wydanego przez nią balu.

Już uzbrojony, ukrył się tym razem wśród wawrzynów i ku wielkiemu zadowoleniu zobaczył, jak para zbliża się do rotundy. Rozpoznał od razu jaskrawy szal Vanessy. Sam przecież go pakował i jej odsyłał. Patrzył pożądliwie na dwie postacie, zdążające do rotundy — widział błyszczącą suknię i wspaniały, pałający szal, potem zobaczył, jak ona — rzekoma Venessa — padła w ramiona męża, a Hubert z pogardą ją odtrącił. Wtedy Isaacson zaśmiał się szyderczo, jak szaleniec i — wystrzelił.

Gdy kobieta upadła na ziemię, a z tarasu zaczęli zbiegać goście, paraliżujący strach ogarnął Oskara. — Zabił więc tę, którą kochał, pochwyca go teraz i powieszą. Opanował go szalony lęk, począł z powrotem uciekać przez gąszcz i na ścieżce zgubił rewolwer.

— Ach! Gdyby mógł tylko dotrzeć do swej cichej gospody, uniknie podejrzenia. Biegł, co sił mu starczyło przez park i ogrody. Zatrzymał się dopiero przed rowem, który chciał przeskoczyć. Ale w tej chwili szosą szli dwaj nocni stróże i spostrzegli w świetle księżyca ciemną postać. Od razu schwycili Oskara i zauważyli, że mają do czynienia z szaleńcem.

— Zabiłem ją. Znałem ten szal! Zabiłem hrabinę! Nie będzie już mną więcej pogardzała — ha — ha — ha — krzyczał Oskar Isaacson i piana wystąpiła mu na usta.

Stróże związali go wreszcie i zaprowadzili na folwark, gdzie opowiadano już sobie wzajemnie, że kłusownik strzelił do księżnej Lincolnwood, która jest umierająca, a młoda hrabina St. Austel została nagle wezwana z powodu choroby swego ojca do Londynu.

W zamku panował ruch i podnieceni goście odjeżdżali a służba krzątała się po pokojach.

Kiedy rozległ się strzał i księżna upadła na ziemię, Hubert bardzo wzruszony podniósł ją i położył na leżaku, na którym przez całe popołudnie spoczywał Ralf Dangerfield. Gdy zaalarmowani hukiem goście nadbiegli z tarasu, oddał ją ich opiece, a sam pobiegł śladami zbrodniarza, który zapewne ukrył się wśród wawrzynów.

Hubert nie rozpoznał od razu uciekającej Vanessy, dopiero, gdy odwróciła się i zobaczył jej srebrną suknię, wylaniającą się spod ciemnego okrycia, poznał, że to jego żona.

Później, kiedy przypomniał sobie tę okrutną chwilę, wiedział, że jego pierwsza troska była o nią — pragnął jedynie, aby zdołała uciec i ta myśl górowała nad jego lękiem z powodu zbrodni. A wreszcie jej słowa — te niezapomniane słowa:

— Kocham cię, kocham szalenie!

Zawładnął nim niezmierny niepokój, gdy Vanessa odeszła i kiedy wracała do rotundy, wiedział już dobrze, że nie zależało mu na tym, czy była morderczynią czy też nie — cokolwiek uczyniła — było jego winą. On dręczył ją, chociaż nieświadomie. Jest jednak jego ukochaną żoną, a teraz będzie — dziecko. Musi obojga bronić.

Biedną, zranioną Alicję, zaniecono do zamku, gdzie niebawem przybył lekarz.

Orzekł, że rana jest lekka, zewnętrzna i księżna w krótkim czasie powróci do zdrowia.

Hubert, na pozór spokojny, wydawał rozkazy, lecz wewnątrz trawiła go gorączka niepokoju. Czy Vanessa już wyjechała? Czy istnieje jakiś ślad, który rzuciłby podejrzenie na nią i kazałby przypuścić, że to ona popełniła zbrodnię?

Może służba zauważyła, że z Londynu nie było żadnej telefonicznej wiadomości o chorobie pana Levyego? Może zawiadomią o tym policję? Źle zrobił, że kazał jej wyjechać. Powinna była zostać w domu. Chociaż nie — ktoś by ją podejrzewał? St. Austel podniósł z ziemi rewolwer nowy, automatyczny i rzucił go daleko w krzewy. — Jeżeli go znajdą, będą musieli długo śledzić, skąd pochodzi, a ktoś wiedział, że Vanessa posiadała broń?

Wszystko to uczyniła z miłości do niego! Kochała go! Ta myśl, jak jakiś cudowny triumf, nawiedziła go w czasie udręki.

Z chwilą, kiedy lekarze orzekli, że rana nie jest niebezpieczna, Hubert poszedł do Ralfa, który zaciągnął go do pustego salonu.

— Hubercie, gdzie jest Vanessa? To dziwne, że nie ma jej tutaj. Ci dwaj przyjaciele nigdy się nie okłamywali. I teraz Hubert spojrzał

prosto w oczy Ralfowi.

— To jest moja wina, Ralfie. Mnie należy winić za to, co się stało. W tej chwili nie możesz nas opuścić. Vanessa pojechała do Londynu, do ojca.

— Mój Boże! Hubercie, chcesz powiedzieć, że podejrzewasz Vanesę o zbrodnię? Ralf był przerażony.

— To niemożliwe, nie znasz jej, Hubercie. Ta szlachetna istota niezdolna byłaby do takiego czynu — nigdy w świecie w to nie uwierzę.

Hubert, złamany zupełnie, zacisnął boleśnie dłonie.

— Ralfie, mówię ci, że ja ponoszę całą winę. Mimo woli wywołałem u niej zazdrość.

— Tak, ale jak możesz ją o coś podobnego podejrzewać, jaki masz ku temu powód?

Kiedy Hubert przytoczył mu powody, Ralf w pierwszej chwili zawahał się, ale w jednej sekundzie wiara jego w Vanesę odżyła na nowo.

— Nie zrozumiała pewnie, co masz na myśli, Hubercie. Powtarzam ci, że nigdy w to nie uwierzę, aby ona była zdolna to uczynić.

— Czy ona to zrobiła czy nie — Hubert zapalał się — kocham ją i wielbię, całe życie na to poświęcę, aby mi przebaczyła i pokochała.

W tej chwili Podder z uroczystą miną oznajmił im, że nocni stróże przytrzymali mordercę, który zamierzał zastrzelić samą panią hrabinę. Wygląda na obłąkanego.

Przy tej okazji kamerdyner zauważył, że to bardzo w złym guście popełniać tak ordynarną zbrodnię w balowy wieczór i strzelać do tak ślicznej, młodej hrabiny.

Dla Huberta i Ralfa, których serce należało do Vanessy, wiadomość ta była niewymownym szczęściem.

Hubert tylko miał szalone wyrzuty i gnębiło go upokorzenie, gdy przypomniał sobie, w jak brutalny sposób przemówił do żony.

## Rozdział XIX

Vanessa przybyła do domu w Hampstead około drugiej godziny rano. Ojciec jej i cała służba spali: musiała więc czekać z dziesięć minut, zanim się szofer dodzwonił.

Pan Levy w szlafroku z ciężkiego jedwabiu zszedł nareszcie na dół. Był mocno zaniepokojony, a kiedy zobaczył twarz córki, przeraził się. Ostrożność nakazała mu zaprowadzić Vanessę do małego saloniku po prawej stronie hallu i zamknąć drzwi, zanim się odezwał.

— Na miłość Boga, dziecko, co się stało?

Vanessa upadła na fotel i patrzyła melancholijnie przed siebie martwym wzrokiem. Twarzyczka jej była śmiertelnie blada, w oczach malowała się rozpacz.

Odpowiadała monotonnym głosem:

— Lord St. Austel wypędził mnie ze swego domu powiedział, że zniesławiłam jego nazwisko i dom.

Pan Levy usiadł ciężko na fotelu, stojącym obok.

— Powiedz mi natychmiast, co doprowadziło do tego, co uczyniłaś? Robiła wrażenie, że nie rozumie pytania, mówiła tym samym

bezbarnym głosem, powtarzając w kółko.

— Lord St. Austel wypędził mnie ze swego domu, papo, musiałam więc przybyć do ciebie.

— Ale Vanesso, dziecko drogie, wytłumacz się lepiej. Wstała powoli.

— Jestem zmęczona chcę pójść do swego panińskiego pokoju. Głos jej brzmiał tak dziwnie, był to głos kogoś ciężko chorego.

— Musisz chwilę zaczekać, kochane dziecko.

Pan Levy zawołał służbę i wydał potrzebne rozkazy, potem przyniósł szklaneczkę szampana i chciał, aby Vanessa wypila ten orzeźwiający napój, ale ona stanowczo odmówiła.

— Nie jestem spragniona. I mimo nalegań ze strony ojca nie dała się nakłonić do wypicia. Powtarzała ciągle to samo, jak dziecko — nie chce mi się pić, papo.

Panna służąca oznajmiła wreszcie, że pokój przygotowany i Vanessa podniosła się z miejsca. Pan Levy, ogromnie zaniepokojony, podprowadził ją na górę, a ona przy drzwiach odwróciła się jeszcze i popatrzyła na ojca, który spuścił wzrok pod oskarżającym spojrzeniem córki.

— Papo, miałeś może najlepsze zamiary, wydając mnie za Huberta, ale zabawiłeś się duszami dwojga ludzi. Stała w swojej cudownej, srebrnej szacie z perłami we włosach i nawet w tym wielkim smutku, robiła wrażenie, wspaniałej królowej.

— Ach moje dziecko, moje dziecko! Głos jego załamał się ze wzruszenia.—Vanesso, co się stało? Co mam uczynić? Jak ci pomóc?

— Papo, niech się wyśpię. Jestem taka znużona, na wszystko już za późno.

Pan Levy próbował jeszcze nalegać, aby jedna z pokojówek pomagała jej rozebrać się, ale Vanessa odmówiła stanowczo, a tak spokojnie, że zmuszony był ustąpić.

Gdy zamknął drzwi, usłyszał, jak przekręciła klucz w zamku i raz jeszcze w przestkach zawołał:

— O moje dziecko! Co się stało?

— Mam się zupełnie dobrze, papo, muszę się tylko wyspać

— brzmiała jej bezdźwięczna odpowiedź.

Beniamin Levy wrócił do swego pokoju. Niebawem będzie świt

— czy ma zatelefonować do St. Austel? — pomyślał.

I kiedy dumał nad tym, bijąc się z różnymi myślami, zadzwonił telefon.

Od razu poznał głos Huberta.— Jego zięć, niespokojny i wzruszony, pytał czy Vanessa jest w domu i oznajmił, że zaraz przybędzie.



Pan Levy nie mógł już nic odpowiedzieć, bo rozmowę przerwano. Pozostała mu jedyna rzecz — czekać cierpliwie dalszego biegu wypadków.

Zgnębiony bankier był już ubrany, gdy koło godziny piątej przed dom zajechało auto Huberta i przy bramie rozległ się dzwonek.

Razem z lordem przybył Ralf Dangerfield. Benjamin Levy powitał ich zimno, z tą wrodzoną godnością, którą znali jego klienci.

— Chcę się zobaczyć z żoną — rzekł Hubert — zaszła okropna pomyłka.

— Lady St. Austel nie kazała się budzić, mój lordzie, proszę być tak uprzejmym i poinformować mnie o całym zajściu.

— Wszystko to jest okropnym nieporozumieniem — odezwał się Ralf Dangerfield, ale ojciec Vanessy przerwał mu gwałtownie.

— Nieporozumieniem, które wymaga pełnego wyjaśnienia. Od mej córki wiem jedynie to, że mąż wypędził ją z domu.

Hubert wyznał teraz całą prawdę, iż podejrzewał żonę, mając poważne ku temu dowody. Siebie nie starał się uniewinnić, stał z dumnie podniesioną głową, streszczając całe zajście.

Benjamin Levy, tonem pełnym gniewu i pogardy odpowiedział:

— Podejrzewałeś moją córkę o zbrodnię, mój lordzie i wypędziłeś ją z domu. Nie chcę, abyś ją więcej widział — to za daleko poszło.

— Zobaczę się jednak z nią! Pan zniewoliłeś mnie do małżeństwa, ale dziś ja ją kocham i jest moją żoną.

Hubert wyprostował się, jego niebieskie oczy błyszczały. Zwykle znużenie i obojętność, które malowały się na jego obliczu, znikły bezpowrotnie.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju Vanessy — zawołał stanowczo.

Obaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem — spokojny, zrównoważony pogląd na rzeczy, który zwykle zapewniał Benjaminowi Levy powodzenie, zwyciężył i tym razem — bankier zaczął rozumować. — Narzucił to małżeństwo — ten typ człowieka honorowego, powściągliwego, aroganckiego, jakim jest jego zięć nie zniżyłby się do kłamstwa ani nie zasłaniał siebie za żadne skarby. Vanessa była prawdopodobnie zazdrosna, chociaż lord St. Austel przyjął całą winę na siebie. Co więc najlepiej będzie uczynić, aby pomyślnie zakończyć ten dramat? Ich szczęście

należy przede wszystkim wziąć pod uwagę, a nie osobistą, chwilową urazę. Gdy oboje spotkają się i porozumieją, będzie to z pewnością najsmartszą rzeczą.

— Pójdę i zapytam ją, czy zechce się teraz zobaczyć z panem, lordzie St. Austel — ale jeżeli odmówi, musi pan poczekać.

Hubert nie zwrócił uwagi na te słowa, ale poszedł za teściem na górę do pokoju żony.

Beniamin Levy zapukał delikatnie.

— Vanesso — rzekł łagodnie.

Usłyszał monotonną, jak przedtem odpowiedź.

— Co takiego, papo?

— Vanesso, twój mąż przyjechał i chce się z tobą zobaczyć.

— Nie mam mu nic do powiedzenia. Zostawcie mnie w spokoju.

— Vanesso błagam cię, wpuść mnie tylko na chwilę — zawołał Hubert zrozpaczony i zboląły.

— Między nami skończone, wypędziłeś mnie z domu mnie i — twoje dziecko.

Jej martwy głos doszedł przez zamknięte drzwi do nich.

Potem dał się słyszeć słaby krzyk i nadsluchujący mężczyźni — teraz było ich trzech, bo Ralf Dangerfield powoli wszedł także na górę — wstrząsnęli się przerażeni.

— Vanesso, Vanesso, odezwij się do mnie! — wołał Hubert błagalnie — ale nie otrzymał już żadnej odpowiedzi.

— Nie zniosę tego — zawołał dziko i gwałtownym ruchem wywalił drzwi.

Vanessa leżała na ziemi nieprzytomna.

## Rozdział XX

Będzie żyła, czy też nie? W pośpiechu otoczyli ją doktorzy i nie mogli jeszcze nic stanowczego powiedzieć. Mała istotka, która przybyła na świat, wróciła do aniołków, skąd przysłała. Vanessa leżała przez długie dni i noce z wypiekami na twarzy i błędnym, rozgorączkowanym wzrokiem. Majaczyła o mężu, o zazdrości, o księżnej, a trzech mężczyzn pielęgowali ją, czekali i modlili się gorąco. W czarnych włosach Huberta pokazały się liczne srebrne nitki.

Czy Bóg ukarze go tak srogo? Nikt tego nie wiedział.

To, że Alicja wracała szybko do zdrowia, że Oskar Isaacson dostał się do zakładu dla obłąkanych, że w towarzystwie opowiadano sobie różne historie na temat wypadku w St. Austel, nie interesowało żadnego z trzech mężczyzn; koło tego jedynie, czy Vanessa będzie żyła, skupiły się ich wszystkie myśli.

Minęło wreszcie zupełnie niebezpieczeństwo, grożące jej życiu, ale zupełny spokój był dalej zalecany. Żadnych przykrych spraw nie można było dopuścić w czasie jej rekonwalescencji.

Trzej mężczyźni zaprzyjaźnili się szczerze w okresie wspólnej troski. Głupie przesady znikły. Hubert cenił swego teścia za to, kim był — mądrym, porządnym człowiekiem, a Benjamin Levy widział w swym zięciu człowieka dobrego serca, kochającego jego córkę.

Zaś Ralf Dangerfield uspokajał jednego, dodawał odwagi drugiemu, zapominając o sobie i swoich cierpieniach.

Żaden z nich nie był jednak jeszcze ufny i szczęśliwy. Jaka będzie Vanessa, kiedy odzyska zdrowie na tyle, aby wrócić do normalnego życia? Czy rana jest za głęboka, aby dała się wyleczyć? Czy potrafi przebaczyć Hubertowi i pokochać go? Oto, nad czym się zastanawiali.

Ci, którzy umieją czekać, osiągają niejedno. Zawitał więc wreszcie październik — błyszcząły w słońcu rdzawe liście, a o świcie przymrozek wywoływał szare mgły. Vanessa blada i osłabiona leżała w swym pokoju, gdzie na kominku błyskał ogień i witała Ralfa Dangerfielda.

Pułkownik tłumił łzy, patrząc na jej małe, przejrzyste ręce i wyciągniętą, smutną twarzyczkę.

— Vanesso, droga kuzyneczko.

— Drogi Ralfie. — Ucałował z miłością jej drobne ręce.

— To było dla nas okropne.

— Wyrwano mnie śmierci.

— Vanesso, Hubert czeka na ciebie teraz... Wzruszyła delikatnie ramionami.

— Na niczym mi już nie zależy, Ralfie.

— Vanesso, nie powinnaś tak mówić. Hubert był strasznie nieszczęśliwy. Pragnie wyznać ci, jak bardzo cię uwielbia i kocha, i rozumie.

— Nie mam mu nic do powiedzenia. Czemu się ze mną ożenił i — złamał moją wiarę, i — rozdarł mi serce.

— Ale on cię kocha! Ralf ciągle to powtarzał, choć jego własne serce krwawiło. Jednak odwaga, która pozwala mężczyźnie zdobyć Krzyż Wiktorii, rzadko kiedy go potem opuszcza.

— Vanesso, musisz się z nim zobaczyć, musisz pozwolić mu bronić swojej sprawy.

— Dobrze, mogę się z nim zobaczyć, skoro tego pragnie, ale na niczym mi już nie zależy.

## Rozdział XXI

Następnego dnia po obiedzie, Hubert poszedł do pokoju żony.

Tylko jedna lampka z różowym abażurem oświetlała pokój, a ogień, który płonął na kominku, rzucał czerwone blaski na podłogę.

Wszedł po cichu i przysunął niski taboret do sofy, na której leżała Vanessa.

— Vanesso — szepnął, a w oczach zabłyszczały mu łzy, zasłaniające niby mgłą jego niebieskie, piękne oczy.

Spojrzała na niego martwo, bez żadnego wzruszenia. Obok niej na stoliku stał flakon z czerwonymi różami, które Hubert codziennie przysyłał.

Ona jednak była zimna jak biała róża i obojętna.

— Dziękuję ci bardzo za kwiaty, cudnie pachną.

— Kocham cię, Vanesso — oto wszystko, co odpowiedział drżącym głosem. — Przeszedłem przez piekło. Zaszło okropne nieporozumienie. Chcę to naprawić. Zawiozę cię na południe w najbliższych tygodniach i każę ci zapomnieć o brutalu, którego znałaś.

Wzruszyła ponownie ramionami. Gdy weszła pielęgniarka, spostrzegła, że jej pacjentka nie jest spokojna, popatrzyła niezadowolona na Huberta i przed wyjściem zwróciła uwagę hrabiemu, aby nie pozostawał długo.

— Vanesso jestem zawstydzony tym, co powiedziałem do ciebie. Jakże mogłem przez chwilę nawet uwierzyć, że byłabyś zdolna zastrzelić

Alicję, ale rewolwer leżał u twych nóg. Czy będziesz mogła mi przebaczyć? Bo ja sobie tego nie daruję.

— Człowiek przebacza i zapomina — w tym jest tragedia — odpowiedziała. Ani ty, ani twoje żale, nie wzruszają mnie. Obojętne mi wszystko. Położyła się z powrotem na poduszki.

Hubert miał surowo nakazane nic takiego nie powiedzieć, co by ją mogło podniecić; nie śmiał więc zaspokoić swego pragnienia, chwycić ją w ramiona i zapewnić o żalu — tuląc jej głowę do swych piersi, zacałować jej usta. Cofnął się zmrożony jej słowami i beznadziejność nappełniła jego duszę.

Jeżeli na niczym jej nie zależy, to co wobec tego?

Vanessa roześmiała się delikatnie. Śmiech jej nie miał w sobie wesołego dźwięku.

— Południe będzie miłe i będziemy wszyscy cieszyć się i radować, używając uciech tego świata.

Po czym z nagłą namiętnością ciągnęła dalej:

— Wziąłeś mnie młodą, pełną życia i kochającą duszę, a potem żałowałeś swego odszczepieństwa. Wstydziliś się, że córka lichwiarza miała cię chociaż przez jedną noc.

Roześmiała się znowu bezdźwięcznie, jak ktoś zmartwychwstały mógłby się śmiać ze swoich głupstw popełnionych w ostatnim życiu na ziemi.

— Uważałeś to za godne pogardy. Ty, który poślubiłeś mnie dla jak niskich powodów?

Hubert podniósł dumnie głowę, ale milczał.

— No, ale wszystko już skończone! Upokorzenie i tęsknota, i miłość i ból. Możemy być przyjaciółmi, ponieważ na niczym mi już nie zależy.

Chciał właśnie coś powiedzieć, gdy pielęgniarka weszła znowu, wstał więc, pożegnał się i zmierzając ku drzwiom, rzekł:

— Nie mam nic więcej do powiedzenia, Vanesso prócz tego, że cię kocham. To jest jednak wszystko, co mężczyzna może powiedzieć kobiecie. Potem cicho zamknął za sobą drzwi.

Pan Levy i Ralf domyślili się, jakie było zachowanie Vanessy, chociaż Hubert nic im nie powiedział.

I wówczas Benjamin Levy postanowił wyznać córce prawdę.

Ciężko mu było odkryć duszę przed swoim dzieckiem, ale jeżeli tak być musi, to lepiej zrobić to natychmiast.

Minęły dwa dni, w czasie których Vanessa widywała tylko Ralfa.

— Rozmawiali o obojętnych rzeczach. Wreszcie przyszedł do niej ojciec.

— Muszę ci coś wyznać Vanesso. Podniosła głowę zdziwiona.

— Zastanawia cię pewnie powód, dla którego twój mąż ożenił się z tobą. Przycisnąłem go do muru tak, że nie miał wyjścia.

Levy opowiedział jej szczegółowo o całej transakcji.

— Że pokochał cię — zakończył — to nadzwyczajne, dziecko.

— Teraz zastanów się nad wszystkim, przeanalizuj całą sytuację i pomyśl, co będzie najlepiej uczynić. Jeżeli kochasz lorda St. Austel, którego dałem ci za męża, nie pozwól, aby jakaś niemądra, kobieca duma i zraniona miłość własna, rozłączyły was. Sama musisz teraz wybrać, moje dziecko.

Vanessa leżała milcząca i spokojna, gdy zaś ojciec wyszedł, opanowały ją nowe zupełnie myśli.

Co ona by zrobiła w podobnych okolicznościach? Uczucie sprawiedliwości mówiło jej, że nie zdobyłaby się na takie zachowanie jak St. Austel.

I wielkie wzruszenie, które wywołało urzeczywistnienie jej wszystkich pragnień i marzeń, stopiło lód, który osłaniał jej serce.

— Hubercie — zawołała, jak niegdyś w pustkę, ale tym razem nienadaremnie.

Bo w tej chwili Austel wszedł do pokoju, trzymając w ręku czerwone róże.

— Hubercie — rzekła znowu, a on podszedł i uklęknął przy niej. Ze wzruszenia nie mogła wydobyć słowa i tak trwała w milczeniu. On zaś rzekł z wysiłkiem: — opuszczę cię, moja droga, gdy będziesz zupełnie zdrowa.

Przyjadę cię zobaczyć znowu i dowiedzieć się, jakie są twe życzenia.

— Hubercie — zawołała i cała obudzona w niej dusza wyzierała z jej niezglębionych, czarnych oczu. Hubercie — nie wiedziałam, nie przypuszczałam. Czy to prawda, że możesz mnie kochać?

Urwała raptownie, bo wyczytała w jego niebieskich oczach namiętne wzruszenie. Napęliła ją szalona radość. Opadł mur, który zła wyobraźnia wzniosła między nimi.

— Hubercie, jacy jesteśmy niemądrzy! Jeżeli mam ci coś do przebaczenia, przebaczam; jeżeli ty masz coś do zapomnienia — zapomnij. Kocham cię — a ty kochasz mnie. W tym wszystko się zamyka.

Porwał ją w swe silne ramiona.

A są pocałunki, które warte są dnia dzisiejszego i jutra. Lecz tylko ci, którzy przetrwali próbę ognia, znają ich błogość i są szczęśliwi.



DWA TYPY

## I

Uwielbiam cię zawsze, wiesz o tym — rzekł Andrzej, siadając obok bladej, szczupłej kobiety, która dużymi, ciemnobłękitnymi oczami bacznie go obserwowała.

Skromny jej salonik, w jednym z nowych hoteli paryskich, nosił na sobie piętno smaku i dobrego gustu. Gdy Andrzej wszedł do pokoju, śpiewała właśnie i w rogu stał otwarty fortepian.

— Czarująca jesteś, Paulino — mówił — nikt bardziej od ciebie nie pociągał mnie nigdy. Spójrz na mnie i powiedz, że mnie kochasz tak, jak dawniej. Ach! Ciągle jeszcze jesteś podrażniona tym, że nie mogłem wczoraj przybyć. Jakie to okrutne z twojej strony.

— Wcale nie byłam i nie jestem podrażniona — odparła łagodnie młoda Irlandka, a oczy jej zaszyły jakby mgłą. — Andrzej, zaczynam się dziwić — oto wszystko. Zmieniło się. Niegdyś nic nie zdołałoby cię zatrzymać w tych rzadkich wypadkach, kiedy okoliczności pozwalały nam na spotkanie się; teraz zaś, od czasu mego powrotu do Paryża, od sierpnia właściwie... — urwała, a on gorąco ucałował jej rękę.

Był bardzo przystojny i posiadał ten nieuchwytny urok, który działał na kobiety tak, że wiele z nich kochało się w nim, a ta wyjątkowa dziewczyna darzyła go całą głębią swego uczucia.

— Ach, zaczynasz się dziwić — rzekł, gładząc jej delikatną rękę i cyniczny blask zamigotał w jego czarnych oczach.

— Kiedy człowiek zaczyna się dziwić, zabija miłość. Zarzucasz mi może to, że teraz, kiedy umarł mój ojciec i nie może się sprzeciwić małżeństwu z cudzoziemki...

— Niczego ci nigdy nie zarzucam, Andrzej.

— Tak, wiem o tym, zawsze jesteś czarująca, muszę jednak myśleć o swojej matce. Markiza ma surowe zapatrywania pod względem religii. Zabiłoby ją to, gdyby jej synową została protestantka.

— A co ze mną będzie? — zapytała Paulina łagodnie. — Czy mnie, Andrzej, nie należy wcale brać pod uwagę?

— Na myśl mi to nie przyszło — odparł pospiesznie, a pewna nuta zniecierpliwienia dała się odczuć w jego głosie.

— Czyja nie kocham cię zawsze jednakowo?

Podniosła powieki, a on wstał nagle i podszedł do kominka.

— Wiecznie jest to samo — mówił, wyciągając ręce do ognia. — Kobieta nigdy nie chce zrozumieć sytuacji mężczyzny i jego trudności.

Delikatna jej twarzyczka zbladła, a oczy wyrażały ból.

— To nie to, mój drogi — rzekła — usprawiedliwiałam cię, jak mogłam, czyniłam wszelkie możliwe ustępstwa. Nie winię cię wcale. Każdy powinien tylko siebie winić, o ile druga strona się nie zmienia. Wiem, że nie możesz temu zaradzić, jesteś mężczyzną i idziesz za instynktem.

— Byliśmy tak szczęśliwi, czemu psuć w ten sposób szczęście?

— prosił, wracając na sofę, na której wśród miękkich poduszek spoczywała Paulina. Byłby ją chwycił w ramiona, ale ona się cofnęła.

— Ach mój drogi — rzekła — co pomogą pieszczoty? — one nie mają znaczenia, o ile dusza zamarła; one były dla mnie zawsze tylko wyrazem głębokiego uczucia. Nie dotykaj mnie, bo to by bolało.

Mężczyzna wzruszył ramionami, objawiając pewne niezadowolenie, lecz wnet pod wpływem jej uroku ukląkł przed nią i ukrył swą twarz w fałdach jej sukni.

— Wiesz przecież, że tylko ciebie kocham. Czy nie miałaś dosyć dowodów mej miłości od pierwszej chwili naszego poznania, kiedy to śpiewałaś u mej ciotki, księżnej de Renvillier? Czy wtedy już nie złożyłem życia u twych stóp?

Wielki Boże! Te godziny rozpacz i udręki, które przeżyłem, aż wreszcie zdołałem cię namówić, abyś o wszystkim zapomniała i była moją. Ach! Jaką radość odczuwaliśmy wówczas! Jak było nam dobrze! Teraz odmawiasz mi swej sympatii, teraz, gdy piętrzą się przede mną trudności, a zapatrywania mojej matki w kwestii religii nie dają się zmienić. Gdybyś mnie rzeczywiście kochała, miałabyś tylko mnie na względzie, a nic innego.

Paulina pogładziła jego czarne, bujne włosy i czułość anioła malowała się w jej smutnych źrenicach.

— Nikogo nigdy nie miałam na względzie poza tobą, Andrzej. Czy wyobrażasz sobie, że nie kosztowało mnie to wiele — mnie, która nigdy nikogo przedtem nie miałam, aby tak w tajemnicy oddać się tobie, pomimo, że jesteśmy wolni? Gdy żył twój ojciec, widziałam powód, ale obecnie... Mimo to nic nie mówię. Nie chcę, aby krępował cię jakiś węzeł, poza węzłem miłości. Jeżeli ten został zerwany, jesteś wolny i możesz odejść. O tym dobrze wiesz.

— Przychodzi czas, kiedy każdy musi myśleć o sobie — odparł Andrzej i wstając z klęczek, zaczął spacerować po pokoju niespokojnym krokiem. — Moja matka — mówił — proponuje mi rękę mademoiselle de Boisgellin i odmowa moja jest powodem wielu starć i nieprzyjemności. Wyobrażasz sobie chyba, w jak przykrej znajduję się sytuacji? Paulino, czemu na mnie tak patrzysz? Gdybyś mnie naprawdę tak kochała, jak sądziłem, poniosłabyś dla mnie chętnie każdą ofiarę.

— Gdybym cię kochała! Ach dobrze! — rzekła i cały patos, który, gdy śpiewała swe ballady, wzruszał audytorium, drżał teraz w jej głosie. — Czego żadasz ode mnie? Nazwij to po imieniu, Andrzej, a bądź przekonany, że zgodzę się na wszystko.

On jednak nie potrafił wyrazić swojego życzenia, bo doznawał różnorodnych wzruszeń. Tak wdzięczną była ta mała, ciemna główka. Był w tej chwili znowu pod magnetycznym wpływem jej dziwnych oczu, które zdawały się kryć tajemnicę Wschodu pomimo swego północnego błękitu. Ponownie usiadł obok niej.

— Uwielbiam cię! — zawołał — co mam jednak począć?

— Musisz mieć odwagę, Andrzej, wyznać mi prawdę. Rozejdziemy się od razu, jeżeli to jest to, czego pragniesz.

— Nie o to mi idzie, Paulino, — próbował zaprzeczyć. — Będę zawsze chciał cię widywać, nawet wtedy, gdy ożenię się z mademoiselle de Boisgellin. Są chwile, kiedy tylko przy tobie znajduję ukojenie. Ale rozumiesz, że przed własnym egoizmem muszę stawiać obowiązek wobec mojej matki, jej religijne zapatrywania nie mogą być dotknięte. Masz tak szlachetną duszę, że pojmiesz to z pewnością.

— Rozumiem wszystko, Andrzej — odpowiedziała i nawet żadnej goryczy nie było w jej głosie. My, które musimy pracować i jesteśmy

same w świecie, musimy także przyjąć tylko to, co los nam daje, aż nie staniemy się dosyć silne, aby wznieść się ponad to; daj mi chwilkę czasu do namysłu. Sześć miesięcy w czasie, w którym kochaliśmy się, pochłonęło całą moją energię i siły. Będę znowu samotna, kiedy ty odejdziesz.

Z jego strony nastąpił teraz wybuch słów, pełnych zapału i uczucia. To niemożliwe. Nie będzie mógł zupełnie jej opuścić. Powinna myśleć o nim, pocieszyć go, współczuć w jego zmartwieniach, bo tylko los zmusza go do poślubienia innej kobiety.

— Nie należy oszukiwać samych siebie, Andrzej — pewien błysk melancholii i humoru pojawił się w jej oczach. — Wszystkie te powody, które mi wyniszczyłeś, istniały od samego początku, ale wówczas nie wchodziły u ciebie w rachubę. Coś innego było na pierwszym planie, coś, za co żadne z nas nie jest odpowiedzialne — uczucie.

Rozczarowanie pojawiło się najpierw u ciebie, a mogło i mnie ogarnąć.

Podniósł głowę zdziwiony. Myśl, że w pewnych okolicznościach mogła go przestać kochać, wydała mu się niemożliwa. Paulina tymczasem ciągnęła dalej, nie spuszczać wzroku — wobec tego musisz pójść swoją drogą, a ja swoją.

Jej powiedzenie zmieniło obrót sprawy i teraz on zaczął protestować. Łatwiej poszłoby mu może, gdyby urządziła scenę; niejedną już przeżył ze swoimi rodaczkami. Tym razem jednak siedziała przed nim kobieta, która, przekonany był, kochała go prawdziwie, a mimo to zgodziła się zerwać z nim bez żadnej wymówki. Jednoznacznymi słowami oświadczyła nawet, że zacznie życie na nowo — bez niego. To zbyt wiele do zniesienia.

Ukrywając rozpaczliwym ruchem twarz w dłoniach, szepnął: — Nigdy naprawdę mnie nie kochałaś, Paulino, nie mogłabyś bowiem w ten sposób mówić. Mój ślub nie przeszkodziłby naszemu szczęściu. Czemu mamy myśleć o rozłące? Wielki Boże! Nie masz pojęcia o miłości, bo inaczej zrozumiałabyś wszystko.

Paulina wstała i podeszła do kominka, wpatrując się w płomienie; złuda znikła. Patrząc na żarzące się polana, widziała jasno całą sytuację. Niewątpliwie Andrzej kochał ją namiętnie sześć miesięcy. Wtedy nie byłoby mowy o tym, aby zajęła drugie miejsce w jego życiu. Tylko trudności francuskiego prawa małżeńskiego i niemożliwość uzyskania

pozwolenia na ślub ojca Andrzeja, starego markiza, stały na przeszkodzie ich małżeństwu. Andrzej szalał wtedy za nią. Ale w lipcu siostrzyczka Pauliny, która przebywała w zakładzie naukowym w Anglii, zachorowała i Paulina musiała opuścić Paryż. Żyła i pracowała dla młodszej siostry i dopóki Andrzej nie stanął na jej drodze, dziewczynka stanowiła cel jej życia.

W czasie jej miesięcznej nieobecności nastąpiły doniosłe zmiany. Umarł stary markiz, a Paulina, uspokojona co do stanu zdrowia dziecka, wróciła do Paryża, pełna radosnej nadziei, że nareszcie wszystkie przeszkody dadzą się usunąć i nie będzie potrzebowała dłużej ukrywać szczęścia i ranić swej dumy.

Patrząc w płomienie, przypomniła sobie delikatne zmiany, jakie zauważyła po powrocie z Anglii, przypomniła sobie stopniowo wzrastający niepokój, który zaczął ją gnębić, chociaż nie miała konkretnych dowodów na to, że Andrzej już jej nie kocha. Zawsze potrafił się usprawiedliwić, o ile w ciągu tygodnia nie mógł się z nią widzieć. Ale coraz bardziej się zmieniał.

Spoglądając teraz wstecz, zdała sobie sprawę, jak bardzo przywykła polegać na jego słowach, obserwować jego nastroje, tłumić swój smutek. A teraz wszystko, co odnosiło się do ich przeszłości, pozostawało nieuchwytnie i nieokreślone.

Cierpienie jej przeciągało się i stało się tak intensywne, że musiało nastąpić przesilenie. A więc zamierza ożenić się z inną kobietą, a mimo to pozostać jej kochankiem... Okrutna rzeczywistość zdawała się palić jej wyobraźnię, a kompletne zniechęcenie ogarnęło duszę. Więc dla niego miłość znaczyła tylko tyle... a ona dała mu coś, co było znacznie cenniejsze...

Nagle przysunęła ręce do ognia, te rasowe, przeźrocyste dłonie, które on zawsze tak podziwiał. Subtelny jej ruch przywołał go. Jednym skokiem znalazł się przy niej.

— Paulino, kiedy jestem przy tobie, zapominam o wszystkim — zawołał.

— A kiedy jesteś z dala, myślisz tylko o sobie — pomyślała, nie powiedziała jednak nic i tylko jej wzrok zaniepokoił go wyraźnie.

Stali przez chwilę w milczeniu, wreszcie ona odezwała się, używając całego wysiłku woli, aby zachować spokój. — Odejdź teraz mój

przyjacielu i nie wracaj, dokąd nie przekonasz się, że zależy ci na mnie więcej, aniżeli na wszystkich innych. Namyśl się nad tym dzień, dwa i daj znać o swym postanowieniu. Wyciągnęła doń rękę, którą ujął i serdecznie pocałował. Zarzucił ją jeszcze na pożegnanie potokiem słów i zapewnień swej miłości, twierdząc, że go nie rozumie i nie docenia, aż wreszcie bardzo podniecony wyszedł z pokoju.

Paulina długo jeszcze patrzyła w dopalające się zgliszcza na kominku, a gdy opanowała zupełnie wzruszenie, poszła się przebrać. Dziś wieczór miała śpiewać. Za ten koncert czekał ją od Amerykanów pokaźny czek. Ten czek ułatwi jej wywiezienie siostry do południowej Francji. Nie ma czasu myśleć dłużej o swoim zmartwieniu.

## II

W trzy dni później Paulina siedziała przy biurku, ale pióro próżnowało, a pochylona, ciemna główka wyrażała zmęczenie. Trzymała w ręce zgnieciony list kochanka. Wprawdzie zawierał w sobie wiele sentencji miłosnych, ale był wykrętny i nie mówił nic konkretnego.

Minęły trzy dni. W tej chwili zadzwonił telefon, z gorączkowym pośpiechem przyłożyła słuchawkę do ucha.

Zbladła, a niebieskie oczy przybrały kamienny wyraz. „Los jest okrutny, wieczorem musi jechać do Monte Carlo — pomimo to zawsze tak samo ją kocha” — odpowiedziała spokojnie z pozorną obojętnością, po czym lekko zadrżała. Więc ta część jej życia skończona! Nie powinna pozwolić sobie na dalszy smutek, na to nie ma czasu. Zgryzota popsuje jej głos, a głos stanowi tak dla niej, jak i dla jej siostry wszystko, na co mogą liczyć w życiu.

— Do widzenia, Andrzeju, szczęśliwej podróży! — rzekła, a kiedy odłożyła słuchawkę, dało się słyszeć stukanie do drzwi i po chwili wahania wszedł do pokoju wysoki mężczyzna.

Był blady i wyglądał na zmęczonego i zziębniętego. Podeszedł prosto do kominka i pochylając głowę w zadumie przez chwilę milczał, aż wreszcie spokojnym, głębokim głosem rzekł:

— Jutro wyjeżdżam. Będzie pani dziś dla mnie dobra? Jestem ogromnie zmęczony. Da mi pani filiżankę herbaty? Paulina natychmiast nacisnęła dzwonek, po czym spojrzała na gościa i zobaczyła go w zupełnie innym świetle. Robił wrażenie eleganckiego mężczyzny, wszystko było na nim spokojne i stonowane, począwszy od ciemnych włosów i szarych oczu.

Gdy wszedł lokaj, Paulina zamówiła bulion, kanapki i porter, gość jej zagrzeł tymczasem ręce nad płomieniem i usiadł przy niej na sofie. Dzielili ich duża, niebieska poduszka, o którą się oparł, przymknąwszy zmęczone oczy.

— Chcę ci dzisiaj, moja droga pani, coś specjalnego powiedzieć — odezwał się wreszcie.

Głos miał głęboki i niezwykle melodyjny z bardzo słabym amerykańskim akcentem. Biła od niego jakaś nieprzeparta, spokojna siła.

Kiedy lokaj przyniósł tacę, Amerykanin jadł i pił w milczeniu, szczupła zaś, ciemnowłosa kobieta, obserwowała go w zadumie. Gdy skończył, odstawił tacę na drugi stolik i siadając znowu, starał się przeniknąć wzrokiem towarzyszkę.

— Co panią tak zmartwiło przy telefonie — zapytał. — Gdy otworzyłem drzwi, miała pani oczy zranionej sarny.

Proszę mi powiedzieć, czy wtargnąłem wbrew pani woli, w jej życie? Czy jestem natrętny?

Zacisnęła pośpiesznie ręce. — Nic mnie nie zmartwiło — odparła. Czuję się niezdrowa i dlatego byłam zdenerwowana. Pewnie coś niemądrego odpowiedziałam przez telefon.

— Na tej osobie, wobec tego, musi pani bardzo zależeć — rzekł spokojnie. Robi pani wrażenie, jak gdyby całe życie z niej uleciało. Czy zechce mnie pani posłuchać przez chwilę?

Paulina szepnęła coś na znak zgody. On zaczął mówić miękkim, śpiewnym, dziwnym tonem, który mają Amerykanie.

— Ile już czasu minęło, kiedy pani była na obiedzie w towarzystwie Brooklynów, Vickersa, Hamleyów i moim? Jak dawno — trzy lata? A więc od owej chwili zawsze pani przebywała w moich myślach. Nie twierdzą przez to, że od rana do nocy marzyłem o pani. Miałem swoją pracę i życie musiało biec zwykłym torem. Jednak myśli, które mężczyzna może w wolnych chwilach czemuś innemu poświęcić, zawsze skupiały się koło pani. Miała pani owego dnia czarną suknię i kapelusz



z dużym piórem, które rzucało cień na jej twarz. Pamięta pani — było to w restauracji „Mirror”, nie podobało się tam pani, ale Brooklyn miał pożyczyć prywatne auto na objazd z szeregiem koncertów i musiała być pani dla niego uprzejma.

Przypominam sobie, jak rozmawialiśmy potem o pani i Brooklyn twierdził, że w naszym kraju nie ma już tego typu kobiet, chociaż Amerykanki są ogólnie szykowniejsze, pani jednak posiada tę niesłychaną dystynkcję, którą nadać może tylko wychowanie oparte na tradycji narodu. Nasze śpiewaczki nie robią wrażenia białych lilii wśród tłumu! Głos pani był tak miękki, a te nadzwyczajne jej oczy! Poza tym nie wydała mi się pani wtedy wyjątkowo ładna, jedynie interesująca i jak wszyscy, podziwiałem jej talent — śpiewała pani jak słowik. Patrząc jednak na panią, zauważyłem mały cień w kącikach jej ust i pod koniec obiadu doznałem dziwnego uczucia, wiedziałem, że dałbym wiele, aby móc panią pocałować.

Szczupła postać kobieca wzdrygnęła się, on zdawał się tego nie widzieć i ciągnął dalej:

— Pamięta pani, gdy wróciliśmy do St. Regis i wszyscy się rozeszli, ja tylko zostałem w jej saloniku. Gawędziliśmy wtedy i pani mi powiedziała, że spotyka pierwszego Amerykanina, który rozumie się na grze słów i może z nim miło rozmawiać? Widzę, że pani wszystko sobie przypomina, więc pominiemy to. Wówczas nie kochałem pani i dopiero następnego wieczoru straciłem zupełnie głowę i powiedziałem to pani, a tyś mi odpowiedziała, że nie chcesz żadnej innej miłości, że kochasz tylko swoją siostrę, dla której żyjesz i pracujesz. Uznałem, że jest pani dumną, niezwykłą kobietą, stojącą o własnych siłach, nie bojącą się niczego i nie uznającą żadnych protekcji; musiała pani bowiem wiedzieć, że wiele mogłem jej ofiarować. Pamięta pani pewnie także, jak powiedziałem jej wtedy, że ją szanuję i wielbię i pragnę przynajmniej zostać jej przyjacielem. Od tej chwili stałem się pani sługą.

Paulina skinęła potakująco głową i szepnęła:

— Tak.

Obserwowałem panią później, często w Nowym Jorku, kiedy pani o tym nie wiedziała. Zawsze była pani taka spokojna i blada i myślami oddalona od całego tłumu, który coraz bardziej uwielbiał jej głos. Oczy pani posiadały dziwny magnes. Oceniała nas pani niejako wszystkich,

a lubiła niektórych. Przypominała mi pani królową uprzejmą dla poddanych, ale duszą pozostającą od nich z dala na wyżynach. Zdaje się, nikt nie wszedł w krąg pani myśli. Obserwowałem panią, a każde nowe odkrycie zwiększało jedynie dla niej mój podziw i uwielbienie, które przeobraziły się w gorącą miłość.

Było to na okręcie, kiedy płynęliśmy do Ameryki — za drugim razem — i pani prawie nie odzywała się do mnie — gdy doszedłem do przekonania, że jest pani śliczną kobietą. Spostrzegłem to nagle, a teraz uważam, że jest pani najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie, proszę się nie uśmiechać. Nie mówię pani komplementów. Może inni nie dzielą moich zapatrywań, ja wypowiadam jedynie osobiste przekonanie.

Urwał i zakrył ręką oczy. Paulina milczała, on zaczął więc na nowo.

— Pojechałem na polowanie do swego majątku do Kanady i pamięta pani, przysłałem stamtąd pani Hamley gronostaje; ach! jakże pragnąłem wówczas i pani coś ofiarować, ale konwenanse nie zezwalały na to. Często wieczorami spacerowałem samotnie, patrząc na gwiazdy i myślami biegłem do pani. Wyobrażałem sobie, że trzymam cię w swych ramionach, a pani nie jest już tak dumna i oporna ale szczęśliwa w moim uścisku. Stale miałem przed sobą pani oczy. Czasem widziałem je na polowaniu, we wzroku dzikich zwierząt, których wtedy nie zabijałem. Kiedy wróciłem, pani już nie było w Ameryce. Wybrałem się w podróż swoim jachtem i znowu te same marzenia prześladowały mnie wszędzie.

Gdy przyszła noc i ciemnoniebieskie fale biły o okręt, widziałem przed sobą pani oczy. Zrozumiałem wtedy, że nie będę mógł mieć pani ani ja, ani żaden inny mężczyzna, o ile go pani nie pokocha. Pracowałem potem bardzo ciężko, zapełniałem czas robotą i zdobyłem milion dolarów. To pochłania mężczyznę i bardziej podnieca niż polowanie.

Wreszcie pojechałem za panią do Europy. Była pani dla mnie uprzejma, ale rzadko kiedy spotykaliśmy się. Po Ameryce odpoczywała pani i mało się udzielała. Czułem, że nie ma dla mnie nadziei. Powtórzyła mi pani znowu to samo, co niegdyś usłyszałem z jej ust w Ameryce, mianowicie, że nie uznaje pani przyjaźni z żonatym człowiekiem. Jest nieszczęściem dla wielu z nas, Amerykanów, że żenimy się za młodo, dlatego tylko, że dana twarzyczka nam się podoba, ale szanse trwałego szczęścia są wówczas bardzo znikome. W każdym razie, jak pani już wie, dziś moja żona nie wchodzi w grę. Nasze stosunki zerwane są na zawsze. Żona ma

tyle pieniędzy, ile tylko potrzebuje, o mnie zupełnie nie dba. Nie mam więc w stosunku do niej żadnych wyrzutów, a natomiast pewność, że Bóg patrzy prosto w serce człowieka i sądzi go lepiej, aniżeli prawo ludzkie.

Obserwowałem panią stale. W czerwcu wyglądała pani promiennie i znowu zaczęła pani dawać koncerty. Wydało mi się, że jest pani szczęśliwa i że dla mnie na razie, nie ma miejsca w jej sercu. Udałem się więc do Ameryki i znowu podróżowałem na swoim jachcie, wróciłem dopiero w zeszłym miesiącu. Pani była w Szwajcarii. Załatwiłem więc interesy w Londynie i postanowiłem cierpliwie czekać. W środę dowiedziałem się, że pani wróciła, zatelefonowałem więc i z chwilą, gdy wszedłem do tego pokoju, zauważyłem zmianę. W tych oczach jest coś innego. Pani już nie jest tak szczęśliwa jak kiedyś. Jeżeli ma pani kochanka, on panią dręczy. Znam każdy ruch jej głowy, wyczuwam każdy nastrój duszy. W środę była pani dla mnie dobrą, rozmawiała ze mną i starała się być wesołą.

Paulina zacisnęła nerwowo dłonie, ale milczała. On patrzył na nią z tkliwością.

— Przypuszczam, że ma pani kochanka. Tak, nie potrzebuje mi pani nic mówić. Tak długo, jak on panią uszczęśliwia, nie będę się narzucał; pani jednak powinna mieć w życiu to, co najlepsze. Powinna być pani szczęśliwa! Szczęście powinna pani przyciągnąć swym własnym magnesem, który kryje się w jej oczach.

— Możliwe, że pani nie rozumie takiego mężczyzny, jakim ja jestem, który chce pozostać w cieniu, o ile pani jest szczęśliwa. Może pani sądzi nawet że wobec tego jej nie kocham?

Teraz odezwała się Paulina. Cynizm i ból malował się w jej oczach. To co usłyszała, wydaje jej się rzeczywiście dziwne, bo jej życiowe doświadczenie nauczyło ją, że Anglicy i Francuzi myślą zawsze przede wszystkim o sobie, a nie zastanawiają się nad tym, czy kochanej kobiecie dają smutek lub szczęście. Jej uczucia nie wchodzi nigdy w grę, o ile stoją na przeszkodzie ambicji i męskich przyjemności. Tak Anglik jak Francuz czuje się usprawiedliwiony, gdy odrzuci kobietę, jak zniszczoną rękawiczkę o ile zaczyna go już nudzić i zawsze potrafi udowodnić konieczność swego postępu. Chcieć pozostać „w tyle” dlatego, by inny mężczyzna dał ukochanej kobiecie szczęście i obawiać się, by kosztem

swojego zadowolenia nie zrobić jej przykrości, wydaje jej się zupełnie czymś nowym, nieznanym w Europie. Amerykanin z całą flegmą zapytał tylko: — Czy tak? — Ja wobec tego inaczej zapatruję się na miłość. Powiem pani teraz jak ja ją kocham. Marzę więc o tym, aby dać pani wszystko to, czego mogłoby zapragnąć jej serce, i ułatwić jej życie, o ile pieniądze i moje przywiązanie mogą to uczynić. Nie chcę pani kompromitować. Rozporządzam zresztą tego rodzaju środkami, że mogę stworzyć takie warunki, by nikt o niczym nie wiedział. Nie widywałbym pani często, gdyby pani tego żądała, czasami jedynie pojechałaby pani ze mną do moich dzikich zakątków, gdzie poluję. Urządziłbym tam wszystko dla jej wygody proszę się nie bać. I ofiarowałbym pani dom w Londynie lub tutaj, gdziekolwiek by pani chciała. Zawsze miałaby pani to wszystko, co może sprawić kobiecie przyjemność. Widywałaby pani tych, których by chciała i postępowała tak, jak chce... Myślałbym tylko o tym, jak panią uszczęśliwić. Mnie nie potrzebowałaby pani brać pod uwagę i jedynie od czasu do czasu, gdy byłabyś ze mnie zadowolona, pozwoliłabyś się wziąć w ramiona. I gdybym raz mógł zobaczyć pani oczy szczęśliwe i ufne, byłbym sowicie wynagrodzony. Dotknął teraz delikatnej rączki, która spoczywała na poduszce. — Droga — rzekł — nie chciałbym, abyś kiedykolwiek była tak przygnębiona i smutna jak dzisiaj. Chcę ci powiedzieć jeszcze jedno, że wczoraj, kiedy byłaś tak śliczna i wyniosła niby królowa, a ze mną nie chciałaś rozmawiać, z początku sądziłem, że oszaleję, było to dla mnie smaganiem bata. Potem jednak, gdy w głębi twych oczu dostrzegłem ból i smutek, doznałem pewnej przyjemności z powodu twego okrucieństwa wobec mnie, a twej uprzejmości wobec innych mężczyzn. Powiedziałem sobie: „Jest kobietą i rani mnie, ponieważ jestem silny, a ktoś, kogo ona kocha, zranił ją; nie cofnę się więc przed tą chłostą, skoro to sprawia jej ulgę, kocham ją ponad wszystko”.

— Teraz zaś chcę, żebyś wiedziała, że zdaję sobie sprawę, że nie przyszedł jeszcze mój czas i że jeżeli jesteś szczęśliwa, pozostanę zawsze w tyle, nie domagając się nigdy niczego. Przysięgnij mi jednak, że jeżeli będzie ci źle w życiu, wezwiesz mnie, a w każdym razie pozwól abym pozostał twoim przyjacielem, bym mógł pomagać ci i opiekować się tobą. Pozwól mi mieć wrażenie, że jestem czymś w twoim życiu i na coś ci się przydaję. Oto jakie jest moje pojęcie miłości.

Paulina zbladła, trzęsąc się ze wzruszenia. Podniosła się z sofy, on więc wstał także i oboje oparli się o ścianę. Wtedy wyjął bilet wizytowy i napisał na nim telegraficzny adres w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku.

— Proszę zadepeszować, a każdej chwili będę przy pani — rzekł. Jest pani dla mnie najdroższą kobietą i życie swe składam u jej stóp. Jesteś pani moim płomieniem, który mnie ożywia.

Szare jego oczy zabłyśły w tej chwili dziwnym blaskiem. A potem innym zupełnie tonem dodał: proszę jeszcze usiąść na chwilę i przeczytać mi coś z jednej z tych książek. Chcę zabrać ze sobą pani obraz w domowe zacisze.

Wzięła pierwszą z brzegu książkę leżącą na półce. Było to tłumaczenie T. Gautiera. Czytała ustępy miękkim głosem, aż doszła do tej sceny, kiedy Clarimonde umiera. Wtedy on rzekł: — Ja panią kocham w podobny sposób. Dłużej już nie będę cię zatrzymywał. Wstał. — Zobaczyłem wymarzony obraz; panią uspokojoną w domowym zaciszu. Do widzenia teraz, aż do chwili, kiedy mnie wezwiesz.

Pochylił głowę i pocałował z czcią rękę uwielbianej kobiety, po czym zanim zdążyła mu odpowiedzieć, skierował się do drzwi.

Gdy Paulina zobaczyła, że go nie ma w pokoju, rzuciła się na sofę i wybuchnęła płaczem. Wkrótce jednak spostrzegła, że bilet z jego telegraficznym adresem ciągle ściska w ręce.

# KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Z plecami Ernesta coraz gorzej — co to będzie? Dziesięć lat minęło od wojny. Doktor Ames powiada, że paraliż może dojść kiedyś do serca. Ach! Biedny mój Erneście, dzisiaj patrzyłeś tak smutnie w ogień — co tam widziałeś? Czy obraz tego, co mogło być, gdyby nie ten okrutny strzał? Pamiętam, jaki byłeś przystojny, kiedy odchodziłeś ze swoim pułkiem. Miałeś dopiero dwadzieścia pięć lat i życie otwierało się przed tobą. — Pamiętasz, jak tańczyliśmy wówczas i śmialiśmy się, razem jeździliśmy konno — kochaliśmy się i zaręczyli! Ty miałeś zrobić świetną karierę w City, w biurze swego wuja Roberta. Zrezygnowałeś więc ze służby wojskowej w Gwardii, postanowiliśmy ze ślubem poczekać rok

— oboje byliśmy tak młodzi. Ja nie miałam jeszcze osiemnastu lat!

— Wybuchła jednak wojna, musiałeś udać się na front — Ach! a potem

— wróciłeś rozbity i zagubiony. Ta okrutna moja boleść! Nie mogłam przecież zerwać z tobą i zostawić cię samego

— byłaby to marna miłość z mej strony. Nie pomogły więc twoje szlachetne prośby, abym się nie poświęcała.

Erneście, czy myślisz kiedy o tym wszystkim? O naszym ślubie w urzędzie cywilnym, dokąd zawiódł cię twój stary lokaj James na wózku. O ślubie, na którym byłeś tylko ty, ja i James.

\* \*

\*

Nasz domek jest taki uroczy—stać nas na to, aby nająć robotnika ze wsi, który by pomógł nam przy robocie w ogrodzie. Niegdyś domek ten

122

należał do kołodzieja. Przebudowaliśmy go trochę. Gdy nadejdzie lato, ogród nasz będzie pełen kwiatów. Cieszę się, że mieszkamy tak blisko drogi, przy samym jej zakręcie, Ernest bowiem siaduje przy oknie godzinami — lubi obserwować polowania — on tak świetnie polował przed wojną. Nie przyjmujemy nikogo. Moja rodzina wyrzekła się mnie. Matka była niezadowolona z mego małżeństwa — uważała, że jestem przystojna i mogłam zrobić dobrą partię. Ojciec, który był moim najlepszym przyjacielem, umarł. Matty wyrosła i znalazła bogatego męża. Mama nie chciała się kłopotać mną i Ernestem. Wyjechaliśmy od razu z Anglii i przez pierwszych pięć lat nie wydawało się to wszystko tak beznadziejne — nadzieja, że Ernest się wyleczy, dodawała nam otuchy. Jakże się modliłam o to i wyczekiwałam tej upragnionej chwili! — Niestety jednak, nic się nie polepszało. Czytaliśmy więc tylko razem książki i stawiali pasjanse.

\* \* \*

Dzisiaj przyszedł do nas sir John Harrington — właściciel tego całego majątku. Był razem z Ernestem w kolegium Eton. Od tego czasu nie widzieli się, bo zaraz po ukończeniu kolegium sir John wyjechał z pułkiem do Indii — brał wprawdzie udział w wojnie, ale nie był z Ernestem. Teraz od pięciu lat przebywa już w kraju. Jego matka pragnie, aby się ożenił, ale on nie dba o kobiety. Parę ładnych panien bawi teraz u jego matki w zamku. Widziałam je w niedzielę w kościele i jego widziałam także. Irytował mnie — wygląda tak, jak mógł wyglądać Ernest! Tylko o dwa lata jest młodszy od mego męża, ma trzydzieści cztery lata, Ernest trzydzieści sześć, ja dwadzieścia dziewięć. Rozmawiali wiele o Eton—sir John był taki serdeczny, mówił, że już przedtem byłby nas odwiedził, ale nie wiedział wcale, że tu jesteśmy. Dopiero mnie zauważył w kościele. Zapytał kim jestem, po nitce doszedł do kłębka, no i przyszedł z wizytą.

O wojnie nic nie wspominał, ma takt i serce.

Jak zwykle Ernest siedział w fotelu, przy kominku a ja, na niskim stołeczku, obok niego. Ogarnęła go dawna wesołość. Sir John obiecał

120



przyprowadzić mu swoje psy. Ernest tak lubi psy — obecnie mamy tylko starego Toma, Laddie zginęła zeszłej zimy. Sir John przyrzekł także przynieść parę książek. Bardzo jest czytany, co rzadko się zdarza oficerom. Całymi godzinami czytuję Ernestowi. Gdy dłużej sam trzyma książkę, boli go ramię. Zrobił się ogromnie drażliwy. Biedny Ernest, to nie jego wina, przed wojną nigdy nie był tak przykry.

\* \* \*

W zeszłym miesiącu sir John Harrington często nas odwiedzał — przyzwyczał się przychodzić trzy razy w tygodniu, wracając z polowania do domu. Ernest zawsze tak się nim cieszy. Gdy tylko słyszy skrzypnięcie bramy wie, że to jego kolega i zaraz mnie nawołuje: „Winnifred, otwórz drzwi, idzie John!” — Pijemy wtedy razem herbatę. Sir John bywa tak zabawny i często niezgrabny — śmiejemy się i żartujemy, jak za dawnych czasów. Wczoraj sir John, biorąc ode mnie imbryk sparzył mi rękę. Krzyknęłam mimo woli, a on wtedy z dziwnym wyrazem w oczach zapytał, czy bardzo mnie boli. Taki wyraz — pamiętam — miewał dawno temu Ernest.

\* \* \*

Zeszłego tygodnia, przybyła do nas z wizytą lady Harrington, matka sir Johna. Nie było jej w Framwood od tego dnia, kiedy ją widziałam w kościele. Nie lubię jej, nie jest dobra ani wytworna. Ma farbowane włosy, tak jak mama, jest mocno wysnurowana i modnie ubrana — nie wygląda na szczerą. Uważam, że nie ma wiele godności. Musi mieć koło sześćdziesiątki, a przywiozła ze sobą młodego człowieka, na którego spogląda nie tak jak na syna. Mam nadzieję, że gdy będę w tym wieku, nie będę tak postępowała. Wiem, że i Ernestowi nie podobała się ta dama, ale on tak lubi sir Johna, że nawet do mnie nie powiedziałby nic niekorzystnego o jego matce.

124

Powtórzył mi, że lady Harrington uznała, iż jestem bardzo ładna i wyglądam młodo, na panienkę. Kochany Ernest. Powiedział to, abym była dla niej lepiej usposobiona. Nie należy uprzedzać się do ludzi.

Jesteśmy zaproszeni do Framwood w przyszłym tygodniu. Ernest bardzo się cieszy, twierdzi, że go to rozerwie, gdy zobaczy nowe twarze, po obiedzie mają być tańce. Nie będę naturalnie tańczyła — ostatni raz byłam na balu mając lat osiemnaście. Nie mam nawet na takie przyjęcie odpowiedniej sukni wieczorowej. Posiadam jedną starą z czarnej tafty. Prócz Jamesa mamy służącą do wszystkiego. Odkąd wyszłam za mąż nie miałam pokojowej — ale sama umiem trochę szyć. Wytnę większy dekolt w tej sukience, to będzie strojnieszka. Wołałabym tam nie jechać — choć sama nie wiem dlaczego. Ernestowi jednak nie mogę tego wyznaczyć, miałby popsuć przyjemność, a on tak cieszy się na ten wieczór.

\*\*\*

Sir John ma przysłać po nas auto. Ernest czuje się podniecony, śmiał się dzisiaj jak student. To mnie bardzo cieszy. Moja czarna suknia wygląda zupełnie dobrze. Cieszy mnie, że jestem taka szczupła. Właśnie zanim zaczęłam się ubierać, nadszedł sir John. James odwiózł dopiero Ernesta do sypialni. Kończyłam szycie, gdy usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Nie wiem, dlaczego serce zaczęło mi mocniej bić. Przypuszczam, że z powodu głupiego podniecenia, związanego z dzisiejszym wieczorem.

Mamy teraz prawie koniec marca. Dni są długie. Po herbacie nie zapalałam lampy; dopiero gdy skończyłam szycie, zaczęło się robić ciemno. Poruszyłam ogień w kominku i usiadłam na chwilę w fotelu, aby podumać, gdy rozległo się pukanie. Oznajmiłam sir Johnowi, że Ernest się już ubiera — on zaś odpowiedział, że tym razem przyszedł do mnie, bo chciał mi ofiarować do sukni parę kwiatów: „Jest pani taką bladą, białą różą, przyniosłem więc szkarłatne róże, aby dodały jej ciepła”

— rzekł i wręczył pudło z kwiatami.

Tak prostą rzeczą było podziękować od razu, a mimo to nie wiedziałam, co mam powiedzieć i milczałam. — Popatrzył mi więc w oczy i rzekł pospiesznie: „Nie gniewasz się na mnie za to—Winnifred?”

122

— Już dawno Ernest kazał mu nazywać mnie po imieniu, ale dotąd tego nie czynił. Nie wiem dlaczego, ale ten poufny ton uczynił na mnie dziwne wrażenie — roześmiałam się i rzekłam: „Nigdy w świecie — Johnie”!

\* \* \*

Wieczór udał się i mam wrażenie, że Ernest był zadowolony. Wszyscy byli dla nas bardzo uprzejmi. Ernest we fraku, pomimo kalectwa, wyglądał bardzo przystojnie.

Gdy mój sąsiad przy stole prawił mi komplementy, wydało mi się to dziwne; tego rodzaju rzeczy słyszałam już tak dawno. Czułam, jak się czerwienię przy lada okazji, a kiedy spojrzałam raz na sir Johna, wyczytałam w jego twarzy zazdrość, taką jaką nigdyś wyczuwałam u Ernesta, za naszych narzeczeńskich czasów. Ernest teraz nigdy nie jest zazdrosny.

\* \* \*

Gdy po obiedzie zaczęły się tańce, stanęłam przy krześle Ernesta; wyglądał na wesołego i zadowolonego.

Gniewałam się na siebie, że czuję się smutna. Powinnam być jedynie wdzięczna za to, że okrutna kula nie zabiła Ernesta tak samo, jak męża Marion Henley, która równocześnie ze mną weszła w świat i tylko dwa miesiące była mężatką. Mąż jej zginął w czasie wojny na oczach Ernesta. Marion rozpaczła, a gdy urodziło się jej dziecko, nie miało ojca. Wyszła jednak powtórnie za mąż i bardzo jest teraz szczęśliwa. Ma jeszcze dwoje dzieci. Tak bardzo pragnęłabym mieć dzieci i Ernest także — nigdy o tym nie mówimy i teraz nie myślałabym o potomstwie, gdyby nie to, że ktoś wspomniał dziś o Marion.

Ernest zmusił mnie do tańczenia z sir Johnem, co było bez sensu

— nie tańczyłam przez dziesięć lat i musiałam wyglądać głupio.

123

Z początku kręciło mi się w głowie, a potem doznałam rozkoszy. Poczułam, jak nagle krew zaczęła mi krążyć w żyłach, a u ramion wyrosły skrzydła; byłabym chętnie krzyczała z radości i szczęścia: „Ach Boże!” dobrze jest być młodą i móc używać życia! Sir John trzymał mnie mocno i patrzył w oczy.

Gdy zatrzymaliśmy się, twarz Ernesta była szara i zmęczona — nie chciałam już tańczyć i niebawem pojechaliśmy do domu, jeszcze przed kolacją.

Dzisiaj Ernest był bardzo drażliwy, czytałam mu długo, teraz siedzi i ponurym wzrokiem patrzy w ogień. Ach! co ja uczyniłam?

\* \* \*

Pałac w Framhooch był zamknięty przeszło miesiąc. Sir John musiał odwiedzić matkę do Monte Carlo, a potem na sezon jadał do Londynu. Przyszła i przeszła Wielkanoc. Mieliśmy w ogrodzie mnóstwo narcyzów, teraz kwitną hiacynty. Pracuję w ogrodzie, staram się być wesoła, ale oczy Ernesta ciągle mają taki smutny wyraz. Wieczorem, kiedy siedzimy razem, każe mi przysunąć się do siebie i gładzi moje włosy — a ja czuję, że coś go gnębi i zrobiłabym wszystko na świecie, aby go móc pocieszyć — nie wiem jednak, jakim sposobem.

\*\*\*

W krzakach i na gałęziach drzew gnieźdzą się ptaki i nawołują się wzajemnie. Obserwuję ze swego pokoju na górze parę jaskółek, które przybyły do nas z południa. Od tygodnia budują gniazdko. On taki uprzejmy dla samiczki. Dzielą się pracą przy zakładaniu domowego ogniska. Dach stajni jest pełen wróbli. Nie lubię tych ordynarnych ptaków, kłócą się często i robią sobie na złość. Ale niektóre ich pisklęta wykluły się już z jajek, widzę przez okno, jak wyciągają swe małe, łakome dzióbki. Na łąkach pasą się barany. Głupie to z mojej strony, ale na wiosnę, czuję się zawsze smutna — zdaje mi się, że i Ernest staje się bardziej melancholijny. W jesieni i w zimie, gdy możemy przysunąć się

127

do ognia i zaświecić wczesnie lampy, a na dworze jest szaro i zimno — my czujemy się weselsi, zaczynamy nasze gry cierpliwości i kładzenie pasjansa. Czasem wygrywam różne melodie z operetek londyńskich i obojgu nam jest dobrze. Ale każdej wiosny coraz bardziej się lękam.

— Co to jest o Boże, co budzi się w moim sercu? — Czemu Boże, gdy patrzę na Twój piękny świat, jestem pełna bólu, pełna bólu, trwogi i niepokoju?

\*\*\*

Wczoraj przyszedł do Ernesta list od Johna Harringtona. Źle się czuje w Monte Carlo i gdy matka jego za parę dni wyjedzie do Wenecji, on wróci do domu. Musi zobaczyć gniazda bażantów i dopilnować wielu innych spraw. Ernest przeczytał głośno list, westchnął, po czym prosto z mostu rzekł do mnie: — Winnifredo, ty zaczynasz kochać Johna Harringtona — prawda? — Oczy miał pełne łez i cała czułość, jaką starałam się na niego przelać, nie zdołała go pocieszyć. Nareszcie, trzymając się za ręce, umilkliśmy oboje.

\* \* \*

Nie mam zamiaru widzieć się z nim. Od czasu więc gdy wrócił, każdego wieczoru do późna przebywałam w lesie, naumyślnie, aby nie zastał mnie w domu. Wczoraj, gdy wróciłam, Ernest oznajmił mi, że był sir John i pytał się o mnie — ale to było wszystko, co powiedział. Oboje nie wspominamy jego imienia, jeżeli można tego uniknąć. Ernest jest teraz taki łagodny dla mnie i dobry, ale co będzie, gdy nadejdzie chwila widzenia — mieszkając w sąsiedztwie, niemożliwe jest uniknąć na zawsze spotkania. Ach! ja...

\* \* \*

Ernest nie lubi teraz, gdy pozostaję dłużej z dala od niego — siedzę więc przy nim od rana do nocy. Przez cały tydzień padał deszcz. Ernest nie mógł wyjeżdżać na spacer—teraz śpi. Po obiedzie okropnie cierpiał. Dawny ból w ramieniu zaczął mu znowu dokuczać — odnowiła się rana. Razem z Jamesem położyliśmy go do łóżka i sama ukołysałam go do snu.

Deszcz ustał, a słońce pokazało się w całej swojej krasie, mówiąc ziemi dobranoc.

Kropelki wody błyszczą na zielonych liściach — mamy pierwszy tydzień maja, słyszę kukanie kukułki. — Nie krzycz tak głośno — ktoś chory śpi, bądź grzeczna!

Ptaszki świergocą, powietrze przepojone jest wonią kwiatów i świeżością ziemi. Muszę wyjść, spojrzeć na zachód słońca — duszę się w pokoju. Chodź Tom, pobiegniemy razem.

\* \* \*

Bóg świadkiem, że nie miałam zamiaru spotkać się z nim. Byłam na naszym polu, tuż za ogrodem. Zatrzymałam się na ścieżce, która prowadzi do lasu. Modliłam się, aby móc stłumić bunt, który nie wiem z jakiego powodu odezwał się w mojej duszy. Nakryłam twarz rękami i kiedy skończyłam swą modlitwę i podniosłam oczy, John stał po drugiej stronie płotu. Przyszedł od strony lasu.

„Winnifred — rzekł i głęboki jego głos drżał, a oczy miał bardzo smutne. Przyszedłem, pożegnać się z tobą, moja droga, biała gołąbko — dłużej nie mogę tłumić tego, co od dawna dzieje się w moim sercu. Gdybym został, musiałoby to wybuchnąć”

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć, spojrzeliśmy więc tylko sobie w oczy i milcząco pożegnali — gdy odszedł, Tom zawarczał delikatnie, polizał mi rękę i pobiegł naprzód — miałam oczy pełne gorzkich łez.

Erneście, Erneście! Czy mnie nie słyszysz? Czy nie obudzisz się? Popatrz najdroższy, wróciłam, aby ci poczytać —  
byłam tylko w polu — chciałam powiedzieć słońcu dobranoc! Erneście! Czemu mi nie odpowiadasz? Ach! Boże! —  
James, przynieś światło!

DUCH Z IRTONWOOD



## Rozdział I

Pani Charters przybyła do Euston tak wcześnie, że miała dużo czasu do odejścia pociągu do Heton. Jej lokaj obsłużył ją skrupulatnie i dama z gazetą w ręku usiadła w kącie przedziału.

— Nie potrzebujesz czekać, Tomaszu, rzekła. — Prawdopodobnie nikt już nie wsiądzie, zresztą to są wagony korytarzowe.

Tomasz uchylił więc kapelusz i odszedł.

Przed samym jednak sygnałem do odejścia pociągu, jakiś mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do przedziału pani Charters.

Spacerował już dłuższą chwilę wolnym krokiem po peronie, ale pani Charters nie wiedziała, że obserwował jej pokojówkę i lokaja, oglądał walizki i upewnił się o kierunku jej podróży. Jechała więc do tej samej miejscowości, gdzie on, do majątku „Irtonwood Manor”. Państwo Hardress wydzierżawili na rok od Waltworthsów ten stary, piękny, romantyczny zamek.

*Pełno tu jest duchów, moja kochana* — pisała Ada Hardress do Estery Charters. — *Trzeszcząca podłoga, podziemne korytarze, coś straszy w bibliotece i w kolosalnym cedrowym pokoju, gdzie pokazuje się Biała Pani. Nie ma tu elektryczności i osoba tak przeczulona, jak ty odniesie mnóstwo wrażeń. Przyjedź koniecznie do nas na Boże Narodzenie.*

Pani Charters zachęcona tym listem przyjęła zaproszenie i teraz w dzień wili dążyła do Irtonwood.

Była to wysoka, szczupła kobieta około trzydziestki. Nie piękna, ale cokolwiek włożyła na siebie, uwydatniało jej wdzięk. Zwracała uwagę otoczenia jakąś wyjątkową subtelnością.

Algernon Aleksander Charters przeniósł się do wieczności przed trzema laty, zostawiając żonę dobrze materialnie zabezpieczoną. Niemily tylko zgrzyt powstał tydzień temu. Oto Estera otrzymała wiadomość od adwokata, że czekają ją poważne kłopoty, które mogłyby spowodować nawet stratę większej części majątku, jaki zostawił Algernon Aleksander, gdyby nie znalazła się pewna metryka ślubna. O cały majątek upominał się bowiem potomek pradziadka, który twierdzi, że Algernon Aleksander używał nieprawnie dziesięć do dwunastu tysięcy funtów rocznie.

Podobno gdzieś koło 1795 roku bogaty syn Aldermana Chartersa zadowolony, że może się obracać w wyższych kołach towarzyskich, zawarł w tajemnicy ślub z córką zrujnowanego szlachcica, który nie chciał zgodzić się na to małżeństwo. Dama ta, żalując owego kroku i uznając pomyłkę, zerwała z mężem wszelkie stosunki i dobrowolnie porzuciła swego syna, którego narodziny trzymała w tajemnicy. Wyjechała następnie z ojcem do Włoch, gdzie w rok czy dwa później umarła jako żona włoskiego hrabiego.

Opuszczony bogaty małżonek przyjął widocznie postępowanie szlachcianki dość filozoficznie i całe uczucie przelał na syna, któremu, pomimo, że ożenił się powtórnie i miał sporo dzieci z drugiego małżeństwa, zapisał prawie cały majątek.

Dzieci z drugiego małżeństwa widocznie pogodziły się ze swoim losem. Ale teraz jedno z nich wystąpiło z pretensją i domagało się, aby majątek Johna Chartersa oddano jemu jako przedstawicielowi rodu. Testament bowiem zastrzegł: *Memu prawnemu najstarszemu synowi i jego potomkom* — imienia jednak nie wymieniono i nie można było znaleźć żadnego dowodu, który by potwierdził pierwsze małżeństwo z lady Mariory Wildacre, z którą testator miał pierworodnego syna.

Pani Charters, siedząc w pociągu myślała o tych wszystkich sprawach. Nie zapomniała o nich nawet wtedy, gdy patrzyła na przybysza, który zajął miejsce w jej przedziale. Spostrzegła, że jest szczupłym brunetem o sympatycznej powierzchowności. Po chwili

jednak zdała sobie sprawę, że młody człowiek natarczywie na nią spogląda i czuła, że zmuszona jest spojrzeć mu prosto w twarz.

Zauważyła, że miał zanadto blisko siebie osadzone oczy, co sprawiało niemiłe uczucie. Z niechęcią odwróciła się znowu i zatoneła w myślach. Gdzie może być ta metryka ślubna i jakim sposobem można by ją znaleźć? — dumiała. Wkrótce mężczyzna pochylił się nieco naprzód i z lekkim cudzoziemskim akcentem zwrócił się do towarzyszki podróży.

— Pani jest panią Charters, mam wrażenie? Oboje jedziemy do tego samego miejsca. Czy mogę się przedstawić? Nazywam się Ambroży Duval. Jestem na wpół Anglikiem.

Uśmiech jego był tak miły, że zapominało się o przykrym wrażeniu, jakie robiły jego oczy.

Pani Charters była światową damą i niełatwo dała się zbić z tropu.

Ukloniła się uprzejmie, po czym zaczęła się rozmowa, w ciągu której dowiedziała się, że pan Ambroży Duval poznał Hardressów za granicą, odnowił z nimi niedawno znajomość i jechał teraz do nich na święta.

Znać było na nim światowe obycie, posiadał gładkie maniery i przeskakiwał z wielką swadą towarzyską z jednego tematu na drugi, co czyniło go pożądanym towarzyszem i miłym gawędziarzem. Zahaczał lekko o różne zajmujące tematy, aż wreszcie zatrzymał się na angielskiej architekturze.

— Pani Hardress mówiła mi, że Irtonwood jest bardzo romantyczną starą miejscowością — rzekł — wspinały okaz stylu Tudor. — Ciekawy jestem jak wygląda zamek. Czy zna pani jego historię?

— Wcale nie — odpowiedziała Estera. — Moja przyjaciółka, Ada Hardress, pisała jedynie, że mogę być pewna, iż zobaczę duchy! Cieszę się z tego, bo nigdy w życiu jeszcze nie widziałam ducha. A pan? Uśmiechnęła się czarująco, jak zwykle na pół wesoło.

Sir Jerzy Seafield, który wcześniej przybył już do Irtonwood zachwycał się zawsze uśmiechem Estery Charters i był w niej zakochany.

Ambroży Duval myślał tymczasem: ona nie jest głupia pomimo swej łagodności. Musi być nawet sprytna. Może jej nieświadomość, co do Irtonwood jest udana i jedzie tam w tym samym celu, co ja. Nie mogę tracić czasu.

Koło czwartej, gdy przybyli do Ileton, oboje patrzyli na siebie podejrzliwie.

— Czuję przed nim jakiś lęk — mówiła w duchu pani Charters

— chociaż jest bardzo pociągający.

Z drugiego przedziału wysiedli inni goście, nastąpiły więc powitania i wszyscy wsiedli do aut, które zawiozły ich na miejsce przeznaczenia.

W zamku pełno było ostrokrzewów i jemioly, tak, jak przystało na prawdziwe, angielskie Boże Narodzenie. Na kominkach paliły się wielkie polana, a mnóstwo woskowych świec kazało zapominać o potrzebie światła elektrycznego.

Wszystko robiło wrażenie opisu z powieści z dawnych, dobrych czasów.

Ada Hardress powitała przyjaciółkę z całą serdecznością i powiedziała jej na wstępie, że sir Jerzy Seafield czeka na nią i zarezerwował dla niej obok siebie miejsce przy herbacie.

— Jest pani dla mnie okrutna — rzekł sir Jerzy, spoglądając nabożnie niebieskimi oczyma na damę swego serca — obiecała pani być na węzłowej stacji i nie przybyła w umówionym czasie. Naumyślnie przyjechałem ze Szkocji, sądząc, że będę mógł się panią zaopiekować w drodze.

— Potrafię się sama sobą opiekować — odpowiedziała łagodnie

— a rano jeszcze przed wyjazdem miałam różne sprawunki do załatwienia.

— Pani uważa, że zawsze będzie mogła opiekować się sobą, w każdych okolicznościach? — zapytał.

— Naturalnie, jeżeli będę czuła, że nie potrafię, powiem to panu

— uśmiechnęła się zalotnie.

— Proszę Boga, aby okazała nadeszła prędzej, aniżeli się spodziewamy — rzekł z zapalem.

W odpowiedzi na to pobożne westchnienie, pani Charters spojrzała tylko łagodnie na towarzysza i zmieniła temat rozmowy.

— Nie bądź gąską, kochana i nie dręcz sir Jerzego — prosiła Ada Hardress, odprowadzając później przyjaciółkę na górę. — Prowokujesz go swoją obojętną miną, teraz chcesz odpoczywać aż do obiadu, on zaś tęskni za rozmową z tobą!

Ale pani Charters była niewzruszona.

— Jestem naprawdę zmęczona, Ado, a Anglikom dobrze to robi, gdy każe im się czekać. Nauczyłam się tego w Ameryce — rzekła.

— Algernon zawiózł mnie tam zamiast do Rzymu, dokąd się wybierałam. Nie żałowałam jednak, że się tak stało, bo te mądre kobiety dały mi tyle praktycznych wskazówek. Co za cudowne miejsce! — dodała, gdy doszły do cedrowego pokoju, który został dla niej przeznaczony.

— Pomyśleć, że nie popsuto go w tych nowoczesnych czasach. Wyblakłe, pomarańczowe firanki wisiały nad trzema dużymi oknami tak, jak przed laty.

Niebawem pani Charters spoczęła na nieco twardej sofie, przygotowując się do drzemki przed obiadem. Wkrótce też usnęła smacznie i miała dziwny sen.

Doznała wrażenia, że stoi w ciemności i tylko jedno miejsce zostaje nagle oświetlone. Widzi przed sobą stary kantorek i nic poza tym, nie dostrzega żadnych innych mebli tylko to antyczne, oświetlone biurko, na którym leży rozłożony stary pergamin. Parę kropli świeżej krwi błyszczy na pożółkłym papierze.

Estera obudziła się z uczuciem nienaturalnego podniecenia i lęku. Zaczęła jednak rozumować. Czyż może być coś głupszego? Sen, w którym nie ma żadnej akcji, nie powinien powodować takiego niepokoju. Coś w tym jest. A może w tym pokoju rzeczywiście straszy? Pomimo wszystko nie była pewna, czy chciałaby zobaczyć ducha.

Wstała szybko i zadzwoniła na pokojową zadowolona, że będzie miała towarzystwo i światło.

W czasie ubierania jednak nic nie widziała tylko biurko, pergamin i trzy krople krwi.

— Wygląda pani blado i mizernie — rzekł do niej sir Jerzy Seafield z niepokojem w głosie, gdy szli na obiad. — Co się stało? Proszę powiedzieć.

Jednak dopiero po pierwszym daniu pani Charters zdecydowała się opowiedzieć swój sen.

Po drugiej ręce miała sąsiada, owego na pół cudzoziemca, który z nią jechał pociągiem i który nie miał zamiaru, aby jej towarzysz zmonopolizował rozmowę. Słuchał więc uważnie, gdy Estera opowiadała dziwny sen sir Jerzemu i ku oburzeniu wytwornego Anglika pochylał się naprzód, by nie uronić żadnego słowa.

— Nie znoszę tego brutala! — mówił do siebie Seafield. — Czemu nie bawi damy, którą prowadził do stołu?

— Co za dziwny sen! — rzekł pan Duval. A gdzie stał kantorek? Czy widziała to pani we śnie?

— Ależ skąd — odparła Estera. — Wszystko było w przestrzeni. Dlaczego jednak krew? Nagle przyszła jej pewna myśl. — Naturalnie — zawołała — to jest pewne objawienie, które ma mi wskazać, gdzie mam znaleźć bardzo ważny dokument. Jaka jestem niemądra, że dotąd o tym nie pomyślałam.

— Dokument? — zapytali obaj mężczyźni, ale gdy oczy sir Jerzego wyrażały głębokie uwielbienie dla opowiadającej, wyraz pana Ambrożego świadczył jedynie o niecierpliwości i chęci usłyszenia dalszego ciągu.

— Dlaczego to go tak interesuje? — Zastanawiał się sir Jerzy, który był tym zdziwiony i zirytowany. Pani Charters nie była gadatliwą i nie lubiła dzielić się wrażeniami z obcymi, roześmiała się więc i zmieniła szybko temat rozmowy, zwracając się już do obydwóch sąsiadów, do momentu opuszczenia jadalni.

Sir Jerzy Seafield był rozgniewany. Dlaczego Ada Hardress zaprosiła tego intruza do Irtonwood i dlaczego posadziła go obok Estery, pani jego serca?

— Mam wrażenie, że ten impertynent podoba się jej — myślał z gniewem.

— Ado, gdzie poznałeś pana Duvala? — pytała pani Charters, gdy cała grupa niewiast usiadła w salonie wokoło kominka. — Jest interesujący.

— Tak, rzeczywiście — potwierdziła reszta pań chórem.

— Tajemniczy i miły — rzekła jedna.

— Taki przystojny — odezwała się druga.

— Ma za dużo blisko siebie osadzone oczy — powiedziała stara panna Harcourt. — Nie będę z nim grała w brydża.

— Poznaliśmy go zeszłego lata na Węgrzech — doszła wreszcie do słowa gospodyni. — Właściwie jest to znajomość hotelowa, ale okazało się, że mamy tyle wspólnych znajomych, że od razu zbliżyło nas to do siebie, często widywaliśmy się i zawsze był taki wesoły i miły. Ma

krewnych w Anglii, do których właśnie przyjechał. Taka jestem rada, że wam się podoba, bo mnie od razu przypadł do gustu. Tego miesiąca, gdy byliśmy w Londynie po świąteczne zakupy, pan Duval był dla nas wyjątkowo uprzejmy i grzeczny. Przyjechał właśnie z Paryża i nigdy nie miałam miłszego towarzysza, zaprosiłam go więc do nas na Boże Narodzenie. Mówił, że spędziłby je samotnie, a pochłonięty jest studiowaniem starych zamków. Ktoś zaczął grać na fortepianie i niebawem grupa pań rozbiła się, nadeszli panowie, nastąpiło poruszenie, przeniesiono się do wielkiego, dębowego hallu. Młodszy zaczął tańczyć walca przy muzyce trzech skrzypków, którzy przybyli z Londynu, aby uprzyjemnić pobyt gościom.

Sir Jerzy został na chwilę w tyle, zatrzymany przez gospodynię, a tymczasem pani Charters wirowała z cudzoziemcem! Anglik zacisnął zęby, niezadowolony i zły.

— Nie zniosę tego — mruknął i poprosił Esterę o następną turę.

— Wygląda pan dzisiaj, sir Jerzy, na zagniewanego — odezwała się pani Charters w czasie tańca. — Mój ostatni tancerz był miły i sympatyczny.

— Skręciłbym mu kark — brzmiała odpowiedź. Po czym gdy skończyli grać walca i odprowadzał swoją partnerkę do sofy, dodał:

— Jestem pewny, że nic dobrego w nim nie ma. Na miejscu Jacka Hardressa uważałbym na srebro.

— To nadzwyczajne rzeczywiście, do jakiej nienawiści i złościwości względem siebie dochodzą mężczyźni. Siadając na kanapce Estera roześmiała się. — Żadna kobieta nie byłaby tak przewidująca, a wszystko dlatego, że pan Duval jest cudzoziemcem, ma dobre maniery i nie pokazuje humorów! Oparła się niebawem o poduszki.

— Pani go lubi? — zapytał z oburzeniem sir Jerzy, po czym dodał zasmucony — naturalnie, każdy to widzi.

— Jeżeli pan będzie niegrzeczny — rzekła pani Charters — zostawię pana i tylko z nim będę tańczyła, tańczy bosko.

Oczy sir Jerzego zabłyszczały.

— Jeżeli tak, to skręć mu kark naprawdę. Łatwo mi to przyjdzie

— dodał.

— Śmieszna, brutalna siła! — Pani Charters uśmiechnęła się pobłaźliwie. — Anglicy są tacy nieociosani!

— Tak mi dokuczasz, Estero — rzekł sir Jerzy i nagle urwał.

— Kto panu pozwolił tak mnie nazywać? — Pani Charters nachmurzyła czoło. — To impertynencja — ale głos jej się załamał, bo spostrzegła, że towarzysz jej nie słucha i wzrok ma utkwiony w portret wiszący na ścianie. Obraz przedstawiał damę z osiemnastego stulecia w białej sukni. Nie malował go żaden wybitny artysta, ale robił miłe wrażenie i gdy Estera popatrzyła na ścianę, wiedziała, dlaczego sir Jerzy tak wpatruje się w obraz. Twarz damy na portrecie przypominała bez wątpienia jej rysy.

— Na Jowisza! — rzekł sir Jerzy.

— Rzeczywiście, można by pomyśleć, że to ja pozowałam artyście — rzekła Estera — kto to może być?

Właśnie w tej chwili przechodził koło nich ze swym cudzoziemskim gościem gospodarz, więc u niego starali się zasięgnąć informacji.

Pan Hardress odpowiedział, że zamek wydzierżawili na rok od Walworthsów, a Walworthsowie kupili go od kogoś innego. Dwa razy posiadłość przechodziła z rąk do rąk i nie może sobie przypomnieć, jak się nazywali pierwotni właściciele.

— Rzekomo portret przedstawia Białą Panią, której duch błądzi po zamku — rzekł Jack Hardress. — Stary rządca mówił tak Adzie, gdy zamieszkaliśmy tutaj. Biała Pani podobno straszy w bibliotece i w cedrowym pokoju.

— Tam gdzie śpię! — zawołała Estera z pewną nutą niepokoju w głosie. Ach! Jack, zaczynam się bać!

— Będę czuwał pod pani drzwiami, jeżeli się pani boi — odezwał się sir Jerzy. — Proszę mnie wezwać, gdy tylko ogarnie panią lęk. Chociaż wobec ducha pragnąłbym stanąć w pani obronie!

Pan Hardress roześmiał się i poszedł dalej, nie chcąc przeszkadzać zakochanemu. Pan Ambroży Duval natomiast został, badając krytycznym okiem każdy szczegół w portrecie.

Sir Jerzy zauważył, że Estera uspokoiła się, ona zaś odczuła nagle dziwne podniecenie — niemiłe uczucie zimna i strachu nawiedziło ją znienacka. Łagodnym, smutnym wzrokiem swych szarych oczu spojrzała na towarzysza.



— Chodźmy zatańczyć — rzekła. — Chcę się rozgrzać, jest mi zimno.

Sir Jerzy radosne otoczył jej szczupłą kibić i trzymał ją mocno, gdy wirowali wokoło sali.

— Kto śpi koło mnie? — zapytała pani Charters, kiedy śmiejąca się grupa pań koło pierwszej godziny po północy szła spać. Zatrwożyła się jednak usłyszawszy, że drugi pokój w tym dziwnym skrzydle zamku to salonik, a obok mała kapliczka.

— Mówiłaś zawsze, że lubisz duchy i tajemnicze rzeczy — rzekła pani Hardress — byłabym cię, najdroższa, nie umieszczała w cedrowym pokoju.

— Lubię, to prawda — odpowiedziała Estera. Była za dumna, aby okazać swój lęk.

Gdy weszła do pokoju, wszystko robiło wrażenie wesołe i wygodne. Pokojowa czekała już, aby pomóc rozebrać się swej pani. Zmęczona tańcem Estera zapomniała o niemiłym wrażeniu i niebawem wśród wykwintnej pościeli spokojnie usnęła. Gasnący ogień na kominku rzucał słabe blaski na olbrzymi pokój.

Ale o szarym świetle Estera zbudziła się śmiertelnie przestraszona. Śniła bowiem znowu o ciemności, o biurku, pergaminie i o kroplach świeżej krwi.

## Rozdział II

Następnego dnia wypadała wilia Bożego Narodzenia, dzień wypełniony różnymi przygotowaniami i strojeniem choinki dla dzieci. Wszyscy byli weseli i zadowoleni, tylko Estera Charters czuła się nieswojo. Prześladował ją sen; musi on mieć pewne znaczenie. Nawiedzał już ją dwa razy, a dokument, którego brak zmieni całą jej sytuację, może być właśnie podobny do pergaminu widzianego we śnie. Ale jaki to ma związek z tym domem, o którego istnieniu nigdy nie słyszała dokąd państwo Hardress nie wydzierżawili zamku? A jeżeli snuła się w tym wszystkim jakaś dziwna nić — dlaczego portret ducha podobny jest do niej? Pieniądze, które by jej odebrano, należały do Algernona, zrozumiałej więc byłoby i prawdopodobniej, gdyby duch wyglądał tak jak jej mąż lub któraś z jego sióstr.

Estera nie mogła otrząsnąć się z niewytłumaczonego przygnębienia i starała się rozproszyć swe myśli rozmową z Ambrożym Duval na złość Jerzemu, który przyjechał ze Szkocji, aby przebywać w jej towarzystwie i zakończyć swe konkury. Pełen był bowiem nadziei, że teraz zdobędzie ukochaną kobietę. Tymczasem wszystko przybrało inny obrót, a powodem tego był ten nieznośny cudzoziemiec.

Pod koniec dnia sir Jerzy wpadł w jeszcze gorszy humor i zaczął asystować jednej z pań, zaniedbując panią Charters. I tak znowu nadeszła noc i Estera została sama w cedrowym pokoju.

Sir Jerzy, u którego zachowanie cudzoziemca wzbudziło gniew i podejrzenia, obserwował Duvala przez cały dzień.

Pewny był teraz, że ten brutal przybył do Irtonwood w określonym celu.

Dla kogoś, kto ma tylko zamiłowanie do antyków, tego rodzaju przesadne zainteresowanie wszystkimi pokojami i całym umeblowaniem jest nienaturalne.

W szczególności pociągała Duvala biblioteka i prosił także, aby mu pokazano cedrowy pokój, zwracając się z wyszukаныmi pochlebstwami do jego obecnej właścicielki. Po lunchu całe towarzystwo wybrało się na zwiedzanie zamku, nawet stara panna Harcourt, która przerwała grę w karty.

— Za nic w świecie nie spałabym tutaj — rzekła. — Dziwię się tobie, Estero, musisz mieć nerwy silne jak stal i czyste sumienie jak śnieg. Mnie nawet w dzień jest tu niemiło.

— Nie boję się niczego — rzekła pani Charters, podnosząc dumnie głowę.

Towarzystwo przeszło z cedrowego pokoju do biblioteki i tu pan Duval wskazał na stary sekretarzyk, który stał pod oknem, zupełnie obecnie nie używany. Spaczony był już i wyblakły od słońca, które rzucało nań swe promienie przez tyle długich lat.

— Sekretarzyk ten podobny jest do tego, o którym nam pani opowiadała — odezwał się pan Duval, obserwując bacznie wyraz twarzy pani Charters.

Estera zaś, wzdrygając się nagle poznała, że rzeczywiście kantorek ów widziała dwukrotnie we śnie. Roześmiała się więc nerwowo, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Pan Duval badał sprzęt dokładnie, przesuwając delikatnie ręką po całej powierzchni kantorka.

— Musi tu być jakaś ukryta sprężyna — rzekł. — Byłoby zabawne, gdyby sen pani urzeczywistnił się i w tym biurku znalazł się zakrwawiony pergamin.

Estera jednak nie pragnęła, aby on odkrył sprężynę. Kiedyś, gdy będzie z Adą, sama zbada dokładnie biurko.

A sir Jerzy, obserwując wszystko z uwagą, odniósł dziwne wrażenie i różne myśli przysły mu do głowy.

Przy pożegnaniu na dobranoc doszedł do przekonania, że stanowczo coś kryje się w tym wszystkim, postanowił więc nie rozbierać się i czuwać w ciągu nocy.

— Założyłbym się, że on będzie chciał otworzyć ten stary kantorek — rzekł do siebie — a wtedy go zdemaskuję. Po rozstaniu się z paniami, gdy inni mężczyźni poszli jeszcze na papierosa, sir Jerzy udał, że jest zmęczony i idzie do swego pokoju. W rzeczywistości jednak przeczekał, aż lokaj pogasił światła w bibliotece i w środkowej części zamku. Potem zapalił świecę i wsunął się cichutko do biblioteki, gdzie położył się na sofie za parawanem.

Dopalające się zgliszcza na kominku rzucały tajemnicze blaski na posadzkę.

A w cedrowym pokoju, Estera, znużona i nieco zasmucona obojętnością swego wiernego wielbiciela, pośpiesznie rozebrała się, szukając we śnie zapomnienia.

To jej wina, wiedziała o tym; była kapryśna i za wiele rozmawiała z tym cudzoziemcem, którego jednak w głębi duszy wcale nie lubiła. Była dzisiaj niemądra i zdenerwowana, wstydziła się sama siebie.

Wnet zmorzył ją sen i ogarnęła pustka, aż żywo, jak na jawie, po raz trzeci zaczęła śnić to samo z tą zmianą, że jakaś zamglona postać zdawała się do niej zbliżać i zmuszać, aby wstała ze swego miękkiego, ciepłego łóżka.

Czuła, że idzie wzdłuż pokoju, zaczarowana i bezwolna, śladami zamglonej postaci, która wydała jej się tak dziwnie podobna do niej samej. Ściana rozstąpiła się przed nimi. Przez wąski otwór wkroczyła w ciemny korytarz, a następnie małymi schodkami zaczęła schodzić na dół. Jasna mgła jak aureola zdawała się otaczać głowę ducha, który ją prowadził. Ale dokąd?

\* \* \*

Tymczasem sir Jerzy drzemał w bibliotece na sofie w cieniu parawanu. Zegar wybił drugą i ogień na kominku wygasł prawie zupełnie, tak że nawet słaby blask nie padał na pokój i tylko szeroka smuga księżycowego światła wciskała się przez górną część okna dokąd nie dochodziły stopy. Promienie księżyca padały na posadzkę i na antyczny kantorek.

Sir Jerzy zaczynał już wierzyć, że się pomylił. Cudzoziemiec pewnie śpi i on powinien uczynić to samo. Gdy w rozmyślaniach swoich doszedł

do tego punktu, usłyszał delikatny szmer, drzwi zostały otwarte i ktoś wślizgnął się do pokoju.

Odczuł bardziej aniżeli zobaczył osobę Ambrożego Duvala. Będąc bezpiecznie ukryty za czarnym parawanem, zerwał się na równe nogi.

Mężczyzna podszedł do okna, odsunął nieco story tak, aby księżyc lepiej oświetlił kantorek. Następnie przystąpił do biurka, a sir Jerzy zatrzymał oddech i pochylił się naprzód, byle nic z tego co się zdarzy, nie uszło jego uwagi.

Pan Duval namacał widocznie wieko, które ostrożnie podniósł i szukał teraz tajemniczej sprężyny. Parę razy, gdy spojrział w górę, jakby spodziewając się stamtąd natchnienia, miał złowrogi wyraz twarzy.

Nagle szuflada wyskoczyła, a Duval cicho jęknął, bo stalowa sprężyna skrytki skaleczyła mu rękę. Jego wahanie było jednak tylko chwilowe. W szalonym pośpiechu wyciągnął z szuflady jakiś rulon, który sir Jerzemu wydał się podobny do żółtego pergaminu. A gdy Ambroży Duval z diabelskim zadowoleniem na twarzy nachylił się, aby odczytać dokument, z ranionej jego ręki padło parę kropli krwi.

Obecna scena była dokładną reprodukcją snu pani Charters.

Dla sir Jerzego nadeszła odpowiednia chwila działania. Postąpił krok naprzód, lecz zatrzymał się nagle, bo złodziej podniósł głowę, posiniał, zadrzał ze strachu i wpatrując się w oddalony kąt pokoju wypuścił pergamin z ręki.

Sir Jerzy spojrział w tym samym kierunku, doznając dziwnego lęku.

Obaj mężczyźni zobaczyli wysoką, szczupłą kobietę w białej sukni. Postać ta wyłoniła się ze ściany, w której nie było drzwi i powoli a bezszelestnie zbliżała się do nich.

Wyglądała eterycznie i nierealnie, ale w świetle księżyca podobieństwo było nieomyślne. Twarz była ta sama, co na portrecie, który przedstawiał ducha z Irtonwood.

Duże szare oczy były szeroko otwarte. Martwym wzrokiem patrzyła przed siebie, a cała postać posuwała się wolno i robiła wrażenie istoty z tamtego świata.

— Mój Boże, czy to Estera? — szepnął do siebie sir Jerzy, oczekując dalszych wypadków.

Jeżeli to ona, to chyba pozostaje we śnie, jeżeli ktoś z tamtego świata, może zająć coś dziwnego i okropnego, gdy dojdzie do biurka. Pomoc

jego w każdym razie będzie na pewno potrzebną. Teraz już wiedział, że Ambroży postanowił zdobyć za wszelką cenę poszukiwany dokument.

Postać zbliżała się, przybierając coraz wyraźniejsze kształty, a gdy doszła do kantora, Duval skulił się w śmiertelnym strachu i cofnął się parę kroków wstecz.

Postać, ktokolwiek nią był, wyciągnęła w świetle księżycy przeźroczystą rękę i chwytając pergamin cofnęła się w tę samą stronę z której przyszła; ale Ambroży zasyczał jak wąż, gdy zobaczył, że cenny dokument wymknął się z jego dłoni. Z okrzykiem wściekłości pobiegł naprzód.

Sir Jerzy jednak okazał się zwinniejszym od Duvala i zanim Ambroży mógł dosięgnąć ducha czy kobietę — znalazł się uwięziony w silnych ramionach Anglika.

Dwaj mężczyźni walczyli chwilę — Ambroży Duval pełen szalonego strachu z powodu tego nowego wroga, a sir Jerzy z zimnym postanowieniem udaremnienia zamiarów swego przeciwnika.

Byli podnieceni walką i dopiero po chwili zobaczyli, że postać znikła w ciemnej ścianie sprzed ich oczu, a oni zostali sami.

Czy była duchem, czy żywą istotą? Oto pytanie, którego żaden z nich nie mógł rozwiązać!

Ale teraz, kiedy nie było już potrzeby bronienia Estery — o ile to była ona — sir Jerzy puścił pana Duvala.

Ambrożemu zabrakło oddechu ze złości i lęku; chwiejnym więc krokiem podszedł do krzesła.

— Jak pan śmie mnie tak atakować? — zawołał wściekły, wyciągając z kieszeni rewolwer i mierząc nim w Anglika.

Sir Jerzy jednak bardziej zaniepokojony myślą, co mogło się stać pani jego serca, nie zwrócił na to uwagi. Podszedł tylko do kominka i poruszył dopalające się zgliszcza, tak że słaby płomyk pozwolił mu znaleźć lichtarz ze świecą, który postawił koło sofy. Pan Duval postąpił za nim siny jeszcze ze strachu i wściekły z powodu swojej straty.

— Odpowie mi pan teraz za to swoim życiem! — mruknął.

— W takim razie zostaniesz powieszony za morderstwo — odparł sir Jerzy. — Lepiej będzie gdy pan rano wyjedzie, zanim pana zadenuncjuję jako złodzieja — dodał!

— Nie jestem złodziejem! — zaprzeczył pan Duval gwałtownie.

— Jak śmie pan atakować w tak bezczelny sposób gościa swoich znajomych! To ja pana zadenuncjuję i zażądam satysfakcji.

— Na nic podobnego się nie zgodzę — rzekł sir Jerzy. — Nie pojedyńkuję się ze złodziejami. Niech pan usłucha mej rady i rano wyjedzie bez skandalu. Widziałem wszystko, co pan robił i dobrze potrafię to opisać.

W starej bibliotece, przy blasku jednej świecy i księżycy, którego światło padało na zrabowany kantorek, dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, pełnym nienawiści. Po czym sir Jerzy uspokoił się.

— Może pan zresztą robić, co pan zechce — rzekł obojętnie. — Ja jestem także uzbrojony, to mówiąc wyciągnął z kieszeni mały rewolwer. — Jestem poza tym dobrym myśliwym i mógłbym pana zgładzić a przecież takie typy jak pan kochają życie.

Uwaga ta przemówiła widocznie do przekonania pana Duvala, chociaż nie była pochlebna. Co innego bowiem jest strzelać do bezbronnego człowieka, a co innego zmierzyć się z kimś, kto także posiada broń!

Pan Duval z całą więc godnością, na jaką mógł się zdobyć, cofnął się i postanowił wyjść z pokoju.

— Tym razem pan wygrał — syknął przez zęby — ale kiedyś powetuję to sobie.

— Zupełnie mi to obojętne — odpowiedział pospiesznie sir Jerzy.

— Radzę panu tylko najwcześniejszym pociągiem stąd odjechać, teraz mam ważniejsze sprawy na względzie.

— Proszę odejść. — Wypchnął go niemal za drzwi i zaprowadził do pokoju, a potem załatwiwszy się z Duvałem, sir Jerzy przystanął na chwilę i zastanowił się, co ma dalej uczynić.

Najpilniejszą sprawą wydało mu się zbudzić Jacka i jego żonę, aby móc się upewnić, że Estera jest bezpieczna w cedrowym pokoju.

Wkrótce zapukał więc do sypialni państwa Hardress.

— Tak, co się stało? — pytał zaspany Jack.

Sir Jerzy w kilku więc słowach wytłumaczył wszystko i państwo Hardress w szlafrokach narzuconych pospiesznie zjawili się na korytarzu, po czym w trójkę podążyli do cedrowego pokoju.

Tu jednak panowało śmiertelne milczenie i nie otrzymali żadnej odpowiedzi na swe natarczywe pukanie. Drzwi zamknięte były od wewnątrz.

Coś boleśnie ścisnęło sir Jerzego za serce. Co się stało? Czy zachorowała?

— Jeżeli obaj uderzymy w drzwi, Jacku, wyważymy je — rzekł zrozpaczony. Nie możemy zwlekać ani chwili. I dwaj panowie całą siłą pchnęli drzwi, które wprawdzie zatrzęsły się, ale nie otworzyły. Wówczas sir Jerzy sam przypuścił szturm całą mocą swego ramienia. Drzwi wyskoczyły z zawiasów, a on z całym impetem wpadł do pokoju.

Niestety jednak, dwie świece Ady, które trzymała wysoko ujawniły, że pokój był pusty. Łóżko było zburzone, rzeczy porzucane, ale ani śladu Estery.

Wszyscy troje popatrzyli na siebie przerażeni. Co za tajemnica kryje się w tym wszystkim?

Sir Jerzy zaczął pospiesznie badać ściany. Zdrowy rozsądek mówił mu, że jeżeli drzwi były zamknięte od wewnątrz, jego ukochana wyszła jakąś inną drogą. Przez okno nie ma mowy jest za wysoko, zamknięte i pomarańczowe firanki popuszczane. Musi być jakiś tajemniczy otwór, przez który Estera wy dostała się we śnie z pokoju. Ale jakie to wszystko okropne! Ogarniał go coraz większy lęk i gnębiło go złe przeczucie.

— Musimy odnaleźć wyjście, Jacku — rzekł. — Widziałem panią Charters na własne oczy w bibliotece — albo jej ducha — znikła na końcu pokoju.

Zdenerwowani i przerażeni zabrali się do roboty, pukając w każdą płytkę cedrową, a Ada Hardress nawoływała ustawicznie:— Estero! Estero! Odpowiedz czy tam jesteś i nas słyszysz?

Ale jedyną odpowiedzią było milczenie i widząc beznadziejność swych poszukiwań, poczuli w sercach niepokój i lęk.

Co będzie, jeżeli gdzieś w tajemniczym przejściu upadła i zabiła się? Trzeba przetrząsnąć cały dom i pomoc może przyjść za późno.

Ada, płacząc niemal ze zmartwienia i trwogi usiadła na sofie, a mąż jej i sir Jerzy naradzali się, co dalej czynić.

— Zbudź Jacku, służbę i poślij po murarza i stolarza — rzekł sir Jerzy — tymczasem postaraj się dla mnie o siekiere i jakieś narzędzia, spróbuję sam rozbić ścianę.



Pani Hardress wstała i poszła także z mężem po rzemieślników.

— Proszę wezwać jeszcze doktora — wołał sir Jerzy.

A kiedy przestraszony lokaj przyniósł narzędzia, Seafield zabrał się do roboty z taką energią, że nareszcie trafił na żelazną zasuwkę i w ścianie obok kominka odkrył maleńkie drzwiczki. Zawiasy ich i zamek były zardzewiałe i jakim sposobem słaba kobieta mogła je otworzyć, pozostało głęboką tajemnicą.

Przy świetle lampy sir Jerzy zobaczył, że drzwi prowadziły na ciasny korytarz, z którego odchodziły schody.

Przejście było tak wąskie, że sir Jerzy musiał się przeciskać i zginać swe szerokie ramiona. Schody zaś nie były kręcone, wieżyczkowe, ale proste, zmieniające parę razy swój kierunek. Nagle przy jednym zakręcie sir Jerzy zobaczył leżącą kobietę w białej sukni.

Z okrzykiem przerażenia rozpoznał, że była to Estera; ale czy żywa?

Podał lampę Jackowi, który szedł za nim i w jednej sekundzie podniósł ukochaną. Pomimo podniecenia zauważył, że Estera ścisnęła kurczowo w dłoni dokument, który był powodem tragicznych wydarzeń dzisiejszej nocy.

Wysunął pregamin spomiędzy jej palców i wtedy spostrzegł, że krople krwi zawałały jej rękę. Schował szybko papier do kieszeni i niósł Esterę z powrotem do zamku.

Na czole miała wielki siniak wskutek uderzenia głową o wystający w murze kamień.

Może jest tylko ogłuszona, ale żyje! — pomyślał. Ta nadzieja dawała mu lwią siłę.

Powrót ich jednak nie był łatwy. Miejscami ledwie jedna osoba mogła się przecisnąć, a cóż dopiero mężczyzna takiego wzrostu jak sir Jerzy i to z kobietą na rękach.

Hardress szedł przed nimi, trzymając wysoko lampę, a kiedy sir Jerzy w pewnym miejscu nie mógł się przedostać, położył swój cenny ciężar na ziemi i z pomocą Jacka, który podtrzymywał nogi Estery, zdołał ją nareszcie zanieść do cedrowego pokoju, gdzie czekało na nich sporo osób i wezwany doktor, który właśnie przybył do zamku.

Usunięto jednak zaraz wszystkich, tak że została tylko Ada, sir Jerzy, pokojowa i lekarz, pochylający się nad martwą postacią. Po długiej chwili doktor spojrział w górę i oświadczył, że Estera żyje.

Wówczas sir Jerzy, przepelniony wdzięcznością, zwrócił oczy ku niebu i dziękował niebiosom za uratowanie życia ukochanej. Żyje więc Estera, jej zdrowiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, poza tym on nie pozwoli jej nikomu skrzywdzić.

Co za szczęście! Teraz może czekać spokojnie na korytarzu, na który wyszedł aby podzielić się dobrymi wiadomościami z resztą zaniepokojonych gości.

Wkrótce przyłączyli się do nich doktor i pani Hardress, a sir Jerzy dowiedział się, że Estera odzyskała już przytomność.

— Musiała we śnie wyjść z pokoju — mówił lekarz — i głową uderzyła o kamień ale głównym powodem zemdlenia było duszne powietrze. Gdyby się pan spóźnił o godzinę z odnalezieniem jej, nie sądzę, aby zastał ją pan przy życiu. Pomimo wszystko zapanowała radość w dzień Bożego Narodzenia, który zapowiadał się tak tragicznie. I wśród ogólnego zamieszania nikt nie zauważył wyjazdu rannym pociągiem pana Duvala.

Jego pożegnanie z panią domu było arcydziełem sprytu i sir Jerzy uśmiechnął się, gdy ta pokazała mu bilet cudzoziemca.

Po południu pozwolono sir Jerzemu zobaczyć się z panią Charters w saloniku Ady. Estera z obandażowaną głową leżała na sofie i na tle niebieskich, jedwabnych poduszek twarzyczka jej wyglądała blado i mizernie. Ale oczy miały niezwykle blask, gdy wyciągnęła rękę na powitanie Jerzego, który złożył gorący pocałunek na jej białej dłoni i uklęknął obok otomany.

— Jerzy, byłeś dla mnie dobry — szepnęła. — Widzę, że nie mogę opiekować się sama sobą. — Więcej nie zdołała nic powiedzieć, bo on pocałunkiem zamknął jej usta. Przez chwilę zanadto czuli się upojeni szczęściem, aby móc rozmawiać o czymkolwiek.

Gdy wrócili jednak do rzeczywistości, zbadali dokument, który okazał się poszukiwaną metryką ślubną Jana Chartersa i Mariory Wildacre, których ślub odbył się w małym miasteczku Leicestershire w 1795 roku.

Więc duch z Irtonwood pomógł Esterze i zabezpieczył jej majątek!

Ale kim był więc pan Ambroży Duval? Jaki miał związek z całą sprawą? Dlaczego także Estera podobną była do portretu ducha z Irtonwood? Oto były pytania, na które trzeba było znaleźć odpowiedź.

— Mniejsza o to wszystko! — zawołał sir Jerzy po chwili — mój majątek starczy dla nas dwojga! A skoro sama nie możesz się sobą opiekować, pozwól, że ja to uczynię.

\* \* \*

Gdy szczęśliwa para wróciła z podróży poślubnej, cała tajemnica została wyjaśniona. Adwokaci wzięli sprawę w swoje ręce. Okazało się, że lady Marior Wildacre mieszkała w Irtonwood, majątku jej ojca, który wyjeżdżając z córką do Włoch sprzedał posiadłość. W drugim małżeństwie z włoskim hrabią Marior miała córkę, która prawdopodobnie wyszła za mąż za pradziadka Estery i stąd tak silne podobieństwo do portretu.

Esterą często lubiła snuć romantyczną bajkę na temat swego snu i rozmyślać nad tym, jaki wpływ wywarł na nią niespokojny duch prababki, który kazał jej przyjąć zaproszenie przyjaciółki i wziąć udział w niezwykłych wydarzeniach nocy. Biedna zmarła, żałując widocznie swego przewinienia wobec syna, objawiła się we śnie prawnuczce i zaprowadziła ją potajemnym korytarzem do sekretarzyka, aby uchronić ją przed stratą majątku. Teraz lady Marior spoczywa już w spokoju!

— Widzisz, Jerzy, ona pewnie kochała tego Włocha — rzekła Estera do męża — i chciała, aby jego spadkobiercy nie zostali skrzywdzeni — dlatego pokazała mi biurko, w którym znalazła się metryka. Ale żal mi biednego pana Duvala!

— Wstrętny codziennic! — odparł sir Jerzy.

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Charters i to on upomniął się

o majątek. Przybrał zaś nazwisko matki, aby lepiej prowadzić swoje dochodzenia, nie narażając się na podejrzenie.

Podobno znalazł jakiś list w rodzinie, z którego dowiedział się, że metryka jest w Irtonwood, dawnym majątku lady Marior. Słyszac zaś, że jego przypadkowi znajomi, państwo Hardress wydzierżawili ów zamek, starał się pozyskać ich względy i zaproszenie do Irtonwood. Tam postanowił znaleźć

i zniszczyć dokument, a potem mieć już otwartą drogę do odebrania spadku po Chartersie.

Ale Opatrzność czuwa nad wszystkim i kieruje nami najlepiej. I nawet realny Anglik, sir Jerzy Seafield, zmuszony był przyznać, że wiele jest na świecie takich rzeczy, o których się nie śniło filozofom.